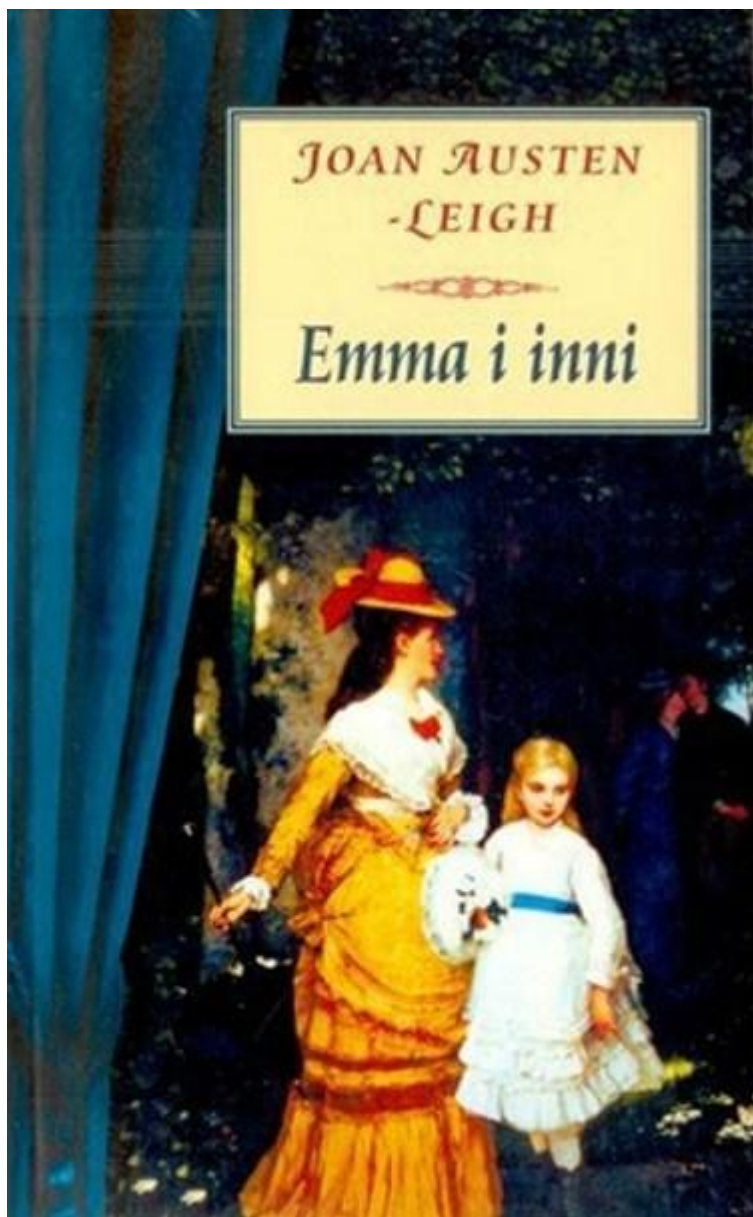


JOAN AUSTEN  
-LEIGH



Emma i inni



*JOAN AUSTEN-LEIGH*

*Emma i inni*

przełożył  
Maciej Świerkocki

RACHOCKI i S-KA  
Pruszków

Tytuł oryginału:

LATER DAYS AT HIGHBURY

Copyright © 1996 by Joan Austen-Leigh

All rights reserved.

Copyright © for the Polish edition by Rachocki i S-ka, Pruszków 1998

Redakcja: *Zofia Skorupińska*

Korekta: *Zespół*

Projekt okładki: MeKong

ISBN 83-86379-29-4

Wydanie pierwsze

RACHOCKI I S-KA s.c.

05-800 Pruszków,

ul. Armii Krajowej 32 m. 29

tel./fax (0-22) 758 66 19, tel. (0-22) 758 49 98

Dystrybucja: INTERNOVATOR

ul. Cybernetyki 19,

02-677 Warszawa

tel./fax 843 10 85

Sprzedaż wysyłkowa:

PDUW „STAŃCZYK” Sp, z o.o.

02-787 Warszawa;

ul. Pasaż Imieliński 11,

tel 644 69 97

*Mojej siostrze, Valerie Peyman,  
prapraprabratanicy Jane Austen*

## APOLOGIA

Jane Austen powiedziała kiedyś swojej siostrzenicy, która prosiła, by Jane napisała do niej list jako Georgiana Darcy, że „wcale nie jest pewna”, jaki list mogłaby napisać Georgiana. W tym samym sensie i ja nie wiem, o czym mogliby rozmawiać z sobą w Donwell Emma i pan Knightley. Wołę nie pozwalać sobie na zbyt wiele; nie jestem intruzem. Nie naruszam zasłużonej prywatności bohaterów i pozostawiam ich w spokoju.

Nie mogę jednak oprzeć się pokusie, żeby raz jeszcze odwiedzić Highbury. Centralną postacią książki uczyniłam dyrektorkę szkoły, panią Goddard, która w Emmie nie wypowiada ani jednego słowa. W rolach epizodycznych obsadziłam kilkoro innych bohaterów J.A. i dodałam do tego jeszcze parę osób, tym razem wymyślonych już całkowicie przez siebie.

Nieufnie podchodzę do kontynuacji znanych powieści. Dlatego usi-  
łowałam napisać nie tyle dalszy ciąg Emmy, co raczej dalszy ciąg dziejów  
tego ukochanego przez wszystkich angielskiego miasteczka - Highbury.

*J. A-L.*

Bardzo lubiła postać Emmy, choć nie sądziła, by mogła podobać się wszystkim... Pytana, opowiadała chętnie, co działo się później z niektórymi jej bohaterami. W ten tradycyjny sposób dowiedzieliśmy się na przykład, że... pan Woodhouse przeżył małżeństwo swej córki i że przez blisko dwa lata nie pozwalał jej oraz panu Knightleyowi na przeprowadzkę do Donwell.

J. E. Austen-Leigh *Memoir of Jane Austen*

Pani Goddard była dyrektorką szkoły, nie seminarium ani pensji, ani też żadnej z tych placówek, które w długich, kwieciste absurdalnych zdaniach twierdzą, że nauczają sztuk wyzwolonych oraz wytwornych manier i postaw w oparciu o nowe zasady i metody pedagogiczne, a gdzie w rzeczywistości młode damy mogą za kolosalną opłatą utracić tylko zdrowie i popaść w próżność - nie, pani Goddard prowadziła prawdziwą, uczciwą szkołę z internatem, w której rozsądną dawkę wiedzy i umiejętności sprzedawano za rozsądną cenę, i w której rodzice mogli umieścić swoje córki, aby nie zawadzały w domu i zdobyły nieco wykształcenia bez obawy, że powrócą jako geniusze. Szkoła pani Goddard cieszyła się dobrą opinią, zresztą całkowicie zasłużenie - Highbury uchodziło za miejscowość o zdrowym klimacie, a pani Goddard posiadała przestronny dom i ogród, dzieci karmiła do syta i pożywnie, latem pozwalała im wybiegać się do woli, zimą zaś własnoręcznie opatrywała ich odmrożenia. Nic więc dziwnego, że do kościoła podążało za nią zazwyczaj dwadzieścia par uczennic. Była kobietą przeciętnej urody, o silnie rozwiniętym instynkcie macierzyńskim, która za młodu ciężko pracowała, teraz natomiast sądziła, że od czasu do czasu należy jej się chwila wytchnienia przy herbacie u znajomych - a ponieważ wiele zawdzięczała niegdyś dobroci pana Woodhouse'a, szczególnie dla niego gotowa była porzucić swój schludny salonik, przyozdobiony wiszącymi na ścianach robótkami ręcznymi uczennic, by wygrać albo przegrać kilka szylingów przy jego kominku.

Jane Austen, *Emma*\*

Z uwagi na pewne różnice interpretacyjne, dotyczące oryginalnego tekstu Emmy, tłumacz niniejszej książki nie korzystał ze starannego skądinąd tłumaczenia pióra Jadwigi Dmochowskiej, opublikowanego w 1997 roku przez wydawnictwo „Prószyński i S-ka”, toteż nieliczne cytaty z powieści Jane Austen przytaczam w swoim przekładzie. W niniejszym wydaniu zachowano także oryginalne brzmienie imion bohaterów (przyp. tłum.).

# OSOBY DRAMATU

## **HIGHBURY:**

Pani Goddard, dyrektorka szkoły

Louisa i Lavinia Ludgrove, bliźniaczki, rezydentki na szkolnej stacji pani Goddard

Pan Knightley, pan na Donwell Abbey

Emma, jego małżonka, z domu Woodhouse

Pani Weston, dawniej panna Taylor, guwernantka Emmy

Pan Weston, jej mąż

Wielebny Charles Rutherford, nowy pleban w Highbury

Panna Bates, córka dawnego plebana Highbury

Pan William Pringle, nowy lokator Hartfield

Pani Pringle, jego matka

Pan Perry, aptekarz

Pani Perry, jego żona

Pan Cole, zamożny mieszkaniec Highbury

Pani Cole, jego żona

Elizabeth Martin, mieszkanka Abbey Mill Farm

Panna Nash, Panna Richardson, Panna Prince, nauczycielki w szkole pani Goddard

Sara, John, Alice, służący w szkole pani Goddard

## **PORTSMOUTH:**

Charlotta Marlowe (z domu Gordon)

Kapitan Angus Gordon, oficer Marynarki Królewskiej, jej ojciec

## **LONDYN:**

Charlotta Pinkney, siostra pani Goddard

Pan Pinkney, jej mąż

Sophy Adams, siostrzenica pana Pinkneya, uczennica seminarium pani Dubois

Paddy O'Ryan (Robert), służący w seminarium

Pan John Knightley, niegdyś mieszkaniec Highbury

Isabella Knightley, jego żona (z domu Woodhouse), siostra Emmy, dawniej mieszkanka Highbury

Wielebny Philip Elton, poprzedni pleban w Highbury

Augusta Elton, jego żona



Pan Wingfield, aptekarz

**ENSCOMBE W YORKSHIRE:**

Frank Churchill, syn pana Westona z Highbury

Jane, jego żona, z domu Fairfax, siostrzenica panny Bates

**MAPLE GROVE, BRISTOL:**

Selina Suckling, siostra pani Elton Pan Suckling, jej mąż

## LIST PIERWSZY

*pani Goddard do pani Pinkney*

Szkoła, Highbury,  
poniedziałek, 16 września 1816 roku

Moja kochana Charlotto,

Rozpoczął się nowy rok szkolny i nie powinnam pisać teraz do ciebie, ponieważ jest mnóstwo innych spraw, które wymagają mojej pieczy. Jednak nie mogę oprzeć się pokusie, albowiem pochlebiam sobie, że interesujesz się sprawami Highbury, a mam ci do przekazania dwie dość szczególne nowiny. Jedna jest radosna, druga smutna.

Zacznę od pytania. Czy wiesz, kogo spotkałam dziś rano? Na pewno się nie domyślisz. Szłam właśnie do sklepu pani Ford, gdy zobaczyłam Emmę Knightley, jadącą swoim powozem drogą na Donwell. Ona spostrzegła mnie dokładnie w tej samej chwili i zawołała na Jamesa, żeby zatrzymał konie. Odkąd zmarł jej ojciec, Emma schroniła się w samotność, dlatego nie rozmawiałam z nią już od kilku tygodni. Kiedy podszłam, uchyliła okno i zagadnęła mnie bardzo przyjaźnie, jak się miewam.

To było dziś rano. Dzień mam pracowity, ale wierzę, że skończę pisać przed obiadem, o czwartej, bo wtedy John zdąży jeszcze na pocztę i jutro otrzymasz ten list.

Smutna nowina jest taka, że zmarła biedna, stara pani Bates. Nie była to całkiem nieoczekiwana śmierć. Gdy odszedł pan Woodhouse, pani Perry powiedziała mi, że pan Perry przypuszcza, iż pani Bates nie przeżyje nawet dwóch miesięcy. Okazało się, że miał słuszość. Nieszczęsna, kochana staruszka.

Oho, ktoś puka do drzwi! Panna Richardson stoi w progu mojego saloniku.

*Później.*

Może nie dasz wiary, Charlotte, ale w tym semestrze jest tyle uczennic, że na strychu, gdzie zazwyczaj lokujemy kufry dziewcząt, po raz pierwszy zabrakło miejsca. Panna Richardson nie wiedziała, co robić. - Pani Goddard - powiedziała. - Co począć z tymi kuframi? Są przeogromne. - Zaproponowałam, żebyśmy się poradziły Johna. On zawsze ma dobre pomysły. Przyszedł. Podrapał się w głowę. Zastanowił się. Zasugerował stajnie. Oczywiście! Ponieważ nie trzymamy koni, ten dodatkowy budynek, gdzie zresztą sypia John, stoi całkowicie do naszej dyspozycji. A jednak ja na to nie wpadłam! Obserwuję teraz przez okno, jak John pcha wyładowane taczki.

Załatwiwszy tę sprawę i kilka innych drobiazgów, mogłam powrócić do listu. Pisałam o pani Bates. Odkąd przestałyśmy się spotykać w Hartfield i grać w karty, całkiem straciła ducha. Zgasła łagodnie - nie była kłopotliwa za życia i nie sprawiła nikomu kłopotu swą śmiercią. To dobrze, że nie mam teraz czasu rozpamiętywać tych smutnych zdarzeń, ale kiedy nadejdzie zima i zasiądę sama przy kominku, nie będę mogła przestać wspominać dwojga drogich mi przyjaciół i szczęśliwych, spędzonych wspólnie dni.

Dziś rano przed śniadaniem napisałam list kondolencyjny do panny Bates i posłałam go przez Johna razem z koszykiem, pełnym zimnego pieczonego kurczaka i szarlotki, którą upiekła Sara. Po śniadaniu udałam się do sklepu pani Ford, żeby, jak zwykle, złożyć zamówienie na flanelowe spódnice - a w każdym razie taki powód podałam pannie Nash, która, jak sądzę, uniosła brew ze zdziwienia widząc, że wychodzę bez kapelusza. Czulałam się po trosze jak szachrajka. Nie o to chodzi, że nie trzeba zamówić tych spódnic. Przeciwnie, muszę to zrobić. Nie uwierzyłybyś, kochana Charlotte, ilu rodziców nie dba o to, żeby wyposażyć córki w tę absolutnie niezbędną część garderoby. Powiesz zapewne, że dziewczęta powinny same uszyć sobie spódnice, tak jak my w dzieciństwie. Ale ja już dawno zrozumiałam, że na to nie ma co liczyć. Na pewno nie skończyłyby przed pierwszym śniegiem. Ale ponieważ od zimy, odmrożeń i tego wszystkiego dzieli nas jeszcze kilka tygodni, nie mogłabym utrzymywać, że moja wizyta w sklepie była sprawą pilną. Jak zapewne odgadłaś, spódnice to tylko wymówka, bo po prostu nie mogłam już doczekać się nowin.

Spotkanie z Emmą Knightley okazało się zbiegiem okoliczności, bo oprócz wiadomości o śmierci pani Bates, którą się bardzo zmartwiłam, usłyszałam również, że Emma jedzie właśnie do Donwell Abbey, żeby wydać kilka poleceń pani Hodges. Minęły już dwa miesiące od śmierci pana Woodhouse'a i Knightleyowie zdecydowali się wreszcie wyprowadzić. Emma przyznała, że dotąd nie miała siły, aby to zrobić, i że pan Knightley okazał jej wiele zrozumienia i współczucia w tej kwestii. Oczywiście miał jej dziś towarzyszyć, ale ponieważ zaoferował zająć się przygotowaniami do pogrzebu, był potrzebny gdzie indziej. Jednak pani Hodges czekała na nich z taką nadzieją, że - nie chcąc sprawić zawodu tej

zacznej kobiecie - Emma ostatecznie postanowiła pojechać do niej sama. Wspominałam ci chyba, że pani Hodges od dwóch lat mieszka w Abbey, utrzymując się tylko z marnej renty. Meble spowiła pokrowcami, żeby się nie kurzyły. Nie trzeba wielkiej wyobraźni, żeby zrozumieć jej radość wobec perspektywy powrotu pana domu.

Emma nie spieszyła się zbytnio na to niełatwe dla niej, jak przypuszczam, spotkanie, toteż konie parskwały i potrząsały niecierpliwie łbami, James przez ramię spoglądał na mnie z wyrzutem (ja dostrzegałam jego spojrzenia, ale Emma nie), pani Knightley ciągnęła rozmowę dalej. Termin pogrzebu pani Bates zależy od daty przyjazdu Jane i Franka Churchillów. Wczoraj w nocy wyeksponowano ekspres do Enscombe, wobec czego sądzimy, że mogą zjawić się u nas najwcześniej pojutrze - pod warunkiem, że wyruszą bez zwłoki i powozem w cztery konie. Zamieszkają w Randalls, a pani Weston zaprosiła również pannę Bates, żeby dołączyła do nich po pogrzebie. (Nabożeństwo odprawi nasz nowy, młody pastor, pan Rutherford. Donosiłam ci chyba, że Eltonowie wyjechali z Highbury?) Zaproszenie dla panny Bates trochę mnie zaskoczyło. Nigdy nie sądziłam, że pani Weston i panna Bates pozostają w bliskich stosunkach, chociaż syn pana Westona ożenił się z siostrzenicą panny Bates. Nie wątpię jednak, że zaproszeniu przyświecały jak najlepsze intencje, a pobyt w Randalls pozwoli pannie Bates nacieszyć się do syta widokiem swojej ukochanej siostrzenicy. Mimo to nie mogę oprzeć się wrażeniu, że panna Bates wolałaby nie ruszać się nigdzie i swobodnie przyjmować przyjaciół w domu. Pani Weston będzie musiała coś wymyślić, bo wiadomo przecież, że w Randalls są tylko dwie gościnne sypialnie. Przypuszczam, że służba Churchillów zatrzyma się w gospodzie „Pod Koroną”.

Korzystając z okazji postanowiłam powiedzieć Emmie Knightley, jak bardzo pani Bates, panna Bates i ja jesteśmy jej wdzięczne, że po swoim ślubie nadal zapraszała nas do Hartfield, gdzie grałyśmy w karty z jej ojcem. Powiedziałam, że sprawiała w ten sposób ogromną przyjemność czworgu starym ludziom (tylko proszę, nie strofuj mnie za to, że uważam się za starą kobietę). Taka jest prawda, kochana Charlotto, a Emma odpowiedziała mi z wielką życzliwością. Choć *entre nous* mniemam, że nasza obecność zapewniała jej i panu Knightleyowi kilka chwil wytchnienia w nieustannej opiece nad panem Woodhousem. Nie można było go zostawić samego w pokoju na dłużej niż pięć minut.

Także pani Perry wyznała mi kiedyś w zaufaniu, że kiedy tylko pan Perry miał wolną chwilę, odwiedzał Hartfield jedynie dlatego, żeby dać Emmie i panu Knightleyowi możliwość wspólnego spaceru po parku albo rozmowy na osobności. Nie brał pieniędzy za te wizyty i miło mi donieść, że został nagrodzony. Dowiedziałam się bowiem, że pan Woodhouse nie zapomniał o nim w swoim testamencie.

W opinii Highbury pan Knightley wykazał się wprost niesłychaną cierpliwością. Od dnia małżeństwa mieszkał jako gość w domu swojego teścia, a teraz może nareszcie ze spokojnym sumieniem wrócić do domu razem z żoną i dzieckiem. Sama widzisz więc, kochana Charlotto, że w naszym cichym Highbury zaszły poważne zmiany.

Ponieważ od Emmy dowiedziałam się wszystkiego, na czym mi zależało, a nawet nieco więcej, uznałam, że powinnam wrócić do szkoły. Zdecydowałam, że jeśli panna Nash zacznie mnie wypytywać, będę musiała przyznać, że zamówienie na flanelowe spódnice odłożyłam na później.

Szczęśliwym trafem wróciłam w samą porę, bo szkolną kuchnię ogarnęło tymczasem ogromne wzburzenie. Nasz piekarz nie dostarczył dodatkowego pieczywa, które zamówiła Sara, i w powietrzu krążyły doprawdy ostre słowa. Musiałam wygładzić wiele nastroszonych piórek, żeby zaprowadzić spokój. Potem przyszedł nauczyciel muzyki ze skargą, że nie nastrojono fortepianów, a panna Prince poinformowała mnie, że w szkole brakuje tabliczek. Na dobitkę dwie czy trzy nowe dziewczynki zaczęły narzekać, że bardzo tęsknią za domem. Po południu zaprosiłam je do saloniku, zaaplikowałam im gorącą czekoladę, ciasto i kilka słów pocieszenia, aż wreszcie wróciły rozpozgodzone do swoich koleżanek.

O, słyszę właśnie dzwonek na obiad!

Zanim zapieczętuję ten list, muszę oświadczyć raz jeszcze, że już najwyższy czas, aby twój słodziutki, mały Edward poznał w końcu swoją kochającą ciotkę i zarazem matkę chrzestną. Czy sądzisz, że pan Pinkney zgodziłby się spędzić święta Bożego Narodzenia w Highbury? Wcale nie jest za wcześnie na takie plany, a bardzo chcę się przekonać na własne oczy, czy włoski twojego skarba są tak jasne, a oczy rzeczywiście tak błękitne, jak piszesz.

*Twoja zawsze kochająca siostra,  
Mary Goddard*

## LIST DRUGI

*pani Pinkney do pani Goddard*

Hans Place, Londyn,  
środa, 18 września 1816 roku

Moja kochana Mary,

*De mortuis nil nisi bonum.* Pamiętasz, jak często powtarzał ten aforyzm nasz ojciec? To jedna z kilku jego łacińskich sentencji, które zapadły mi w pamięć. Rozumiem, że bardzo lubiłaś pana Woodhouse'a i pannę Bates, ale ich śmierć z pewnością nie jest przecież okazją do zbyt głębokiej żałoby. Z punktu widzenia Emmy i panny Bates to raczej wyzwolenie.

Wiem, że z przyjemnością przyjmowałaś zaproszenia do Hartfield, i bardzo ci współczuję, że ustały. Jakże różne jednak mamy gusta! Koźmi nie zaciągnęłabyś mnie do domu, w którym podają kleik, a smakowite potrawy sprząta się ze stołu, ponieważ gospodarzowi wydają się nie dogotowane! Pamiętam dobrze, jak pisałaś, że z tego powodu odmówiono panie Bates potrawki z nerkówki i szparagów.

Dla ciebie pan Woodhouse był starym, kochanym pieszczochem, ale dla mnie był jak rozkapryszone dziecko. Pomyśleć tylko, dorosły



człowiek, którego nie można zostawić samego w pokoju! To cud, że Emmie i panu Knightleyowi udało się w ogóle spłodzić dziecko. Chyba tylko dlatego, że pan Woodhouse miał zakaz wstępu do sypialni. Ojej! Mary, nie spodoba ci się ta uwaga. Ale nie zamierzam wymazywać jej i niszczyć całej strony, albowiem jest to prawda.

Tak, tak, ciekawa jestem, kto teraz zamieszka w Hartfield... A co się stanie z panną Bates? Czy, tak jak sądzimy, jej dochody bardzo znacznie spadną? Pan Pinkney przypuszcza, że będzie musiała jeść łaskawy chleb w Enscombe. Ale moim zdaniem „będzie musiała” to niewłaściwe określenie. Przypuszczam, że panna Bates nie posiada się z radości na myśl, że zamieszka pod jednym dachem z tym wzorem wszelkich cnót, z tą swoją zarozumiałą siostrzenicą, Jane Fairfax. Żał mi tylko Franka Churchilla. Jak on to wszystko zniesie?

Masz rację, kochana Mary, rzeczywiście już od bardzo dawna nie byliśmy w Highbury. Czytałam twój list panu Pinkneyowi. Bardzo się ucieszył słysząc, że chcesz zobaczyć swojego siostrzeńca.

- Proszę, napisz swojej siostrze, że może o sobie mówić jak o kochającej ciotce, ale dobrze pamiętam, że narodziny Edwarda mocno ją wzburzyły - powiedział. - „Miałam nadzieję, że to będzie dziewczynka, bo wtedy mogłaby pójść do mojej szkoły. Na co mi chłopiec? Nie umiem rozmawiać z chłopcami”.

- Ja też to pamiętam - odparłam. - Ale gdy pozna Edwarda, będzie oczarowana.

- Naturalnie - odrzekł pan Pinkney. - A poza tym wiem, jak bardzo pragniesz zobaczyć siostrę i pochwalić się naszym skarbem. Wolałbym jednak nie narażać małego na trudy podróży.

- Ach, znów chodzi o twojego drogiego syna! - powiedziałam, ponieważ mój mąż wykazuje absurdalną nadopiekuńczość wobec Edwarda.

- Kochanie, pomyśl jednak, że naszemu synkowi brakuje jeszcze czterech miesięcy do ukończenia dwóch lat. Uważam, że powinien mieć co najmniej trzy, jeśli nie cztery lata, zanim spróbujemy z nim wyjechać.

- Nie chodzi przecież o jakąś straszliwą podróż. Frank Churchill pojechał z Highbury do Londynu i z powrotem tylko po to, żeby obciąć sobie włosy. Pamiętasz, jak Mary nam o tym opowiadała?

- Tylko że tak naprawdę pojechał kupić fortepian, co zresztą i nie ma przecież nic do rzeczy.

- Mój kochany małżonku, musisz uważać, żebyś nie stał się równie wielkim kapryśnikiem, jak pan Woodhouse.

- Mnie nigdy nie uda się nakłonić do jedzenia kleiku.

- Nikt ci nie proponuje kleiku, tylko wizytę w Highbury. Zachowujesz się, jakby Edward był co najmniej następcą tronu.

- Owszem - odrzekł pan Pinkney.

- Co masz na myśli mówiąc „owszem”. - spytałam, już rozzłoszczona. - Powinieneś wiedzieć, że jest to charakterystyczne dla podstarzałych rodziców, iż uważają swoje dziecko za najważniejsze w całym królestwie.

- Mylisz się, kochana - odpowiedział szczerze pan Pinkney. - Jak możesz tak nisko mnie osądzać? Nie w całym królestwie, ale na całym świecie.

Nie mogłam się nie roześmiać. Kochany, niemądry pan Pinkney. Ten człowiek nie ma wstydu. Prawie codziennie dziękuje mi za to, że dałam mu syna. Jak gdybym mogła to uczynić bez jego pomocy.

Podróż to oczywiście głupstwo, zwłaszcza odkąd mamy własny powóz. Taką wyprawę raz albo dwa razy w roku podejmuje Isabella Knightley wraz z całą rodziną, i zwykle z nowo narodzonym dzieckiem na dodatek. Ale co więcej mogłam mu powiedzieć? Ostatecznie pan Pinkney jest ode mnie starszy o dziesięć lat i choć zapewne rzeczywiście troszczy się o Edwarda, podejrzewam, że nie ma ochoty zostawiać swoich książek, klubu i domu, przyjemnego, słonecznego domu, do którego jest tak przywiązany. Choć zgadza się skwapliwie, że dwa lata temu, kiedy mieszkaliśmy u ciebie podczas wakacji, bawiliśmy się znakomicie, to przypomina mi zarazem, że byliśmy wtedy w trakcie przeprowadzki. Było nam w Highbury przyjemnie, ale i wygodnie.

Nigdy nie zapomnę tej wizyty. Wszystkie damy wyszły nagle za mąż. Harriet Smith za Roberta Martina. Emma Woodhouse za pana Knightleya. Jane Fairfax za Franka Churchilla. A wkrótce potem zaczęły im się rodzić dzieci. Co rok kolejne dziecko! Wielkie nieba!

Sierpień roku 1814 odcisnął się na zawsze w mej pamięci. Boże, jak dobrze pamiętam zdumioną i pełną niedowierzania minę mojej protegowanej, młodej Charlotty, kiedy poinformowałam ją, o moim stanie. Z pewnością sądziła, że jestem już o wiele za stara na dziecko, bo, Bóg mi świadkiem, i ja tak uważałam. To niezwykle, że ja, która nigdy nie lubiałam dzieci i byłam już raz zamężna, miałam w swoim zaawansowanym wieku zostać wkrótce matką! To była przerażająca perspektywa. A zaledwie trzy miesiące później Charlotta poślubiła porucznika Marlowe'a i niedługo potem również znalazła się w odmiennym stanie. (Od dłuższego czasu nie dostałam od niej żadnej wiadomości. Mam nadzieję, że nie stało się nic złego).

To podczas tego pobytu poznałam małżonkę pana Johna Knightleya. Pamiętasz? Zatrzymali się w Hartfield. Isabella przyszła cię odwiedzić wraz z pięciorgiem dzieci - bo tyle ich wtedy miała. Przedstawiłaś nas

i mogłam jej wtedy powiedzieć, że korzystamy z usług tego samego aptekarza w Londynie. Znajomość pana Wingfielda i nasze późniejsze rozmowy o połogu - bo wtedy nie mogłam myśleć ani mówić o niczym innym - legły u podstaw naszej przyjaźni, którą bardzo sobie cenię. Natomiast pan Pinkney jest zdania, że pani Knightley nie dorównuje mi intelektem i zastanawia się, co ja w niej widzę.

- Cóż, mój kochany... A jednak łączy nas coś szczególnego.
- Ach tak? - zapytał. - A mianowicie co?
- To, że obie niesłychanie uwielbiamy swoich mężów.

Na pewno pomyślał, że stroję z niego żarty. Jednak bez względu na to, jak bardzo jestem do niego przywiązana, wydaje mi się, kochana Mary, że bez Isabelli nie przeżyłabym tych kilku miesięcy, dzielących mnie wtedy od narodzin Edwarda. Wiele kobiet umiera w połogu, a ja strasznie bałam się nadchodzącej próby. Dzięki Bogu, wszystko to już minęło. Mamy pięknego synka. Chciałam w ten sposób powiedzieć, że przyjaciółka to wielkie dobrodziejstwo. Ale ty o tym doskonale wiesz. Masz swoją pannę Bates, panią Perry i panią Cole.

Nadchodzi Betty. Niesie mojego ukochanego synka i pudełko klocków. Będzie się teraz bawił, a ja obiecałam mu zbudować dom. Szkoda, że nie możesz go usłyszeć. Nie ma jeszcze dwóch lat, a potrafi bardzo wyraźnie powiedzieć: „Zrup dom, poszę, mama”. Jego ojciec twierdzi, że wyrośnie na geniusza.

*Twoja kochająca siostra,  
Charlotta Pinkney*

PS

Nie, nie wspominałaś, że Eltonowie wyjechali. Kiedy? Dlaczego? I która nieszczęsna parafia ma ich teraz na karku?

## LIST TRZECI

*pani Goddard do pani Pinkney*

Szkoła, Highbury,  
20 września 1816 roku

Moja kochana Charlotto,

Obiad dobiegi końca i mam trochę wolnego czasu do podwieczorku. Korespondowanie z tobą to moja ulubiona rozrywka, co może wydać ci się o tyle dziwaczne, że jednym z moich najbardziej pracowitych obowiązków jako dyrektorki szkoły jest pisanie listów, informujących stroskanych rodziców o stanie ducha i ciała ich córek. Ale to są listy oficjalne. Muszę w nich starannie ważyć słowa i uważać, co piszę na temat ich zdrowia, diety, podróży, postępów w nauce, lekcji muzyki, wysokości kieszonkowego i flanelowych spódnic! Ta lista nie ma końca. Ale gdy piszę do ciebie, kochana Charlotto, pozwalam spływać z pióra myślom nie ocenianym.

Obawiam się jednak, że na początku muszę upomnieć cię za te uwagi o Emmie i panu Knightleyu. Dama nie powinna mówić czegoś podobnego, nawet własnej siostrze. To bardzo niedelikatnie z twojej strony.

Ale skoro już poruszyłaś ten temat i przypominasz sobie obawy, jakie żywiłaś przed urodzeniem Edwarda, mogłabyś z większym współczuciem obchodzić się z uczuciami pana Woodhouse'a. Pamiętam, że pani Perry mówiła mi, iż śmiertelnie bał się nadchodzącego *accouchement* Emmy. Wiem, że nieustannie trzeba było łagodzić jego obawy o zdrowie córki. Doszło do tego, że ktoś zaproponował nawet półserio, by Emma na czas położu wyjechała do Donwell Abbey. Ale, oczywiście, ojciec nie chciał spuścić jej z oka, a poza tym pomysł był właściwie nie do zrealizowania, ponieważ dom stał od dawna zamknięty, a w posiadłości urzędowała tylko pani Hodges i pan William Larkins. Dlatego ustalono, że dziecko przyjdzie na świat jednak w Hartfield.

Gdy nadszedł krytyczny moment, wszyscy z jakimś bólem (wcale nie usiłując żartować) starali się utrzymać pana Woodhouse'a w nieświadomości tego faktu. Jak wcześniej postanowiono, posłali po panią Weston. Spędziła z panem Woodhouse'em cały dzień. Biedny starzec nic nie podejrzewał, kiedy powiedziano mu, że Emma ma migrenę. Podobno był tak pochłonięty rozmową i grą w karty ze swoją ukochaną „panną Taylor”, jak uparcie nazywał panią Weston, że nawet nie zauważył, kiedy do Hartfield przyjechał konno pan Perry.

Hartfield to masywna budowla i pan Woodhouse najwyraźniej nie usłyszał tupotu końskich kopyt ani żadnych hałasów, nie wiedział więc także o narodzinach wnuka, dopóki nie było po wszystkim. Niczego się nie domyślał, dopiero kiedy zniesiono do salonu zakutanego w bety małego Henry'ego Knightleya z czerwoną od płaczu buzią, dziadek zobaczył go wtedy po raz pierwszy. Nie wątpię, że panu Woodhouse'owi bardzo pochlebilo, iż małemu nadano imię na jego cześć, a nie na cześć ojca dziecka. Oznacza to, że bracia stryjeczni, synowie Emmy i Isabelli,

noszą takie samo imię i nazwisko, Henry Knightley, ale ponieważ jest między nimi siedem lat różnicy i ponadto mieszkają w dwóch różnych miejscach, sądzę, że nie ma to większego znaczenia.

Co do twoich uwag na temat Jane Fairfax, to trzeba litościwie pamiętać, że ta dziewczyna nigdy nie była mocnego zdrowia, życie zaś z początku nie okazało się dla niej zbyt łaskawe. A gdybyś to ty wychowała się wśród ludzi, którzy nieustannie przypominaliby ci twoją zależność i wymagali od ciebie wdzięczności nie w jednym, a w dwóch domach? Po pierwsze, u pułkownika i pani Campbell, gdzie Jane znalazła się jako małe dziecko, a potem u swojej babki i ciotki w Highbury, które czasem odwiedzała. Franka Churchilla spotkał podobny los, kiedy opuścił go owdowiały ojciec. Chłopca wziął wtedy na wychowanie bogaty wuj i jego żona. Mam szczerą nadzieję, że oboje młodzi są teraz szczęśliwi i że wynagrodzą sobie lata trudnego dzieciństwa. Jest to ich pierwsza od dnia ślubu wizyta w Highbury, a zatem szykuje się nam wszystkim niecodzienne wydarzenie.

Musiałam na chwilę przerwać. Dwie uczennice, bliźniaczki, Louisa i Lavinia, wpadły właśnie z tupotem do saloniku, każąc mi podziwiać swoje sztambuchy z cytatami. Musiałam im poświęcić trochę uwagi, bo trzeba zachęcać dziewczęta do podejmowania wysiłków mniej błahych niż ich codzienne zajęcia. Teraz posłałam je do biblioteki, żeby poszukały kolejnych cytatów. Uśmiechniesz się - poleciłam im najpierw wybrać jakiś temat, a ponieważ ukończyły już siedemnaście lat, jedna wybrała „Poświęcenie”, a druga „Miłość”.

Zaczęłam znów pisać ten list, kiedy wpadła pani Perry z wiadomością, że po południu przyjechali Frank i Jane. Pojawili się, kiedy mąż pani Perry gościł przypadkiem w Randalls - mała Anna Weston cierpiała na jakąś

drobną niedyspozycję. Pan Perry uważa, że Jane jest blada i wątła. Ale nie minęło przecież wiele czasu od jej ostatniego połogu. Młodszy z dwóch synów Jane ma zaledwie trzy miesiące, a starszy niedawno skończył dopiero rok. Teraz muszę już jednak wracać do swoich obowiązków. Jutro napiszę więcej.

*21 września*

Dziś rano odbył się pogrzeb pani Bates. Z okna widziałam w oddali pochód zmierzający do kościoła. Później przysłała pani Cole, żeby mnie zawiadomić, co powiedział jej mąż.

Przybyli: Frank Churchill (przystojny, jak zawsze), pan Knightley (godny miana największego dziedzica w okolicy), pan Cole, pan Weston, Robert Martin (to zacnie z jego strony, że przyjechał aż z Abbey Mill Farm), oczywiście pan Perry, John Abdy z „Crown” (jego ojciec był kancelistą u starego Batesa), państwo Cox i kilku tutejszych kupców. Pani Bates cieszyła się powszechnym szacunkiem, a starsi mieszkańcy pamiętają ją z czasów, kiedy pan Bates był naszym plebanem, ona zaś znajdowała się jeszcze w kwiecie wieku.

Panna Bates jest podobno bardzo przybita śmiercią matki. Myślę, że to nic dziwnego, zważywszy, ile lat jej poświęciła. Bardzo żałuję, że nie miałam okazji spotkać się z nią i porozmawiać. Spodziewam się, że luksusy Randalls i towarzystwo siostrzenicy przyniosą jej pociechę.

Dobra kobieta! Bóg wie, że należy jej się trochę radości. Od kiedy jej matka była już zbyt słaba, żeby opuszczać dom, panna Bates nie przyjmowała zaproszeń do Enscombe, mimo że - jak twierdzi - były wyjątkowo uporzyste, a stali je nie tylko Jane i Frank, lecz także stary wuj, który cieszy się wciąż doskonałym zdrowiem i który jak gdyby powrócił do życia, kiedy odeszła z niego pani Churchill. Nawiasem mówiąc, nieporozumienia z panem Westonem zostały całkowicie załagodzone. A



wszystko za sprawą ciotki. Doszło nawet do tego, że mniej więcej rok temu pan Weston złożył pierwszą wizytę w Enscombe, dokąd przyjechał na chrzest swojego wnuka.

Chłopcy nazywają się Weston i Fairfax. Dość pretensjonalnie. Może to pomysł Franka Churchilla. Zdaje się, że taka teraz moda, a poza tym, skoro Frank nie nosi imienia po swoim ojcu, słusznie jest uczcić go, nadając pierwszemu wnukowi imię na jego cześć - i sądzę, że ponieważ Jane jest jedynym dzieckiem porucznika Fairfaxa, dawno już zmarłego, to chciała zapewne w ten sam sposób upamiętnić swego ojca. A wreszcie, jeśli mieszka się w tak świetnej posiadłości jak Enscombe, to pospolite imiona w rodzaju William, Thomas albo George po prostu nie są dość dobre dla dzieci.

Ceremonię pogrzebową prowadził pan Rutherford. Biedny, młody człowiek, to już drugi pogrzeb, od czasu jego niedawnego przyjazdu do Highbury. Pomimo dość hałaśliwej reputacji pełnił swe obowiązki z odpowiednią powagą i godnością. Na pewno jest dżentelmenem, choć to jeszcze młodzian i żółtodziób. Ale przypuszczam, że z wiekiem się poprawi.

Przepraszam. Wydawało mi się, że pisałam ci, iż Eltonowie wyjeżdżają. Podania, które pan Elton składał ciągle w swoim dawnym kolegium oksfordzkim, przyniosły w końcu owoce. Otrzymał pierwszą wolną posiadłość w stolicy. Nie dosłyszałam jednak nazwy kościoła. Dla nas, w Highbury, wszystkie londyńskie kościoły z wyjątkiem opactwa Westminster i katedry św. Pawła to jedno i to samo. Któż może wiedzieć, czy pani Elton uzyska tam takie poważanie, na jakie w swoim mniemaniu zasługuje, a jakie nie zawsze zapewnialiśmy jej my, mieszkańcy Highbury.

Ale przynajmniej oszczędzono nam z dawna obiecywanej wizyty jej bogatego brata z małżonką, czyli państwa Suckling z Maple Grove. Wiele o tym mówiono, ale do ich przyjazdu nigdy nie doszło.

Eltonowie odwiedzili mnie przed wyjazdem. Była to pierwsza wizyta pani Elton w moim domu. Można by się zastanawiać, dlaczego postanowiła akurat w tym momencie wyświadczyć mi tę łaskę - mniemam, że jednym z powodów miała być przyjemność poinformowania mnie, że woli mieszkać w Londynie, aby jej córeczka mogła uzyskać możliwie najlepsze wykształcenie! Na litość boską, przecież dzieciak nie ma jeszcze dwóch lat! Ogólnie biorąc jestem życzliwie usposobiona do ludzi i oczywiście nie chciałabym być nieuprzejma, ale nigdy nie zdołałabym polubić pani Elton. Nie potrafię też przebaczyć panu Eltonowi, że tak złośliwie upokorzył Harriet na oczach wszystkich podczas balu u Westernów. Tak, choć może należałoby o tym zapomnieć; po co żyć nieprzyjemnymi wspomnieniami? Mogę jednak powiedzieć, że po ich wyjeździe wszyscy odetchnęliśmy z ulgą, a atmosfera na niedzielnych nabożeństwach w kościele stała się znacznie bardziej chrześcijańska niż dawniej. Ale to nie po chrześcijańsku z mojej strony robić takie uwagi.

Mimo to śmiem twierdzić, że Eltonowie doskonale dadzą sobie radę w Londynie, gdzie mieszka wielu ludzi należących do wytwornego towarzystwa. Pani Cole powiedziała, że pan Cole złożył Ekonom wizytę, kiedy bawił w Londynie w interesach. Podobno już urządzili się w swojej nowej parafii.

*Twoja zawsze kochająca*  
*Mary Goddard*

PS

Proszę, spróbuj przekonać pana Pinkneya. Zdaje mi się, że ostatecznie zawsze udaje ci się dopiąć swego. Powóz, którego ci tak długo odmawiał, gra ważną rolę w tej sprawie. Powiedz mężowi, że święta w Highbury są cudowne, a już na pewno nie tak brudne i hałaśliwe, jak w Londynie.

## LIST CZWARTY

*Charlotta Marlowe do pani Pinkney*

Pensjonat panny Smith, Portsmouth,

22 września 1816 roku

Kochana pani Pinkney,

Nie będę udawać, nie poniżę się, żeby ukrywać prawdziwy cel tego listu, zaczynając, jak zwykle, od pustych pozdrowień. Nie, jako córka marynarza i żona marynarza uniosę śmiało głowę i przejdę od razu do rzeczy. Piszę, żeby błagać cię, pani, o pewną przysługę.

Czytając teraz te słowa myślę, że są nieuprzejme i impulsywne. Jestem pewna, że zadajesz sobie pytanie: „Jakim prawem ta niewdzięczna dziewczyna prosi mnie o cokolwiek, skoro nie miałam od niej wiadomości co najmniej od pięciu albo sześciu miesięcy?”

Kochana pani Pinkney, będę ci zawsze wdzięczna za to, co dla mnie zrobiłaś. Gdyby nie ty, nigdy nie spotkałabym mego ukochanego Richarda. Często myślę o tobie, o panu Pinkneyu i o małym Edwardzie. A może ma już braciszka albo siostrzyczkę?

Wychodząc za mąż za marynarza wiedziałam, że nie będę miała łatwego życia. Nie byłam jednak całkiem przygotowana na przeszkody,

jakie musieliśmy pokonać, i nie wiedziałam, że Richard w czas pokoju będzie musiał przebywać tak długo z dala od domu. Został przydzielony do eskadry Marynarki Królewskiej, zwalczającej handlarzy niewolników u zachodnich wybrzeży Afryki. Oczywiście, to bardzo niedobrze, że wciąż kwitnie jeszcze handel żywym towarem, ale pytam się, dlaczego to akurat nasza flota musi powstrzymać handlarzy. I dlaczego to akurat mojego męża wysłano z tą misją tak daleko.

Richard jeszcze nie widział swojej córki. Czasami wydaje mi się, że ona dorośnie, zanim powróci jej ojciec. To głupie z mojej strony, wiem, i jestem pewna, że nie należy się grubiańsko skarżyć, ale nasze dzieci chorowały, gospodyni zachowuje się niesympatycznie i nierozsądnie, a mnie zaczyna brakować już pieniędzy. W każdym razie z takich czy innych powodów nie wiodło nam się najlepiej, a skoro nie mogłam napisać radosnego listu, wolałam nie pisać wcale.

Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie towarzyszył mi mój kochany ojciec. Wydaje mi się, że tylko raz widziałas, pani, kapitana Gordona, kiedy powrócił do Anglii po dłuższym pobycie na bezludnej wyspie. Zdumiałabyś się, kochana pani Pinkney, jak znakomicie daje sobie radę w domu. Jestem absolutnie zadziwiona, że mężczyzna potrafi robić takie rzeczy. Gotuje. Bawi dzieci. Szyje zasłony. Ceruje. Zajmuje się stolarką. Czyści naszą nieliczną srebrną zastawę. A kiedy głośno wyrażam z tego powodu zdumienie, odpowiada tylko: - Kochana Charlotte, czy sądzisz, że ja i moja załoga przetrwalibyśmy na bezludnej wyspie tyle lat, gdybyśmy byli ludźmi bezużytecznymi, którzy nie umieją o siebie zadbać?

Jestem pewna, że ojciec najbardziej na świecie chciałby dostać znów pod komendę jakiś okręt. Chadza czasami na nabrzeże, żeby przyglądać się okrętom stojącym na kotwicy i wspominać stare czasy z innymi

starymi marynarzami. Ale serce ściska mi ból, widzę bowiem, że ojciec się starzeje. Martwię się o niego. Nie ma żadnych funduszy i trapi się, że jest dla nas ciężarem.

W tym właśnie miejscu dochodzę do przysługi, o którą ośmielam się prosić. Wielkie nieba, napisałam to zbyt pochopnie. Błagam, nie sądz tylko, że zamierzam żebrać. Niech Bóg broni! Zapewniam cię, pani, że choć się u nas nie przelewa, jesteśmy w stanie zaspokoić nasze potrzeby.

Nie. Nasz najpoważniejszy problem to fakt, że ojciec nie otrzymał z dowództwa marynarki żadnej renty. Oczywiście dlatego, że wiele lat temu uznano go za zmarłego, toteż zniszczono jego dokumenty. Gdy wrócił do Anglii i usiłował odtworzyć swoje papiery, powiedziano mu, żeby zachował cierpliwość i że to tylko kwestia czasu. Jednak dotąd w sprawie ojca nic nie uczyniono, a na jego kolejne monity Admiralicja za każdym razem zbywała go jakąś wymówką. Ojciec śle ciągle listy do Londynu, ale bezskutecznie. Ostatnio nie raczą mu nawet odpisywać. Krótko mówiąc, kapitan Gordon musi przyjechać do Londynu, żeby osobiście przedstawić swoją prośbę ich lordowskim gościom. Dobroć, jaką okazałaś mi, pani, wraz z panem Pinkneyem, kiedy uczyłam się w tym strasznym seminarium pani Dubois, pozwala mi żywić nadzieję, że mogę raz jeszcze skorzystać z twojej uprzejmości. Czy nie sprawilibyśmy zbyt wielkich kłopotów, gdyby mój ojciec złożył wam wizytę na Hans Place? Spodziewa się że tydzień, a najdalej dwa, wystarczy, żeby załatwić sprawę.

Nie mogę dłużej pisać. Mleko wykopiało, a moja córeczka płacze, muszę się więc nią zająć.

*Twoja wdzięczna imienniczka,  
Charlotta Marlowe*

PS

Mój ojciec byłby szczęśliwy, gdyby w zamian za gościnność mógł zająć się drobnymi naprawami w waszym domu.

## LIST PIĄTY

*pani Goddard do pani Pinkney*

Szkoła, Highbury,  
22 września 1816 roku

Kochana Charlotte», jestem tak wzburzona, że muszę chwycić za pióro i natychmiast do ciebie napisać, żeby dać upust swojej irytacji.

Czy uwierzysz, że panna Bates wyjechała? Otóż tak. Opuściła Highbury bez słowa pożegnania i przeniosła się na stałe do Yorkshire.

Co prawda, o ile wiem, nie była to jej suwerenna decyzja. Biedna kobieta. Mimo to trudno mi opisać, jak bardzo jestem przygnębiona. Była moją najlepszą i najstarszą przyjaciółką. Będzie mi jej brakowało tak, jak gdyby umarła.

Pierwszy sygnał, że kroi się coś dziwnego, dostałam od pani Cole (która, nawiasem mówiąc, właśnie przed chwilą wyszła). Powiedziała, że woźnica pana Cole'a pojechał do „Crown” w sprawie siana, gdzie ze zdumieniem dowiedział się, że w Randalls zamówiono konie. Pani Cole i ja zastanawialiśmy się właśnie, co to może znaczyć - w końcu pogrzeb pani Bates odbył się dopiero przedwczoraj - kiedy pojawiła się pani Perry z wiadomością, że Churchillowie już wyjechali. Tak, wyjechali, uwożąc



z sobą pannę Bates. I to w dodatku w niedzielę! Tak się złożyło, że w tym czasie pan Perry ponownie odwiedził Randalls, żeby zbadać małą Annę. Tymczasem Frank Churchill najwyraźniej bardzo się spieszył, nalegał bowiem, żeby jak najszybciej ruszać. Posłano wiadomość do Patty, dając jej pół godziny na spakowanie rzeczy panny Bates. Pan Weston otrzymał instrukcje, żeby spłacić gospodarza, zdać meble Batesów na przechowanie i zwolnić Patty ze służby. Cóż za arogancka decyzja! Oczywiście, nie znamy wszystkich okoliczności. Ale Frank Churchill spędził tylko trzy noce w Randalls, w domu swojego ojca, podróż z Yorkshire zajęła mu dwa dni, a teraz czekają go dwa dni w drodze powrotnej, czy zatem można powiedzieć, że zachowuje się racjonalnie, moja kochana Charlotte? Albo sensownie? Bo taktownie na pewno nie. Serce ścisza mi ból na myśl o biednej Hetty Bates, pogrążonej w rozpacz po stracie matki, a teraz oderwanej od domu i przyjaciół, z którymi nie miała nawet okazji się pożegnać.

Ciekawa jestem, jak pan Weston usprawiedliwi zachowanie syna. A co czuje biedna pani Weston? Oczywiście, nigdy nam tego nie powie, ponieważ jest wierną i lojalną żoną. Ale z pewnością ma na ten temat swoje zdanie. Idę o zakład, że myśli to samo co ja.

Miałaś słuszność przypuszczając, że pannie Bates będzie powodzić się teraz o wiele gorzej niż kiedyś. Pani Bates, jak się zdaje, utrzymywała się z renty. Kiedy ją uzyskała, miała nadzieję, że jej córka wyjdzie w końcu za mąż, ale teraz, po śmierci matki, panna Bates została niemal bez grosza. Pan Cox, prawnik, zdradził panu Perry, który powiedział o tym pani Perry, która z kolei powiedziała mnie, że panna Bates posiada tylko maleńki dochód w postaci odsetek od kapitaliku, jaki udało się odłożyć jej ojcu z pensji duchownego. Ale za tę sumę trudno żyć.

Cóż, będzie miała w Enscombe wyżywienie i dach nad głową, a także codzienne towarzystwo ukochanej siostrzenicy. Czy jednak będzie szczęśliwa, mieszkając w Yorkshire, z dala od przyjaciół, w jednym domu z człowiekiem tak chimerycznym, jak Frank Churchill?

Dziwny jest ten świat, moja droga. Poczułam się trochę lepiej, kiedy ci się zwierzyłam. Bo szczerze mówiąc, już od lat nic nie przygnębiło mnie tak bardzo, jak wyjazd panny Bates.

*Twoja Mary*

## LIST SZÓSTY

*pani Pinkney do Charlotty Marlowe*

Hans Place, Londyn,  
23 września 1816 roku

Moja droga, młoda imienniczko,

Zaledwie dwa czy trzy dni temu wspomniałam swojej siostrze, że martwię się długim brakiem wiadomości od ciebie, dlatego odczułam szczerą ulgę, gdy otrzymałam twój list. Odpiszę krótko, nie wątpię bowiem, że chciałabyś otrzymać odpowiedź możliwie jak najszybciej.

Pozwól mi powiedzieć na wstępie, że będziemy szczęśliwi, mogąc ugościć kapitana Gordona na Hans Place. Pan Pinkney z przyjemnością porozmawia dla odmiany z mężczyzną. Nie mamy żadnych służących mężczyzn, wyjąwszy woźnicę, który mieszka nad stajnią w powozowni. Pan Pinkney żyje więc wyłącznie w otoczeniu kobiet i dzieci - no, powiedzmy jednego dziecka. Dzięki Bogu, Edward nie ma braci ani sióstr, a gdyby miał, byłby to biblijny cud, porównywalny z historią Sary, małżonki Abrahama.

Oboje poznaliśmy twojego ojca przy radosnej okazji jego powrotu, kiedy znów znalazł się w Anglii i przyjechał odwiedzić cię w naszym domu. Należy mu się wszystko za to, co wycierpiał. Ach, wiele bym dała,

żeby jeden z tych tłustych, szczwanych łotrów z Admiralicji, którego noga nigdy nawet nie stanęła na pokładzie okrętu, spędził kilka lat na bezludnej wyspie u wybrzeży Ameryki Południowej. Ciekawe, jak by mu się to podobało! Proszę, przekaz kapitanowi Gordonowi, że może przyjechać, kiedy tylko będzie miał ochotę, i może mieszkać u nas tak długo, jak zechce. A są to słowa i moje, i pana Pinkneya.

Żałuję, że ty do nas nie przyjedziesz. W twojej dawnej szkole mieszka teraz siostrzenica pana Pinkneya. Przychodzi do nas w niedziele na obiady i pewna jestem, że obie rozkoszowałybyście się straszliwymi opowieściami o pani Dubois. Niewątpliwie dziewczynę podniosłoby na duchu, że poznała kogoś, kto przetrwał te same cierpienia.

Moja droga, młoda Charlotte, przykro mi słyszeć, że masz kłopoty i że porucznik Marlowe pełni tak przygnębiającą służbę. Mam nadzieję, że od czasu do czasu dostajesz od niego listy?

Betty już czeka, żeby zanieść korespondencję na pocztę. Ślę ci wyrazy szacunku.

*Twoja kochająca przyjaciółka,  
Charlotte Pinkney*

PS

W domu nie potrzeba żadnych napraw. Proszę, powiedz ojcu, że przyjmimy go z największą przyjemnością. Mamy oboje nadzieję, że jego starania zakończą się powodzeniem.

## LIST SIÓDMY

*pani Pinkney do pani Goddard*

Hans Place,  
23 września 1816 roku

Jestem ci winna już dwa listy, kochana Mary. Szczerze ucieszyła mnie wiadomość o narodzinach syna Emmy, a wzburzyła informacja o nagłym wyjeździe panny Bates. Wszystko wskazuje na to, że despotyzm Franka Churchilla znów dał znać o sobie. Władza. Ostentacja. Tylko on mógł podjąć tak nagłą decyzję i tylko on potrafi tak nieoczekiwanie wyjechać. Współczuję ci z powodu utraty przyjaciółki. Cóż za kolosalna odmiana w życiu panny Bates! Nie wątpię, że całe jej dawne mieszkanie nad sklepem zmieściłoby się doskonale w saloniku śniadaniowym w Enscombe, a i tak zostałyby jeszcze trochę miejsca. Pan Pinkney uważa, że nie będzie szczęśliwa w nowym otoczeniu, ale ja jestem innego zdania. To dla niej nie lada okazja. Może wpadnie jeszcze w oko staremu wujowi?

Nie, nie pisałaś mi, że Eltonowie wyprowadzili się do Londynu. Szkoda. Miałabym się na baczności. Powinnaś jednak wiedzieć, że londyńskie kościoły nie są już takie same. Jeden z nich dźwiga wyjątkowo potężny krzyż, został bowiem doświadczony najazdem państwa Eltonów. Czy jesteś ciekawa, a powinnaś być, który to kościół? Powiem ci.

Ponieważ nie uczęszczam regularnie na nabożeństwa, nie pamiętam, kiedy ogłoszono, że nasz beneficjant, stary doktor Coombs, bardzo już leciwy, odchodzi - a raczej, że biskup usunął go ze stanowiska, które obejmie już wkrótce pewien młody człowiek. W ostatnią niedzielę pan Pinkney uznał, że długo zaniedbywaliśmy nabożeństwa i że dla dobra naszych dusz powinniśmy pójść do kościoła. Wyobraź sobie moją konsternację i zdumienie, kochana Mary, kiedy ujrzałam puszącą się na klęczniku plebana jak na grzędzie panią Elton, wystrojoną w te jej żaboty i falbanki, a później zobaczyłam, że środkiem nawy paradyje nie kto inny, jak pan Elton, z zadowolonym z siebie krzywym uśmiechem na twarzy i świeżo wypraną komżą na grzbiecie. Tego było już dla mnie za wiele.

Na dobitkę nie było sposobu, żeby ich zignorować. Stali w krążanku, kiedy wychodziliśmy z kościoła. Trzeba się było skłonić, dygnąć i tak dalej, a potem wymienić oficjalnie przyjazne pozdrowienia. Uroczą pogodą jak na tę porę roku. Czy podoba im się w nowym domu? Czy miałam wieści od pani Goddard? Pani Elton spodziewa się niedługo wizyty siostry, pani Suckling z Maple Grove (co stale podkreślała). Nie wątpi, że słyszałam to nazwisko. Nie widziały się od dnia jej małżeństwa z panem Eltonem. Wyraziłam zdziwienie. Nie, nie ma w tym nic dziwnego. Niełatwo dojechać do Highbury. Zresztą i tak nie ma po co. Londyn jest o wiele bardziej interesujący.

Założę się, że to ona stoi za przeprowadzką Eltonów do miasta. Choć śmiem twierdzić, że pan Elton nie sprzeciwiał się tym planom. Zapewne ogarniał go śmiertelny smutek na widok Emmy, zasiadającej na niedzielnym nabożeństwie przy boku pana Knightleya. Niewątpliwie znaczne prywatne dochody pani Elton dobrze mu się przysłużyły do

zdobycia tej nowej posady. Kiedy poznałam ją po raz pierwszy w Bath jako panią Hawkins, poczułam dla niej pogardę. Ale odkąd spotkałam ją później w Highbury jako panią Elton, nie cierpię tej kobiety. Nie przypuszczałam ani przez chwilę, że wszędzie będzie straszyć mnie jak duch. No, ale przestrzegłam przed nią pana Pinkneya. Trudno, wydam duszę na wieczne zatracenie. Niech pan Pinkney nie spodziewa się, że zacznę teraz częściej bywać w kościele. Betty przyniosła mi właśnie bilecik od Isabelli Knightley. Píše, że od śmierci ojca nie udzielała się towarzysko i przeprosza mnie, dlatego bowiem nie przychodziła ostatnio w odwiedziny. (Ja podejrzewam inną przyczynę, na podstawie aluzji, jaką uczynił w mojej obecności pan Wingfield). Isabella powiada, że zastanawiają się, co zrobić z Hartfield. Otrzymali spadek, i to zmusza ich do podjęcia decyzji. Mając na utrzymaniu tyle dzieci, pan Knightley nie może obecnie myśleć o opuszczeniu Londynu. Jeśli chodzi o mnie, to nie wierzę, że ma po temu jakąkolwiek ochotę. Słyszałam, że pan John Knightley doskonale daje sobie radę w zawodzie prawnika. Dwaj jego starsi synowie, Henry i John, chodzą już do szkoły, i pewnego dnia wyjadą niedługo do Eton. To zaś wymaga sporych funduszy, moja kochana Mary.

*Zawsze twoja*

*Charlotte PS*

Dlaczego piszesz, że wasz nowy pleban ma „hałaśliwą reputację”? Zapomniałam też dodać, że dostałam wreszcie list od Charlotty Marlowe. Wciąż jest osobą dumną i dzielną, jaką ją pamiętamy, choć czytając

między wierszami domyślam się, że trapią ją choroby, brak gotówki i nieobecność męża. Prosi, żebyśmy ugościli jej ojca, kapitana Gordona, który przyjedzie wycisnąć z Admiralicji należne mu pieniądze.



## LIST ÓSMY

*pani Elton do pani Suckling*

Probostwo św. Stefana  
Londyn, Arabella Street,  
23 września 1816 roku

Kochana Selino,

Dzięki Bogu, że posiadam odpowiedni kapitał. Nie mogłabym utrzymać się za mniej niż dziesięć tysięcy funtów, a życie z pensji duchownego byłoby całkowicie nie do przyjęcia. Ale tymczasem udało nam się umeblować i wyposażać dom, który wygląda teraz znakomicie. Mój *caro sposo* i ja nie musielibyśmy się teraz wstydzić, przyjmując ciebie oraz pana Sucklinga, toteż czekamy tylko, żebyście podali dokładną datę waszego przyjazdu. Nie powinniście jednak oczekiwać, że nasz nowy dom dorówna Maple Grove - w miejskim probostwie nie może być przecież mowy o elegancji i przestronności majątku ziemskiego.

Tuszę, że nie zganisz siostry za opieszałość w korespondencji. Miałam mnóstwo zajęć - musiałam na przykład dopilnować nowej gospodyni i wyznaczyć jej codzienne zadania oraz przyuczyć dwie nowe służące do swoich obowiązków. Słowo daję, że nie miałam ani chwili dla siebie.

Mój instrument, moja igła, mój pędzel malarski - wszystko poszło w ką. Teraz mogę ci jednak zakomunikować, że jesteśmy na najlepszej drodze, żeby zakończyć urządzenie domu. Powiadam ci, jestem ogromnie rada, że strzepnęłam już z trzewików kurz tego nędznego Highbury.

W takim miejscu nawet kobieta o moich dochodach musi w końcu odczuć brak eleganckiego towarzystwa. Kiedy Frank Churchill poślubił Jane Fairfax i wywiózł ją do Yorkshire, w Highbury nie pozostał już nikt, z kim warto byłoby utrzymywać znajomość, może z wyjątkiem pani Cole (która żyje na podobnym poziomie jak my, chociaż zbyt chętnie zaprasza do siebie byle kogo). Knightley przestał bywać w wyższych sferach pod wpływem tej nadętej Emmy Woodhouse. Nie uwierzyłybyś własnym oczom, kochana Selino, gdybyś ją kiedyś poznała. Miny, które przybiera, są wprost nie do zniesienia. Można by pomyśleć, że jest koronowaną królową Highbury. A przecież nigdzie nie była, nawet morze zobaczyła pierwszy raz dopiero po ślubie, kiedy pojechała z mężem na wybrzeże. Ale tak jak mówiłam, usidliwszy Knightleya, trzymała go w zamknięciu w Hartfield, niemal jak więźnia, pozwalając mu tylko odwiedzać czasem posiadłość w Donwell Abbey.

Biedaczysko! Zasługiwał na coś lepszego. Wiązałam kiedyś z Knightleyem wielkie nadzieje. Czy wiesz, że pewnego razu urządził nawet przyjęcie na moją cześć? Nie pojmuję władzy, jaką ma nad nim ta kobieta. Przez dwa lata pan Knightley tańczył wokół starego pana Woodhouse'a jak zwykły służący.

Na szczęście jego wyzwolenie jest już bliskie. Słyszałam od pani Cole, że pan Woodhouse umarł. Był nieszkodliwym, wiekowym dżentelmenem, pozostającym całkowicie pod pantoflem córki, lecz kiedy wychodziłam za mąż, zachował się wobec mnie niezwykle szarmancko, bo z dawna już był moim adoratorem. A teraz podobno Pyszna Królowa Emma wraz z

małżonkiem i dzieckiem szykują się, żeby powrócić do posiadłości w Abbey.

Ale dość o Highbury. Chciałabym o nim zapomnieć, chociaż nie całkiem mi się to udaje. Zawsze znajdzie się jakiś drobiazg, który przypomina mi to miejsce. Otóż wyobraź sobie, że siostra pani Goddard, dyrektorki szkoły w Highbury, należy do naszej parafii! Pani Pinkney jest o kilka lat młodsza od pani Goddard i, jak sądzę, znajduje się o kilka szczebli wyżej na drabinie społecznej. Jej mąż jest dżentelmenem w każdym calu. Moim zdaniem to dla niej zbyt dobra partia. Widziałam panią Pinkney z Isabella Knightley na spacerze w St. James's Park. Szły na czele całego oddziału nianiek i małych dzieci. Isabella Knightley jest siostrą tej wstrętnej Emmy. Dwie siostry poślubiły dwóch braci. W Highbury nie było wielkiego wyboru. Tamtejsze kobiety muszą polować na mężów gdzie się tylko da. Ale nie wiem, dlaczego piszę o tych sprawach, skoro usiłuję zapomnieć o wszystkim, co ma jakikolwiek związek z tym paskudnym miejscem.

Londyn to zupełnie inny świat! Mojemu *caro sposo* jest o wiele przyjemniej wygłaszać kazania przed wykształconą publicznością. Zapewniam cię, że tutejsi mieszkańcy zdecydowanie górują nad ludźmi z Highbury. Nasi nowi parafianie są w większości wytworni i mają dobrze wychowane dzieci. Obiecuję sobie dobrą przyszłość dla mojej małej Gussie.

Choć dopiero niedawno się tu sprowadziliśmy, Philip cieszy się już należnym mu szacunkiem, czego nie można było powiedzieć o nim w Highbury. O nie! Słowo daję. To okropne miejsce znowu przeszkadza mi pisać.

Zmienię temat. Teraz, kiedy skończyliśmy już remont domu, zaczynamy przyjmować gości. Dziś wieczorem odbędzie się u nas pierwsze

przyjęcie. Zaprosiłam co znaczniejszych parafian. Któregoś razu trzeba będzie zaprosić matkę i siostry Philipa, ale dzisiejszy wieczór wymaga prawdziwej elegancji, muzyki, lodów, ciętych kwiatów i ptifurek. Ach, nadchodzi pani Parker, żeby zawracać mi głowę. Dobre sobie! Przecież omówiliśmy już wszystkie szczegóły. Wszyscy służący mają głowy jak sita, i chyba dlatego są tylko służącymi.

Napisz, kiedy przyjedziecie.

*Twoja kochająca siostra,  
Augusta Elton*

## LIST DZIEWIĄTY

*Charlotta Marlowe do pani Pinkney*

Pensjonat pani Smith, Portsmouth,  
24 września 1816 roku

Kochana pani Pinkney,

Twoje serdeczne zaproszenie ogromnie podniosło na duchu całą naszą rodzinę. Ojciec ma nadzieję, że w poniedziałek wyruszy dyliżansem do Londynu.

Przykro mi słyszeć, że twoja siostrzenica czuje się nieszczęśliwa. Mnie uratowałaś od tego straszego miejsca. Czy nie mogłabyś, pani, uczynić dla niej tego samego?

Pytasz, jak się miewam. W domu jest wiele pracy, bo do pomocy mamy tylko Becky i sama często muszę gotować. Czasami uśmiecham się, kiedy pomyślę, jak mało wiedziałam o prowadzeniu domu, i przypominam sobie, jak ostatniego lata przed ślubem pani Goddard przestrzegła, co mnie czeka, a jej kucharka, Sara, próbowała nauczyć mnie gotować. Nie chciałam wtedy ani ich słuchać, ani się uczyć! Cóż, w potrzebie człowiek uczy się pod przymusem, jak powiadają mądrzy ludzie - toteż teraz dość pospiesznie przyswoiłam sobie podstawowe umiejętności, które powinnam opanować, żeby utrzymać domowników przy życiu.

Tak, dostaję listy od mojego najukochańszego Richarda. Ale nawet gdyby tak nie było, nigdy bym o nim nie zapomniała. Co wieczór przeznaczam kilka cichych chwil, by przypatrywać się jego portretowi i wyobrażać sobie, że z nim rozmawiam. Pisze do mnie codziennie, choćby kilka zdań, a kiedy tylko odpływa do Anglii szybki statek pocztowy, Richard wiąże listy w paczkę i wysyła je razem. Kiedy dostaję pocztę, zaczynam bić się z myślami. Czy powinnam przeczytać wszystkie listy od razu, czy może oszczędzać je i czytać powoli, jeden dziennie, w ten sposób maksymalnie przedłużając rozkosz? Ale oczywiście nigdy nie potrafię się powstrzymać. Nie umiem się oprzeć pokusie. Pochłaniam je więc wszystkie natychmiast, a wówczas, kiedy wiem już, że mój mąż jest zdrow i cały, rozwodzę się nad tekstem i po kilkakroć czytam każde słowo, napisane jego ukochaną dłonią, albowiem pismo Richarda sprawia, że widzę go niemal tak wyraźnie, jak gdyby był tu ze mną.

Tak się złożyło, że właśnie wczoraj dostałam od niego przesyłkę, dlatego dokładnie pamiętam, co mi pisał. Wyrażał się bardzo emocjonalnie o handlu niewolnikami, który wciąż się rozwija pomimo ogłoszenia abolicji. Nie wiem, czy coś pani wiadomo na ten temat. Ja nic nie wiedziałam, dopóki Richarda nie wysłano do Afryki. Pomimo że nie wolno teraz chwycić niewolników i sprzedawać ich w Indiach Zachodnich ani w Ameryce, to jednak w obu tych rejonach świata niewolnictwo wciąż istnieje, a zatem istnieje również rynek handlu niewolnikami i handlarze żywym towarem nadal uprawiają swój proceder. Richard twierdzi, że jest to niewyobrażalne okrucieństwo. Czasami jego opisy są tak sugestywne, że doprawdy nie mogę ich czytać. Murzynów schwytyanych w afrykańskich lasach upycha się na drewnianych półkach pod pokładem statku i skuwa, niekiedy tak ciasno, że mogą leżeć tylko na boku i nie są nawet

w stanie usiąść - nie wspominając już o zaspokojeniu potrzeb naturalnych. Oczywiście, w takich warunkach wielu z nich umiera. Zaduch i brak powietrza jest tak wielki, że pod pokładem nie chcą się palić świece. Richard pisał mi o pewnej kobiecie, która urodziła dziecko, przykuta łańcuchem do zwłok. Murzynów cechuje się jak bydło, inicjałami właściciela, a raz dziennie wyprowadza się ich na pokład i zmusza, żeby „dla zdrowia” śpiewali i tańczyli. Wyobrażasz sobie, pani, jak tym nieszczęśnikom chce się tańczyć? Ale czy im się to podoba czy nie, muszą być posłuszni, bo nieopodal stoi marynarz z batem, którego używa z największą przyjemnością. Richard powiada, że jego marynarze potrafią rozpoznać statek handlarzy niewolników nawet z odległości kilku mil, taki straszny odór panuje bowiem na ich pokładach. Jest ogromnie rad, gdy uda się zatrzymać taki statek i odtransportować Murzynów z powrotem w ich rodzinne strony.

Mam nadzieję, kochana pani Pinkney, że moja opowieść nie przygnębiła cię zbyt, ale wiele myślę na ten temat, ponieważ niedawno czytałam listy Richarda.

Tutaj, w Anglii, nie mamy o tych sprawach najmniejszego pojęcia.

*Twoja wdzięczna i kochająca przyjaciółka,  
Charlotte Marlowe*

## LIST DZIESIĄTY

*pani Goddard do pani Pinkney*

Highbury, czwartek,  
26 września 1816 roku

Pomyśleć tylko, pan i pani Elton w twoim kościele! Cóż za niezwykle zbieg okoliczności. Doprawdy, współczuję ci, kochana Charlotto. Ale przynajmniej w tak wielkim mieście jak Londyn nie będziesz musiała spotykać się z nią na stopie towarzyskiej. Żałuję tylko, że zamierzasz teraz jeszcze rzadziej uczestniczyć w nabożeństwach. Co powiedziałyby na to nasz pobożny ojciec? Nie powinno się uzależniać udziału w obowiązkach religijnych od charakteru plebana. A poza tym, jeśli naprawdę nie możesz znieść pana Eltona, to w Londynie z pewnością znajdziesz wiele innych kościołów. Potraktuj to jako podpowiedź starszej siostry.

Tymczasem nasz nowy pleban pod wieloma względami okazuje się osobą bardziej wartościową od pana Eltona. Jest młodszym synem (a raczej jednym z kilku młodszych synów) pewnego starego, szacownego rodu z północnych stron kraju. Sądzę, że Charles Rutherford przywdział duchowne szaty, gdyż nie miał innego wyboru. Musiał zarabiać na życie, a ponieważ wojna się skończyła, nie było dla niego miejsca ani w wojsku,



ani w marynarce. Opowiadał w naszym klubie karcianym, że brakuje mu dawnych przyjaciół z Cambridge i że jego namiętnością są łowy. Oddawał się łowiectwu wraz z braćmi, gdy mieszkał w rodzinnym domu, ale w Highbury nie ma po temu możliwości. Pan Cole i pan Perry powtórzyli jego słowa swoim żonom, a one wszystko mi opowiedziały. Możliwe, że właśnie dlatego przypisano panu Rutherfordowi „hałaśliwą reputację”. Bo poza tym - choć wypada żałować, że nie czuł powołania do służby kościelnej - wydaje mi się całkowicie nieszkodliwym młodzieńcem. Na razie jest jeszcze nieśmiały, bojaźliwy i niezbyt otwarty w rozmowach z parafianami. Ale jestem pewna, że za kilka lat, kiedy się ożeni i ustatkuje, zostanie godnym plebanem Highbury. Podobno lubi także wędkowanie - a to nie świadczy chyba o hałaśliwości, prawda? Raczej, jak sądzę, o kontemplacyjnej naturze. Pana Rutherforda widziano kilkakrotnie, jak siedział samotnie nad brzegiem rzeki, tam gdzie jej nurt zamyka pięknym łukiem Abbey Mill Farm. Niewątpliwie czuje się samotny, choć ostatnio odwiedził go, zdaje się, stary przyjaciel z Cambridge. Zauważyłam onegdaj jakiegoś wysokiego, jasnowłosego mężczyznę, spacerującego z panem Rutherfordem po High Street. Ale ów młodzieniec już wyjechał. Słyszałam, że pan Rutherford odwiedził Perrych i Cole'ów, trudno jednak na podstawie dwóch zaproszeń spodziewać się, że powstał już wokół niego krąg przyjaciół, albo że te wizyty zdołały rozproszyć samotność, którą zapewne odczuwa. Gdyby pan i pani Knightley nie byli obecnie tak zajęci przeprowadzką, z pewnością także zaprosiliby go na obiad.

Kiedy wspominam o przeprowadzkach, a myślę o Hartfield, to dochodzę do wniosku, że pan Woodhouse musiał się chyba długo zastanawiać, zanim zapisał posiadłość Isabelli. Emma zawsze była jego ulubioną

córką. Hartfield to wygodny i uroczy dom, ale trudno go porównać z Donwell Abbey, będącym zaledwie punkcikiem w majątku Donwell. Nie było mowy, żeby pan Knightley miał pozostać w Hartfield, nawet gdyby mógł. Nigdy nie porzuciłby Donwell i swoich dzierżawców, takich jak Robert Martin, których los spoczywa w jego rękach.

Oba domy należą do Knightleyów i Woodhouse'ów od kilku pokoleń. Pan Knightley, choć jest właścicielem znacznie większego majątku, posiada jednak mniej niż skromne dochody. Jestem pewna, że fortuna, którą wniosła mu w posagu Emma Woodhouse, zostanie częściowo przeznaczona na remont majątku. Wydaje mi się jednak rzeczą zrozumiałą, że to starsza córka, Isabella, odziedziczyła Hartfield. Przecież John Knightley nie ma majątności na wsi, a jedynie dom przy Brunswick Square. Nie sądzę, żeby pan Woodhouse zdołał to obmyślić sam, toteż nie zdziwiłabym się, gdyby sporządzając testament zasięgał rady pana Knightleya. Mniemam, że John Knightley z małżonką powrócą do Hartfield na stare lata, a majątek odziedziczy ich syn, mały Henry Knightley. W ten sposób zacny ród Knightleyów kwitł będzie nadal w Donwell i w Highbury. Ta perspektywa sprawia mi ogromną satysfakcję, choć wtedy mnie nie będzie już na świecie.

A zatem, kiedy tylko dom w Abbey zostanie przygotowany, Knightleyowie przeniosą się do niego. Wiem od Sary, że pani Hodges i William Larkins nie posiadają się z radości. Słyszano ostatnio, że ponury zazwyczaj William często pogwizduje. Zawsze był oddany swemu panu i bardzo za nim tęsknił, odkąd Knightley opuścił majątek, a przecież godzina czy dwie, Jakie John spędzał w posiadłości, nadzorując pracę swoich ludzi, to za mało, żeby wynagrodzić im długą nieobecność.

Dzięki Donwell Abbey przypomniałam sobie, że dzisiaj rano spotkałam mnie miła niespodzianka, ponieważ złożyły mi wizytę moje dwie dawne „córki” z Abbey Mill Farm. Robert Martin przybył do Highbury w interesach. Przyjechał razem z Harriet i swoją siostrą dwukołowym powozikiem, zaprzężonym w kuce. Pani Martin i Elizabeth mają osobny domek na farmie - a młodsza córka Martinów wyszła za mąż w zeszłym roku. Nie jestem swatką, ale bardzo bym chciała, żeby Elizabeth Martin poznała wreszcie odpowiedniego mężczyznę. To bardzo sympatyczna, młoda kobieta, obdarzona ponadto dobrym charakterem. Pamiętam, że zachowała się wspaniale, kiedy Harriet odrzuciła z początku oświadczynej jej brata. Niedawno skończyła dwadzieścia jeden lat, a zatem pora już, żeby znalazła męża.

Życie w Abbey Mill wyraźnie służy Harriet. Ma wiele zajęć przy drobiu, krowach i dzieciach. Po wszystkich zmartwieniach, jakich mi przysporzyła, zakochując się najpierw w panu Eltonie, a potem kolejno w innych nieodpowiednich dla niej mężczyznach w Highbury, z zadowoleniem patrzę, że się ustatkowała. Powiada, że bardzo rzadko widuje panią Knightley. Jak pamiętasz, Emma była kiedyś jej największą przyjaciółką, osobą, którą wyjątkowo szanowała. Z przyjemnością skonstatowałam jednak, że Harriet nie mówiła tego z zalem, i wydaje mi się, że cieszy się z takiego obrotu spraw. Zapewne nie może zapomnieć, że panna Woodhouse radziła jej kiedyś, aby nie wychodziła za Roberta Martina. Któż jednak może wiedzieć, co przyniesie przyszłość! Kiedy Knightleyowie przeniosą się do Donwell, obie rodziny zamieszkają blisko siebie, będą więc miały więcej okazji do spotkań, choć być może nie będą z nich korzystały.

Emma Knightley nieczęsto pokazuje się w Highbury, choć tak jak zawsze pozostaje w bliskich stosunkach z panią Weston. Oprócz dawnych

związków łączą je teraz problemy związane z wychowaniem dzieci. Mała Anna jest zaledwie o czternaście miesięcy starsza od dziecka Emmy. Przyszło mi do głowy, że za dwa lub trzy lata Anna będzie w tym samym wieku, w jakim była Emma, gdy przyjechała po raz pierwszy do Highbury razem z panią Weston (wówczas panną Taylor), która zamieszkała w Hartfield jako jej guwernantka. Gdzie podziały się te wszystkie lata?

*Twoja kochająca  
M. Goddard*

PS

Przykro mi słyszeć, że młoda Charlotta przeżywa trudny okres, ponieważ jej mąż przebywa z dala od domu. Nie każda kobieta wybrałaby sobie marynarza na małżonka.

## LIST JEDENASTY

*pani Pinkney do pani Goddard*

Hans Place,  
wtorek, 1 października 1816 roku

Serce ściska mi ból, kochana Mary, gdy myślę o samotności twojego młodego plebana. Biedaczysko! Skazany na typowy los beniaminka w dużej rodzinie. Nasze angielskie zwyczaje pierworództwa są niekorzystne dla młodszych synów: najpierw wychowują się w luksusach i spokoju w rodzinnej posiadłości, a potem, gdy osiągną wiek dojrzały, wypędza się ich i każe zarabiać na życie. Naturalnie, właśnie z tej przyczyny wasz Charles Rutherford, zmuszony porzucić swoje codzienne zajęcia, pozbawiony domu, braci i przyjaciół uniwersyteckich, czuje się wciąż niepokieszony. Przyszło mu wykonywać zawód, do którego nie ma zdolności ani zapału i do którego jest najprawdopodobniej źle przygotowany. Ponadto wysłano go tam, gdzie nikogo nie zna, choć oczekuje się od niego, że w pewnym sensie stanie na czele społeczności miasteczka. Moim zdaniem, postępowanie Kościoła anglikańskiego jest całkowicie nieopięte. Nie przyznają rent wdowom i nie troszczą się o swoich duchownych. Panu Rutherfordowi oczywiście jest potrzebna żona: kobieta wesoła,

sympatyczna i pracowita. Czy spośród całego zastępu twoich dziewcząt, Mary, nie mogłabyś wybrać dla niego jakiejś kandydatki? Ależ tak, naturalnie. Właśnie przyszło mi to do głowy. Elizabeth Martin. Uczynź z nich parę, a spełnisz podwójny dobry uczynek: po pierwsze, rozproszysz samotność pana Rutherforda, a po drugie, znajdziesz męża dla Elizabeth. Czy to nie idealny plan? Skoro ja wpadłam na pomysł, ty musisz się zająć jego realizacją.

Wszystko, co piszesz mi o Emmie, Harriet i przeprowadzce do Donwell, ogromnie mnie interesuje. Pan Knightley musi być szczęśliwym człowiekiem. Spełniwszy swój obowiązek, zbiera teraz żniwo nagrody. Oto kolejny przypadek pierworództwa, ale nikomu nie przysparzający cierpień: braci jest tylko dwóch, a pan John Knightley jest przecież wziętym prawnikiem. Nie ma powodu narzekać.

Wczoraj przyjechał kapitan Gordon. Ze zrozumiałych powodów w dość ponurym nastroju. Bardzo się postarzał od czasu, kiedy go ostatnio widzieliśmy - szara cera, siwe włosy, poorane oblicze. W jego zachowaniu widać dziwną mieszaninę godności i pokory, żalostną w kimś tak bohaterskim, jak on. Sądzę, że ubóstwo oraz fakt, że zadłużył się u obcych za gościnność, napawają go ogromnym niesmakiem. Przy obiedzie pan P. zmusił go niemal, aby wypił kielich wina. Drugiego kapitan stanowczo odmówił. Powiedział, że pije ostatnio mało alkoholu i obawia się, żeby wino nie uderzyło mu do głowy. Ubrania ma już mocno podniszczone, choć bardzo starannie połatanie, zacerowane i wyprasowane.

Nie tracił czasu i udał się do Admiralicji nazajutrz z samego rana. Nic nie powiedział, gdy wrócił, a my nie chcieliśmy go zranić niewczesną ciekawością. Jednak dziś wieczorem podczas podwieczorku zauważył z

goryczą, że nasz kraj często traktuje swoich najlepszych marynarzy bardzo niegodziwie. Przytoczył przykład kapitana George'a Vancouvera, który powróciwszy z długiej, zamorskiej wyprawy, został nie tylko pozwany do sądu przez jednego z członków własnej załogi, ale ponadto w nagrodę za niebezpieczną ekspedycję otrzymał nędzny, psi grosz, starczący ledwie, żeby utrzymać się przy życiu.

Bieda i niepewność muszą być nie do zniesienia dla człowieka będącego kapitanem Marynarki Królewskiej i dowódcą okrętu, na którym służyło kiedyś pod jego rozkazami stu ludzi załogi. Co gorsza, kapitan Gordon nie tylko popadł w ubóstwo, lecz ma także poczucie niezawinionej krzywdy.

Mój kochany małżonek woła, żebym zdmuchnęła już świecę i poszła spać.

*Twoja kochająca  
Charlotta*

## LIST DWUNASTY

*kapitan Gordon do Charlotty Marlowe*

Hans Place, Londyn,  
środa, 2 października 1816 roku

Moja kochana Lottie,

Piszę tych kilka słów, żeby ci powiedzieć, że przyjechałem na miejsce i jestem już na Hans Place. Podróż dyliżansem do Londynu niespodziewanie okazała się bardzo przyjemna. Siedziałem obok woźnicy, bardzo sympatycznego jegomościa. To jeden z tych woźniców-dzentelmenów, o których się teraz słyszy.

Pinkneyowie powitali mnie gościnnie. Pani Pinkney ma cięty język, ale wiem, że kryje się za nim czułe serce, ponieważ była dla ciebie bardzo dobra, kiedy potrzebowałeś przyjaciółki. A być może należałoby powiedzieć, że dobra jest także dla mnie, skoro przyjmuje mnie pod swoim dachem.

Chciałaś, żebym ci opisał ich synka. To chłopczyk dobrze rozwinięty jak na swój wiek, wydaje mi się nawet, że lepiej niż nasz mały Richard. Moim zdaniem dzięki temu, że malec jest jedynym dzieckiem dwojga dość już posuniętych w latach rodziców. Sądzę bowiem, że pan Pinkney



jest niemal w moim wieku. Od razu widać, że chłopak to jego oczko w głowie. Pani Pinkney także go uwielbia, choć mniej demonstracyjnie, przynajmniej w mojej obecności. Prawdopodobnie uważa, że przy obcych nie należy okazywać zbytnej czułości.

Dziś rano poszedłem do Admiralicji. Niestety, na próżno. Rozmawiałem z kancelistą. Nie mogą znaleźć mojego nazwiska w żadnym spisie, a mnie nie udało się uzyskać audiencji u żadnej ważniejszej osobistości. Tak długo przebywałem poza krajem, że czeka mnie mnóstwo trudu, aby przekonać kogo trzeba o moich kwalifikacjach i zasługach.

Nie napiszę więcej, jeśli nie będę miał dobrych wiadomości. Listy to dodatkowe wydatki, na których możemy zaoszczędzić kilka groszy.

*Twój zawsze kochający ojciec,  
A.J. Gordon*

PS

W najbliższą niedzielę mam poznać siostrzenicę pana Pinkneya, niejaką pannę Adams. Jest uczennicą w tym samym diabelskim seminarium, w którym ty kiedyś tyle wycierpiałaś.

## LIST TRZYNASTY

*pani Suckling do pani Elton*

Maple Grove, okręg miasta Bristol,  
2 października 1816 roku

Kochana Augusto,

Pan Suckling i ja dowiadujemy się z największym zadowoleniem, że ty i twój drogi mąż znaleźliście się na godnych siebie miejscach. Nigdy nie podobała mi się myśl, że mielibyście mieszkać gdzieś tak daleko i wśród tak podrzędnego towarzystwa, jak w Highbury.

Martwiłam się także o swoją siostrzenicę. Przechodzi mnie dreszcz, kiedy pomyślę, na jaką pospolitą i nieokrzesaną dziewczynę mogłaby wyrosnąć mała Gussie, gdybyście pozostali w Highbury i musieli posłać ją do szkoły tej jakiejś pani Goddard, o której mi pisałaś.

Zwlekałam z odpowiedzią, dopóki nie udało mi się skłonić pana Sucklinga, żeby wyznaczył dogodny termin naszej wizyty u was. Szkoda, że nie udało nam się do was przyjechać, kiedy mieszkaliście jeszcze w Highbury. Ale sądząc z tego, co piszesz o owym miasteczku, niewiele straciliśmy. Mam nadzieję, że odpowiada wam poniedziałek, dwudziesty

piąty listopada. Wyruszymy w niedzielę i zatrzymamy się po drodze na noc. Choć perspektywa nocowania w gospodzie napawa mnie odrazą, zabieram jednak ze sobą własną pościel, bo mimo wszystko lepiej przemocować niż jechać w ciemnościach, a tak by się bowiem stało, gdybyśmy chcieli podróżować bez noclegu. Pan S. powiada, że nie może sobie pozwolić na więcej niż tydzień urlopu. Musimy wrócić do domu w następną niedzielę. Mój mąż spodziewa się, że pan Elton nie jest jednym z tych duchownych, którzy mają coś przeciwko podróżowaniu w niedzielę.

Żałuję bardzo, że nasza wizyta będzie taka krótka. Niestety, pan S. jest teraz bardzo zajęty, prowadzi bowiem handel z Indiami Zachodnimi. Odkąd dziewięć lat temu zniesiono niewolnictwo, całkowicie zmienił się charakter usług żeglugowych - oczywiście, jeżeli trzymać się litery prawa, jak naturalnie zyczyłby sobie pan Suckling. On osobiście nigdy nie parał się handlem niewolnikami. Jak sobie zapewne przypominasz, zawsze był zasadniczo zwolennikiem abolicji. A zatem jego sumienie jest czyste (dzięki ewangelikom modnie jest obecnie mieć sumienie). Mimo wszystko pan S. często twierdzi, że jego ojcu wiodło się w życiu o wiele łatwiej niż jemu. Kiedy przedsiębiorstwem zarządzał stary pan Suckling, statki załadowywano paciorkami i świecidełkami, produkowanymi w Anglii, a następnie wymieniano je u plemiennych wodzów na niewolników. Dziś handel jest trudniejszy i bardziej ryzykowny, gdy trzeba na przykład zabrać z Nowej Fundlandii transport dorsza i przewieźć go na plantacje na Karaibach, gdzie rybę wymienia się na cukier i rum. Piszę ci o tym, żebyś zrozumiała, że to nie brak ochoty wzbrania nam przyjechać do was na dłużej. Z pewnością pamiętasz jeszcze, jak pan Suckling i pan Bragge przemierzali w cztery konie okolice, dwa razy w tygodniu

podróżując do Londynu i z powrotem. Dlatego mam nadzieję, że w przyszłości będziemy częściej odbywać podobne wyprawy. Chcę wybrać się na zakupy. Pragnę szczególnie odwiedzić salon Wedgwooda, a poza tym słyszałam o uroczym, małym magazynie pewnej modystki na Pater-noster Row, który odwiedziła niedawno pani Bragge. Postanowiłam, że będę miała taki piękny kapelusz jak ona. A poza tym są jeszcze kupcy jedwabni w Spitalfield's. Powiadam ci, będziemy miały tutaj mnóstwo zajęć.

U siebie, w Maple Grove, mam także dużo pracy. Musimy przeprowadzić w posiadłości kilka drobnych napraw. Ławka, okalająca limonę rosnącą na środku trawnika, która tak ci się zawsze podobała, zaczęła już butwieć i, trzeba wymienić ją na nową. Budujemy też cieplarnię, żeby hodować własne ananasy, rozbudowujemy ogród kuchenny, wznosimy mury z cegieł i tak dalej. A weź pod uwagę, że nie zawsze jest łatwo znaleźć uczciwych, zacnych robotników, którzy wykonają niezbędne prace, nie żądając wygórowanych stawek, ale w naszych niespokojnych czasach trzeba się cieszyć z tego, co się ma.

Właśnie służba zaanonsowała panią Smallridge. Wybacz, proszę, ten tak krótki list. Dzieci stają się nieznośne i muszę je odesłać do pokoju. Gdyby mogło im to przyjść do głowy, z pewnością zechciałyby pozdrowić swoją kuzynkę Gussie.

*Twoja kochająca siostra,  
Selina Suckling*

PS

Zauważyłam, że w swoim liście wspominasz wciąż o Highbury. Błagam cię, zapomnij o wszystkim, co ma jakikolwiek związek z tym

nędznym miasteczkiem. Jak myślisz, czy powinniśmy przyjechać bryczką czy landem? Podróżujemy oczywiście w cztery konie.

## LIST CZTERNASTY

*pani Goddard do pani Pinkney*

Highbury,  
środa, 2 października 1816 roku

Biedny kapitan Gordon! Z całego serca życzę mu powodzenia. Gdyby dysponował własnymi dochodami, młodym byłoby na pewno lżej.

Dziś, kochana Charlotto, spotkałam u Forda panią Weston. Jest czarującą, a przy tym zrównoważoną kobietą. Nie miałam okazji porozmawiać z nią sam na sam od śmierci pani Bates. Ale dziś w sklepie było wielu klientów i obsługa była zajęta, usiadłyśmy więc przy drzwiach i ucięłyśmy sobie nad wyraz swobodną pogawędkę.

Znam już okoliczności związane z nagłym wyjazdem Churchillów do Enscombe. Temat pojawił się w naszej rozmowie zupełnie naturalnie. Powiedziałam jedynie, że bardzo tęsknię za panną Bates i mam nadzieję, że jest szczęśliwa w Yorkshire. Dodałam też, że martwię się o nią, ponieważ nie przysłała mi żadnego listu. Nie sądziłam, że panna Bates okaże się tak marną korespondentką. Dobroduszna pani Weston zrobiła zafasowaną minę, kiedy wspomniałam, że panna Bates nie pisze, po czym oświadczyła, że bardzo niefortunnie się złożyło, iż Churchillowie musieli wyjechać tak szybko, a panna Bates nie zdążyła się nawet z nami pożegnać. Podobno do Randalls nadeszła wiadomość z Enscombe. Któryś z

chłopców - zdaje się, że Weston - zapadł na przeziębienie, a zaniepokojona niania przelękała się i zawiadomiła rodziców.

Z początku pani Weston myślała, że Jane nie ma powodów do niepokoju. Kiedy wyjeżdżali, dziecko tryskało zdrowiem. Ale Frank Churchill uparł się i zdecydował, żeby natychmiast wracać. (Nie chcę niczego sugerować, ale mówiąc między nami, wydaje mi się, że to tylko pretekst). Powiedziałam, że pan Weston zapewne czuł się srodze rozczarowany tak nagłym końcem wizyty swego syna. Pani Weston odparła, że tak. Pan Weston był zawsze człowiekiem dobronaznym, lecz obdarzonym przy tym krewkim temperamentem: skoro nie było jednak innej rady, musiał pogodzić się z decyzją Franka. Pewnego dnia pojedą sami do Enscombe, a wtedy będą mogli spędzić razem więcej czasu, nie obciążeni już nie-szczęściem niedawnego pogrzebu, itd., itd. Taką to historię od niej usłyszałam, kochana Charlotte). Ale nadal nie mogę zrozumieć, dlaczego nie mam żadnej wiadomości od Hetty Bates. Zresztą, żadna z jej przyjaciółek w Highbury jak dotąd nie dostała od niej listu. Czy jest zbyt przygnębiona, żeby pisać? Czy może zbyt zajęta i szczęśliwa? Modłę się, że to drugie, choć obawiam się, że raczej to pierwsze.

Zapytałam panią Weston, w jakim stanie Frank i Jane zastali małego pacjenta, kiedy wrócili do Enscombe. Podobno dziecko zdążyło tymczasem wyzdrowieć. Następnie Frank Churchill przysłał ojcu bardzo pogodny list. Pisał, że zaprosił kilku przyjaciół na polowanie na bażanty i zawiadamiał z przyjemnością, że łowy udały im się znakomicie.

Boję się, jak w takim domu radzi sobie moja biedna, kochana Hetty Bates.

*Oddana i kochająca  
Mary Goddard*

## LIST PIĘTNASTY

*pani Pinkney do pani Goddard*

Hans Place,  
czwartek

To, co piszesz, kochana Mary, nie dziwi mnie ani trochę. Przypuszczam, że Frank Churchill nudził się w Highbury - i nie mógł wytrzymać w małym domu swojego ojca (małym w porównaniu z Enscombe), gdzie w dodatku panna Bates całymi dniami zawracała mu głowę swoim gadulstwem. A tu, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, przychodzi wiadomość z Enscombe! Mam tak niskie mniemanie o Franku Churchillu, że oskarżyłabym go, iż ukartował całą sytuację, choć to chyba niemożliwe. W każdym razie na pewno skorzystał z okazji. Nie toleruję tego młodzieńca, odkąd nie przekazał mi na czas listu od ciebie, w którym oferowałaś Charlotte miejsce w swojej szkole. Niewiele brakowało, żeby ta historia nas skłóciła. Pamiętasz?

Co do panny Bates, to można się jedynie domyślać, dlaczego jeszcze do ciebie nie napisała. Więc może sama do niej napisz i spytaj, jak się jej wiedzie.

Tak, tak. Wszyscy mamy swoje kłopoty. Trudno ci będzie w to uwierzyć, ale znów wpadliśmy w pajęczynę nieszczęść, wysnutą



częściową przez tę niktzemną panią Dubois. Tym razem martwimy się o szesnastoletnią siostrzenicę pana Pinkneya, Sophy. Nie zadowolona się w seminarium. Wiedzieliśmy, że tak będzie. Przeniosła się z plantacji na Barbadosie do pretensjonalnej szkoły w Londynie, a to ogromna odmiana. Powinna była chodzić do twojej szkoły w Highbury.

Bardzo mnie ta sprawa irytuje, ponieważ jestem z natury egoistyczna. Ojciec Sophy mieszka bardzo daleko, a ponieważ zlekceważył naszą radę, zgadnij, kto musi teraz dźwigać ciężar odpowiedzialności za niezadowolenie dziewczyny? Oczywiście pan Pinkney i ja. „To niesprawiedliwe”, jak wołałyśmy kiedyś w szkole. A ponieważ nie mieszkamy już na Sloane Street, gdzie sąsiadowaliśmy z tą wstrętną „madame”, nie ma nas w pobliżu, kiedy trzeba dodać dziecku otuchy, tak jak kiedyś Charlotte.

Widujemy Sophy raz w tygodniu, co niedziela. Przychodzi na obiady i pałaszuje wszystko z wielkim apetytem. Jej zachowanie przy stole pozostawia wiele do życzenia. Widocznie jedzenie w szkole jest wydzielane równie skąpo, jak kiedyś. Jednak w najbliższą niedzielę oczekuję przy stole kapitana Gordona i mam nadzieję, że dzięki niemu rozmowa nasza wzniesie się ponad nieustające narzekania Sophy na seminarium i na Londyn, którego wprost nie cierpi.

Nadchodzi pan Pinkney, żeby mi przypomnieć, która godzina. Muszę założyć półbuty i przygotować się na nasz codzienny spacer, jak nam zalecił pan Wingfield. Nie uskarżam się jednak. Lubię wspólne rozmowy i wysiłek fizyczny, który tak zbawiennie działa na podagrę pana Pinkneya.

*Adieu - Charlotta*

## LIST SZESNASTY

*pani Goddard do pani Pinkney*

Highbury,  
4 października 1816 roku

Moja kochana siostrze,

Czyż siostra nie jest po to, żeby cię wysłuchać ze współczuciem?

Właśnie otrzymałam twój list. Byłam absolutnie zaskoczona, dowiedziawszy się o istnieniu siostrzenicy pana Pinkneya. Nigdy dotąd nic o niej nie wspominałaś. Z jakiego powodu? Proszę, spraw mi komplement i obdarz mnie zaufaniem. Oburzyłaś mnie sądząc, że nie wysłuchałabym z największą chęcią wszystkiego, co masz mi do powiedzenia, i nie pomogłabym ci w jakiegokolwiek sprawie.

Z tych kilku słów, które napisałaś, wynika, że Sophy należy współczuć. Takiej dziewczynie na pewno niełatwo jest zadomowić się w szkole z internatem, w jej wieku i w naszym klimacie, biorąc pod uwagę tryb życia, jaki niewątpliwie prowadziła na Barbadosie.

Dziecko jest jak roślina. Trzeba ją przesadzać z najwyższą ostrożnością, bo inaczej się nie zakorzeni. Doświadczenie mów mi, że nie można umieszczać w nowym otoczeniu dziecka starszego niż jedenasto- czy

dwunastoletnie. Myślę tu na przykład o małej Sukey, która przybyła do mnie, mając sześć lat, a potem stała się radością mego życia. Kiedy po raz pierwszy trafiła do szkoły, tęskniła za domem i czuła się całkowicie opuszczona, a teraz Highbury jest dla niej wszystkim. Sukey jest u mnie, jak pamiętasz, odkąd jej ojciec owdowiał, a ja traktuję ją niemal jak własną córkę, podobnie jak kiedyś traktowałam Harriet Smith. Ojciec Sukey, pogrążony w głębokiej rozpacz po śmierci swej małżonki, ożenił się ponownie w zeszłym roku. Jego nowa towarzyszka życia pragnie dać początek nowej rodzinie i nie życzy sobie mieszkać z Sukey. Toteż dziewczyna przebywa głównie ze mną, a do domu jeździ tylko na krótko podczas letnich wakacji. Mieszka w internacie szkolnym, ale czasem wślizguje się do mojego saloniku na czułe uściski i dłuższą pogawędkę. Jest tak uroczym dzieckiem, że kocham ją mimo woli i staram się jak mogę, żeby zapewnić Sukey matczyne pieszczoty, których jej dawniej zabrakło.

Proponuję, żebyś to ty napisała do panny Bates i dowiedziała się, czy jest szczęśliwa. Ja oczywiście nie mogę tego uczynić. Jeśli jest nieszczęśliwa, jak mogłaby mi odpisać? Ponieważ nie jest w stanie nic zmienić w swej sytuacji, poczułaby się tylko jeszcze bardziej nieszczęśliwa.

Doprawdy, kochana Charlotta, poważnie się pogniewam, jeśli nie wyjaśnisz mi nic więcej w sprawie tajemniczej siostrzenicy pana Pinkneya. Co masz na myśli mówiąc, że jej ojciec zlekceważył waszą radę? Wytłumacz mi to, proszę.

*Twoja*  
*M. Goddard*

## LIST SIEDEMNASTY

*pani Elton do pani Suckling*

Plebania św. Stefana,  
Londyn, Arabella Street,  
4 października 1816 roku

Wydaje mi się, że powinniście przyjechać landem, moja droga Selino.

Jeśli utrzyma się piękna jak dotąd pogoda, na pewno z przyjemnością udasz się ze mną na poranną paradę w Hyde Parku, a w landzie niewątpliwie zadamy większego szyku. Możemy pojechać też do Kensington Gardens. Vauxhall jest, niestety, zamknięty o tej porze roku. Ale mam nadzieję, że to cię tylko zachęci, żeby powrócić wiosną. Obiecuję sobie, że będzie to pierwsza z kolejnych, częstych wizyt, i zapewniam cię solennie, że przeuroczo spędzimy razem czas.

Planuję wiele kameralnych przyjęć w doborowym gronie, na które Pinkneyowie oczywiście nie zostaną zaproszeni. To doskonała rada, żeby zapomnieć zupełnie o Highbury. Philip i ja będziemy mieli przyjemność przedstawić cię co bardziej dystygowanym i wytwornym członkom naszej parafii, do której należy wiele wpływowych i wartościowych osób. Ludzie ci niejako przyciągają się nawzajem, bo naturalnie chcą, żeby

sąsiedzi widzieli ich w każdą niedzielę. Bądź pewna, że często wspominałam im o tobie i panu Sucklingu, jak również o wysokiej pozycji, którą zajmuje mój szwagier jako armator z Bristolu.

A zatem, droga Selino, jesteś tu już znana. Dlatego przywieź koniecznie swoje najlepsze suknie. Moja krawcowa szyje dla mnie kilka nowych kreacji na sezon zimowy. Wiele naradzałyśmy się na temat ozdób. Jak wiesz, okropnie się boję, żeby nie ubierać się zbyt strojnie. Ale z drugiej strony przecież nie wypada mi wyglądać pospolicie. Należy ubierać się wedle miary swej pozycji społecznej. Najważniejsze to elegancja i prostota, chyba się ze mną zgodzisz?

O Boże, nadchodzi pani Parker! Na honor, nie można nawet napisać listu w spokoju. Służba przeszkadza mi bez przerwy - ciągle czegoś chcą.

Cieszę się z góry na twój przyjazd i kończąc w pośpiechu list zaczynam liczyć dni.

*Augusta Elton*

## LIST OSIEMNASTY

*pani Pinkney do pani Goddard*

Hans Place,  
5 października 1816 roku

To już trzeci list, kochana Mary, który piszę do ciebie w ciągu jednego tygodnia. Pan Pinkney spytał, czy to nie za dużo, i skarży się, że zbyt wiele czasu spędzam przy biurku, przez co nie poświęcam mu, jak twierdzi, należytej uwagi. - Nic nie mów, panie - zawołałam! - Piszę o twojej siostrzenicy, a tobie poświęcam więcej uwagi niż przeciętna żona. Miejmy nadzieję, że moja siostra podsunie nam jakąś pożyteczną radę, którą moglibyśmy zastosować, żeby poradzić sobie z tą nieposłuszną dziewczyną.

Pan Pinkney ograniczył się do odpowiedzi, że jego zdaniem poczta osiągnie wkrótce wysokie zyski z powodu słów, spływających z mego pióra. Wiem jednak, że bardzo martwi się o Sophy i że z wdzięcznością powitałby każde mądre słowo od kogoś tak doświadczonego, jak ty. Dlatego podsunęłam, że w tej sytuacji będzie najlepiej, jeśli wraz z kapitanem Gordonem wyjdzie z domu i pozostawi salonik do mojej dyspozycji. Poszedł teraz po płaszcz i wyjściowe buty.

Na litość boską, Mary, jakże źle mnie oceniasz! Nie dlatego nie pisałam ci o tej dziewczynie, żeby coś przed tobą ukrywać. Po prostu uważałam, że masz dość własnych uczennic, o które musisz się troszczyć. Być może Sukey jest teraz radością twego życia, ale pamiętam doskonale, co musiałaś przejść, kiedy dziewczynka przybyła do ciebie pierwszy raz po śmierci matki. Pamiętam, że była nieszczęśliwa i rozkojarzona. Pamiętam, że zawsze trzymała się blisko ciebie. Spała w twoim pokoju, a ty ani na chwilę nie spuszczałaś jej z oka. I nawet teraz masz dwie czy trzy uczennice, które tęsknią za domem. Skarżyć się tobie na jakąś uczennicę, a zwłaszcza na dziewczynę już szesnastoletnią, która powinna sama sobie radzić, to moim zdaniem tak, jak spotkać pana Wingfielda na Regents Street i prosić go o radę w sprawie zwyczajnego przeziębienia. Tak, wiem, że pisałam ci wiele o kłopotach Charlotty. I co z tego? Dlatego tym bardziej nie chciałam karmić cię znowu podobnymi zmartwieniami.

Ale skoro pytasz, dowiesz się wszystkiego. Zaostrzyłam pióro, napełniłam kałamarz, wyprawiałam wreszcie z domu pana Pinkneya i kapitańa Gordona, a potem dopilnowałam, żeby Betty ułożyła do snu małego Edwarda. Wszędzie panuje cisza. Skoro masz czas, żeby czytać, to ja mam czas, żeby pisać.

Siostrzenica pana Pinkneya była kiedyś przeciętną angielską dziewczyną, mieszkającą w małym miasteczku w Hampshire. Ale jej życie tak się potoczyło, że wyrosła na niezwykle młodą kobietę, gwałtowną, niesforną i skłóconą ze wszystkimi w szkole. Żeby zrozumieć Sophy, trzeba zrozumieć jej przeszłość, a jest to długa historia. Weź sobie fotel, oprzyj nogi na podnóżku i rozsiądź się wygodnie, kochana Mary.

Najpierw muszę wyjaśnić, że jeszcze kilka miesięcy temu sama nie wiedziałam nic o istnieniu Sophy. Pan Pinkney rzadko wspominał o siostrze, czyli jej matce, zmarłej na długo przed naszym ślubem. Znacznie młodsza od pana Pinkneya, była wciąż dziewczynką, kiedy on studiował już w Oksfordzie. W swoim czasie poślubiła niejakiego pana Adamsa. Był to subtelny i religijny ewangelik, wiodący skromny żywot w Hampshire, nie miał bowiem majątku, dopóki nie odziedziczył po wuju plantacji na Barbadosie. (Wiesz, że nie mam głowy do geografii, kochana Mary, więc kiedy pan Pinkney opowiadał mi o tym, musiałam wziąć atlas i sprawdzić, gdzie leży Barbados). Przypuszczam, że pan Adams postąpił wtedy podobnie. Nigdy nie był na wyspie, a spadek przypadł mu zupełnie nieoczekiwanie. Powinnaś też wiedzieć, że chociaż opowiadam ci tę historię po porządku i logicznie, to zdarzenia, które przedstawię ci za chwilę, poznawałam nie w postaci jednej opowieści, lecz powoli, stopniowo, przez wiele lat, z obszernych listów, które pan Adams pisywał do pana Pinkneya.

Z początku i później jeszcze przez jakiś czas, odkąd odziedziczył plantację, pan Adams zadowalał się czerpanymi z niej dochodami, nie wnikając bliżej, w jaki sposób są uzyskiwane. Ale w roku 1807 doszło do zniesienia Ustawy o Handlu Niewolnikami, a tak się złożyło, że w tym samym czasie nadzorca na plantacji zachorował i umarł. Pan Adams nie mógł więc już dłużej unikać podróży na Barbados. Wynajął na dwa lata swój dom w Hampshire i wsiadł na statek w Bristolu wraz z żoną i córką. Sophy miała wtedy siedem lat.

Jak sobie zapewne wyobrażasz - słyszeliśmy tu przecież o tych sprawach - warunki, panujące na plantacji wzbudziły w nim zdumienie i odrazę. Krew ścięłaby ci się w żyłach, gdybyś usłyszała opowieści o



chłości i innych okrucieństwach, o których donosił Adams panu Pinkneyowi. Nawet kobiety brzemiennie chłostano obnażone w polu, jeśli nadzorczy nie byli zadowoleni z ich pracy. Poza tym niewolników wymieniano i sprzedawano na rynku jak konie, oglądając im zęby, żeby ocenić ich zdrowie i tężyznę fizyczną.

Nie minął nawet rok pobytu pana Adamsa na wyspie, gdy jego żona zapadła na żółtą febrę i umarła. Pan Adams oczywiście powiadomił pana Pinkneya o śmierci jego siostry. Pan Pinkney z kolei napisał do niego list kondolencyjny i nie spodziewał się już żadnej wiadomości od Adamsa, ponieważ osobiście spotkał go tylko raz, na jego ślubie, i od tamtej pory nie utrzymywał właściwie żadnego kontaktu ani ze swoją siostrą, ani z jej małżonkiem. Ale ku zdumieniu pana Pinkneya Adams zaczął pisywać do niego regularnie. Pan Pinkney sądził najpierw, że szwagier pragnie z nim korespondować, ponieważ jest bratem jego zmarłej żony i wujem jego córki. Później jednak okazało się, że pan Pinkney jest w ogóle jedynym powinowatym pana Adamsa (choć nie łączyły ich przecież więzy krwi) oraz jedynym z bardzo niewielu ludzi, z którymi łączyło go jeszcze życie w Anglii.

Pan Pinkney w dobroci swego serca uznał, że powinien odpowiedzieć na listy pana Adamsa. (Dobroć to jedna z cech, które najwyżej cenię w panu Pinkneyu, chyba dlatego, że mnie jej czasem brakuje). Tak więc od ośmiu lat pan Adams zalewa pana P. swoimi zmartwieniami i kłopotami, a ostatnio najwięcej trosk przysparza mu właśnie edukacja Sophy.

Jak rozumiem, kształcenia najpierw podjęła się matka dziewczyny. Ale gdy umarła, nikt nie próbował dalej uczyć Sophy. Trudno wyobrazić sobie guwernantkę w tak oddalonej od cywilizacji krainie, jak Karaiby, a ojciec Sophy miał tyle pracy w majątku, że na inne zajęcia brakło mu już czasu.

Jest litościwym człowiekiem, polepszył więc warunki mieszkaniowe swoich niewolników. Dał im lepszą odzież, karmi ich lepiej i w ogóle traktuje ich jak istoty obdarzone ludzkimi uczuciami. Inni plantatorzy nie odnieśli się przychylnie do tych zmian. Jednak ostatecznie dobre traktowanie niewolników wyszło mu na dobre, albowiem jego posiadłość znalazła się wśród nielicznych domostw oszczędzonych przez niewolników, którzy podnieśli bunt na Barbadosie, o czym czytałaś być może w gazetach kilka miesięcy temu. Pan Adams napisał wtedy do pana Pinkneya, parafrazując Szekspira: „Czy Murzyn nie ma oczu”,\* itd. Wydaje mi się nawet, że dewiza abolicjonistów brzmi: „Czyż nie jestem wam człowiekiem i bratem?”

\* William Szekspir, *Kupiec wenecki*, akt III. Słowa te wypowiada Shylock: „Czy Żyd nie ma oczu...” (przyp. tłum.).

Ach, Betty niesie mi właśnie filiżankę czekolady, a za nią drepcze mały Edward. Kochany okruszek! Szkoda, że nie słyszałaś, jak on mówi. Nie wymawia jeszcze litery „R”, woła więc słodziutko: - Mama, płoszę, pobaw się ze mną. - Kto mógłby się mu oprzeć? Na pewno nie zakochana w nim matka.

Nie mogę już dłużej pisać, ale wrócę do listu najszybciej, jak tylko będę mogła, jestem bowiem bardzo ciekawa, co masz mi do powiedzenia.

C.P.

## LIST OSIEMNASTY cd.

Niedziela rano

Wczoraj nie udało mi się już nic więcej napisać, kochana Mary. Pan Pinkney i kapitan Gordon wrócili ze spaceru szybciej, niż się spodziewałam. Musiałam zająć się obowiązkami żony i gospodyni. Nie wiem, co uczyniłby pan Pinkney, jeślibym wczoraj wieczorem znów zaczęła pisać.

Gdyby Edward nie obudził się wcześniej z popołudniowej drzemki, może skończyłabym pisać, a tak bawiłam się z nim kłębkami wełny, który toczyliśmy po całym pokoju, aż w końcu Betty zabrała go, żeby zjadł swój chleb i wypił mleko. Jest czarujący pod wieloma względami - ale nie. Ten list nie będzie dotyczył Edwarda. Nie wolno mi dać się ponieść emocjom. Mam nadzieję, że zdążysz go jeszcze zobaczyć, zanim podrośnie. A teraz pisałam przecież o Sophy i jej ojcu.

Początkowo pan Adams zamierzał pozostać na wyspie tylko przez pewien czas w nadziei, że za rok lub dwa podreperuje na tyle stan posiadłości, że będzie mógł pozostawić administrację majątkiem w rękach nadzorca, a sam powrócić do domu. Ale nie było to tak proste, jak sądził. Żeby spełnić swe zamiary, musiał najpierw nauczyć się sztuki uprawy trzciny cukrowej. Jednak następnego roku nad wyspą przeszedł huragan, rok później przyszła susza, a jeszcze rok później jego Murzynów zdiesiątkowała choroba. Dlatego musiał pozostać na wyspie znacznie dłużej,

niż się spodziewał, i dlatego też musi tam mieszkać nadal.

Wskutek tych rozmaitych katastrof wszelkie plany pana Adamsa względem edukacji Sophy speszły na niczym. Oczywiście, już dawno należało odesłać ją do Anglii, ale pan Adams uwielbia swoją córkę i po prostu nie chciał się z nią rozstać. A dziewczyna ma już szesnaście lat, jest bezdennie niemądra, nic nie czytała, nie zna ortografii, nie ma żadnych talentów i nie wie nic na temat choćby podstaw ogłady towarzyskiej. Nie można o niej powiedzieć, że jest nieładna. Jednak urodę Sophy przesłaniają jej nieokrzesane, postrzelone maniery. Nie jest wdzięczna ani subtelna, rozpiera się na fotelach, nie ma najmniejszego pojęcia, jak wejść do pokoju, ukłonić się i dygnać, i nie umie nawet siedzieć prosto na krześle. Zapewniam cię, że siostrzenica pana Pinkneya nie byłaby ozdobą żadnego salonu. Na dodatek ma jeszcze okropny akcent. Powiadają, że kreolski, i możesz mi wierzyć, że trudno ją zrozumieć.

Cała sprawa jest bardzo niefortunna. Wydaje mi się, że pan Adams to z gruntu dobry człowiek. Nie wziął do domu murzyńskiej niewolnicy, co, jak słyszałam, często się praktykuje, a poza tym wyraża się surowo o innych plantatorach, o ich obżarstwie, pijaństwach i sprośności.

Co do Sophy, mogę tylko przypuszczać, że opamiętał się nagle, zdał sobie sprawę, że jest już niemal dorosła i że nie powinien dłużej zwlekać z jej edukacją. Napisał do pana Pinkneya i zawiadomił go, że dawni przyjaciele jego rodziny, niejacy państwo Blair, także plantatorzy i ludzie myślący podobnie jak on, wybierają się na jakiś czas do Anglii. Oddał Sophy pod ich opiekę z prośbą, żeby bez względu na koszty umieścili ją w najlepszym seminarium w Londynie i żeby pan P. sprawował pieczę nad

dziewczyną. Była to najwyraźniej pośpieszna decyzja. List płynął zapewne tym samym statkiem, co Sophy i Blairowie, ponieważ otrzymaliśmy go kilka dni po przybyciu znajomych pana Adamsa, kiedy nas odwiedzili, żeby przedstawić Sophy jej wujowi. Wyobraź sobie moje zdumienie, gdy owi zacni ludzie oświadczyli, że dziewczyna została już zapisana do seminarium „madame Dubois”. Na ludziach z prowincji, jak oni, ważna mina „madame” robi oczywiście korzystne wrażenie. A ta nikiemna, pozbawiona wszelkich zasad kobieta wykorzystała ich naiwność i oszukała ich, każąc zapłacić sobie w lipcu, bo to było wtedy, czesne za cały rok z góry! Naturalnie wyraziliśmy swoje niezadowolenie. Natomiast państwo Blair, którzy najwyraźniej oczekiwali uznania i aprobaty ze strony pana Pinkneya za swoją gorliwość i skuteczność działania, poczuli się głęboko urażeni i wkrótce potem wyszli.

Kiedy tylko znaleźli się za progiem, pan Pinkney usiadł i napisał do szwagra, że mieszkaliśmy kiedyś w sąsiedztwie seminarium pani Dubois i że jest to ostatnia szkoła w Anglii, którą należało wybrać dla jego córki. Tymczasem Blairowie przysłali nam oficjalną epistołę zawiadamiającą, że wyjeżdżają na lato do Szkocji i zabierają Sophy ze sobą. Wrócili dopiero we wrześniu, w samą porę, żeby umieścić dziewczynę w szkole, po czym wsiedli na statek i odpłynęli z powrotem na Barbados.

List na tę wyspę przy pomyślnym wietrze idzie około miesiąca, a czasem nawet dłużej. Jak się zapewne domyślasz, remonstracje pana Pinkneya nie poskutkowały. Kilka dni temu dostaliśmy odpowiedź od pana Adamsa. Oświadczył, że o madame Dubois bardzo pochlebnie wyrażali się jego przyjaciele, których zdanie szanuje (na litość boską, co plantatorzy z Barbadosu mogą wiedzieć o londyńskich szkołach?), że

zapłacono już czesne, że jest to modne seminarium, jakiego pragnął dla swej córki, że Sophy będzie uczyć się gry na harfie i włoskiego, a on poprzysiągł swej żonie na łożu śmierci, że dziewczyna otrzyma odpowiednie wykształcenie. Krótko mówiąc, chciał, żeby wszystko pozostało tak jak jest, i prosił, żebyśmy zaaprobowali jego decyzję. Co było robić? Gra na harfie, też coś! Nie słyszałam jeszcze czegoś równie absurdalnego. Naszym zdaniem pan Adams sądzi, że jeśli tylko wyda dość pieniędzy, Sophy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przeistoczy się w elegancką młodą kobietę, obdarzoną talentami i umiejętnościami, które przyciągną odpowiedniego męża. Widocznie perspektywy znalezienia dobrej partii na Barbadosie są nie najlepsze. Tamtejsi mężczyźni, zresztą całkowicie pozbawieni ogłady, to głównie plantatorzy, nie spełniający wysokich oczekiwań pana Adamsa względem kandydatów do ręki jego córki. Mogę tylko przypuszczać, że zaślepia go słabość do córki, ponieważ nie zdaje sobie sprawy z jej przywar. Zamierza niezmiennie powrócić do Anglii, chciałby więc, żeby Sophy osiadła na stałe tutaj. Ale ona, spędziwszy większą część życia na Barbadosie, uważa tę wyspę za swój prawdziwy dom. Klasyczny przykład wykorzenionej rośliny, o którym wspominałaś, kochana Mary. Nie można oduczyć szesnastoletniej dziewczyny stylu życia, który różni się tak bardzo od naszego, i oczekiwań, że w ciągu roku przyswoi sobie wytworne maniere, których nie знаła przez całe swoje życie.

Sprawa Sophy w niczym nie przypomina kłopotów Charlotty Gordon sprzed trzech lat. Sophy ma wysokie kieszonkowe i nosi równie eleganckie stroje, jak inne uczennice, bo zacni państwo Blairowie kupili jej wiele szykownych sukien przed powrotem na Barbados. Ale, jak mawiała nasza stara niania, nie szata zdoła człowieka. Niestety, inne uczennice nie

zaakceptowały Sophy - dokuczają jej i gardzą nią za kolonialny akcent i maniery. Jej jedynym „przyjacielem”, wyobraź sobie, czy też jedyną osobą, z którą może rozmawiać, jest młody służący, którego pani Dubois ostatnio zatrudniła do pomocy lokajowi. Ponoć służył kiedyś na statku i nawet odwiedził Barbados. Nawiasem mówiąc, uważam zatrudnianie męskiej służby domowej w szkole dla dziewcząt za wysoce nierozważne. Może to tylko sprowokować kłopoty. Pani Dubois natomiast przyjmuje w tej kwestii postawę ostentacyjną, niewątpliwie chcąc zaimponować takim ludziom, jak pan i pani Blair. Sophy mówiła nam, że człowiek ów powiedział, iż dostał posadę służącego ze względu na swoje piękne łydki, podobno ukształtowane zgrabnie wskutek częstej wspinaczki na maszty! Sophy jest doprawdy bardzo jeszcze dziecinnie i naiwna jak na swój wiek, a poza tym wydaje się tak bardzo tęsknić za domem i jest tak nieszczęśliwa, że pan Pinkney ponownie napisał do pana Adamsa bardzo dobitny list. Chcąc nieco wy badać dziewczynę, pan Pinkney zapytał ją któregoś dnia, kogo oprócz ojca brakuje jej w Anglii najbardziej.

- Oczywiście mojej mamusi, panie - odrzekła. (Trudno było ją zrozumieć, ale nie będę zadawała ci szarad, usiłując odtworzyć jej akcent).

- Twojej mamusi? - zapytał pan Pinkney, nieco zbity z tropu jej dziwną wymową, pomyślał jednak, że chodzi o jego siostrę, matkę dziewczyny, nie żyjącą już przecież od wielu lat.

- Tak - odpowiedziała. - A co gorsza, nie będę mogła dostawać od niej listów.

Pan Pinkney zdumiał się jeszcze bardziej. Czyżby chodziło jej o to, że nie dostanie wiadomości z zaświatów?

Musieliśmy ją jeszcze długo wypytywać, nim okazało się, że kobieta, o której mowa, to jej stara niania, Murzynka, która nie umie czytać ani

pisać. Sophy nazywa ją „Mamusią”, ponieważ taki nadano jej przydomek na plantacji. Dziewczyna jest najwyraźniej bardzo przywiązana do tej dziwnej kobiety. A w każdym razie wydaje mi się, że ona jest dziwna. Na pewno nie przypomina w niczym angielskich niań, jakie ja czy Isabella zatrudniamy do dzieci. A Sophy wspomniała nam jeszcze, że Londyn to bardzo osobliwe miasto, ponieważ na ulicach spotyka się jedynie białych ludzi.

- W Londynie mieszka wielu kolorowych - powiedział pan Pinkney.

- Nigdy nie widziałam tu żadnego Murzyna - odpowiedziała Sophy niegrzecznym i pełnym niedowierzania głosem.

- Bo widocznie tam, gdzie mieszkasz, nie spotkałaś dotąd żadnego czarnego - odparł jak najuprzejmiej pan Pinkney. - Ale to nie oznacza, że oni nie istnieją. Uważam, moja droga, że to nierozsądnie wygłaszać tak stanowczą opinię na temat, którego dobrze nie znasz. Angielska arystokracja już od wielu lat zatrudnia murzyńską służbę.

- No właśnie, czy doktor Johnson nie miał przypadkiem czarnego służącego? - zapytałam.

- Ależ owszem - odpowiedział pan Pinkney. - Pochodził z Jamajki. Był powszechnie znany. Johnson uczynił go swoim głównym spadkobiercą.

- No widzisz, Sophy! - zawołałam. - Czy nie miło jest dowiedzieć się czegoś takiego? Nie wszyscy czarni służący są źle traktowani.

- Naturalnie, że nie - powiedział pan Pinkney. - Słyszałem, że nie kto inny, lecz sam wielki Thomas Gainsborough otrzymał zamówienie na portret murzyńskiego lokaja księżnej Montagu.



- I co ty na to, Sophy? - zapytałam.

Mogłabyś przypuszczać, że dziewczyna się spieszy albo spokojnie, ale nic podobnego. Nie odpowiedziała, zamamrotała coś tylko i nadąsała się. I powiedz, co ty byś z nią zrobiła? Nic się jej nie podoba. Nawet pogodę poddaje ostrej krytyce. Choć mamy wyjątkowo piękną jesień tego roku, Sophy wciąż narzeka, że jest bardzo zimno. Oczywiście odczuwa zmianę klimatu. Poza tym w domu cieszyła się całkowitą swobodą, toteż zamknięcie w murach seminarium dla dziewcząt musi być dla niej czymś w rodzaju kary więzienia. Ale jej ojciec powinien był o tym pomyśleć, zanim wywiózł ją na koniec świata.

Otóż to, kochana Mary. Znasz teraz całą historię panny Sophy Adams. Powiedz, co o niej sądzisz, i poradź nam, jeśli możesz. Sophy przyjdzie do nas wieczorem na obiad i pozna dzisiaj kapitana Gordona.

*Adieu - Charlotta*

## LIST DZIEWIĘTNASTY

*Pani Goddard do pani Pinkney*

Highbury,  
8 października 1816 roku

Biedna Sophy! Biedne dziecko! To musi być dla niej okropna odmiana - rozłąka ze wszystkimi i wszystkim, co jest drogie jej sercu. Nic dziwnego, że czuje się nieszczęśliwa, a w konsekwencji zachowuje się impertynencko. To wyjątkowo żałosna historia. Przypuszczam, że jej ojciec po całych dniach nie miał dla niej czasu, a ta murzyńska „Mamusia” obdarzyła ją niemal matczynym uczuciem, jak kiedyś pani Weston (panna Taylor) Emmę Woodhouse. Czy jest to zbyt nonsensowne porównanie? Emmie mogłoby się nie spodobać. Ciekawa jestem, czy ta kobieta również została przywieziona na Barbados na statku z innymi niewolnikami. Dziwny akcent Sophy i jej brak ogłady wynikają zapewne z tego, że przebywała stale w jej towarzystwie.

Cieszę się, że zdecydowałaś się jednak opisać mi historię Sophy szczegółowo. Skrupuły, jakie żywiłaś w tej sprawie, były całkowicie absurdalne. Powinnaś wiedzieć, że uczyniłabym wszystko, co w mojej mocy, żeby ci pomóc, dlatego też radzę ci, żebyś jak najszybciej

wyprawiła tę dziewczynę do mnie. Postaram się uczynić ją szczęśliwą. Highbury z pewnością bardziej będzie jej przypominać dom niż seminarium pani Dubois, nawet jeśli wiejska szkoła z internatem nie jest dokładnie tym, co jej ojciec miał na myśli. Nie muszę chyba dodawać, że z przyjemnością przyjmę Sophy do szkoły bez żadnych opłat, albowiem jest twoją siostrzenicą, a pieniądze na jej edukację zostały już wydane. Musiałam odmówić miejsca jednej czy dwóm dziewczynkom, odkąd trwa semestr zimowy, ale jakoś wcisnę jeszcze jedno łóżko do sypialni albo poproszę dwie uczennice, żeby zechciały spać razem, co i tak chętnie czynią zimą ze względu na chłody. Karmimy tyle dziewcząt, że jej wyżywienie nie będzie żadnym problemem, mam więc nadzieję, iż moja propozycja rozwiąże twoje problemy. Powtarzam jednak, że moim zdaniem cała sprawa została przeprowadzona wielce niewłaściwie. Czym skorupka za młodu nasiąknie... Ojciec Sophy powinien był odesłać ją do Anglii wiele lat temu, tak jak uczynili państwo Ludgrove, którzy swoje córki przysłali do mojej szkoły aż z Indii.

Ach, tak, nie pisałam ci chyba o Lavinii i Louisie, bliźniaczkach Ludgrove'ów, bałam się bowiem, że zgromisz mnie za to, iż przyjmuję nowe rezydentki na stancję. Jest to jednak kwestia, w której się z tobą nie zgadzam, proszę więc, byś powstrzymała się od komentarza. Wiem, że sprzeciwiasz się, kiedy rezygnuję ze swojej prywatności i spokoju, jak mówisz. Zrozum jednak, że ja lubię dziewczęta. Lubię wesoły gwar i towarzystwo młodzieży. A ponadto muszę mieć dodatkowe dochody, żeby oszczędzić coś na stare lata. Na razie jestem jeszcze pełna energii, ale nadejdzie kiedyś taki dzień, kiedy nie podołam już obowiązkowi dyrektorki szkoły i zadowolę się małym domkiem na wsi. Jak się zapewne

domyślasz, Louisa i Lavinia mieszkają już w szkole od jakiegoś czasu, ale teraz, gdy ukończyły siedemnaście lat, ojciec uczynił je moimi rezydentkami. Pan Ludgrove jest zatrudniony w Kompanii Wschodnioindyjskiej. Zamierza wrócić do Anglii wraz z małżonką na początku przyszłego roku.

W każdym razie bliźniaczki wniosły do mojego domu znaczne ożywienie. Louisa i Lavinia są uderzająco podobne. Już dawno proponowałam, że powinny nosić wstążki, jedna zieloną, druga lawendową, ale te psotnice uwielbiają płatać mi psikusy, a ja nawet po pięciu latach znajomości nie zawsze umiałam jedną od drugiej odróżnić, przynajmniej dopóki nie zamieszkały ze mną, w mojej części domu, bo teraz codziennie widuję je z bliska przy stole. Louisa jest nieco bardziej egzaltowana niż Lavinia, obdarzona nieco zuchwałym spojrzeniem i ma inaczej zarysowane usta niż Lavinia. Ma także muszkę na szyi, ale widać ją tylko wtedy, gdy zakłada głębiej wycięte sukienki.

Ponieważ nie mieszkają już na terenie szkoły, powinnam im zapewnić jakieś zajęcia. Rezydentki zawsze przysparzają mi podobnych trosk. To z tego powodu przedstawiłam kiedyś w Hartfield Harriet Smith. Jeśli chodzi o bliźniaczki, namawiam je, żeby brały nadal lekcje muzyki, ćwiczyły grę na instrumentach i spędzały choćby kilka godzin dziennie w kuchni z Sarą. Mają nauczyć się podstaw sztuki kulinarnej, zaopatrzenia spiżarni i układania jadłospisów. Poza tym muszą jeszcze skończyć makatki, na których wyszywają alfabet. Louisa dotarła już do „P”, ale Lavinia jest dopiero przy „N”. Nie przepadają za szyciem. - Co powiedzą wasi rodzice? - wołam. - Zapłacili mnóstwo pieniędzy, żeby zapewnić wam sześć lat nauki w szkole, a czym możecie się przed nimi pochwalić? Wstydl!

Gdybym ich nie pilnowała, spędzałyby czas na trymowaniu kapeluszy, plotkach i lekturze powieści w rodzaju książek pani Radcliffe\*. Na szczęście lubią ruch na świeżym powietrzu i chodzą na dalekie spacery wokół Highbury. Ciągłe biegają też do sklepu po rozmaite głupstwa. Zastanawiasz się pewnie, dlaczego zostawiam im taką swobodę. Otóż zawsze trzymają się razem, uważam więc, że nic im nie grozi. Pan Knightley czuwa, żeby znowu nie kręcili się tu Cyganie. Bliźniaczki są radosne i pogodne, dlatego stanowią w domu miłe towarzystwo, czego nie da się pewnie powiedzieć o twojej biednej, stęsknionej za domem Sophy. Czekam na nią. Niech przyjeżdża jak najszybciej.

*Zawsze twoja*

*M. Goddard*

\* Ann Radcliffe (1764 - 1823), pisarka angielska, uznana za najwybitniejszą przedstawicielkę tzw. powieści grozy. Jane Austen sparodiowała jej styl w powieści *Opactwo Northanger* (przyp. tłum.).

## LIST DWUDZIESTY

*pani Pinkney do pani Goddard*

Hans Place,  
piątek

Łatwo litujesz się nad Sophy, kochana Mary, ale zapewniam cię, że gdybyś musiała znosić jej złe humory, arogancję i ciągle narzekania, nawet twoja cierpliwość zostałaby wystawiona na ciężką próbę. Wykazujesz zbytnią dobroduszość, chcąc przyjąć Sophy do szkoły za darmo. Jak sobie poradzisz na stare lata, kiedy przestaniesz pracować, skoro w ten sposób marnujesz pieniądze? Z tego, co wiem o panu Adamsie, nigdy nie śniłoby mu się nawet, żeby umieścić córkę w twojej szkole na takich warunkach. A poza tym stać go, żeby zapłacił. Niestety, pan Pinkney, choć bardzo wzruszony twoim gestem, powiada, że sumienie nie pozwala mu skorzystać z twojej propozycji. Nie może przecież zabrać Sophy z seminarium bez pozwolenia ojca. Wprawdzie pan Adams nie powierzył nam absolutnej kontroli nad córką, ale - jeśli mnie dobrze rozumiesz - jest naszym moralnym obowiązkiem sprawować nad nią opiekę. Dziś rano pan Pinkney napisał do pana Adamsa list, w którym przedstawia mu twoją propozycję. Mamy nadzieję,

że odpowiedź będzie pozytywna, choć zanim nadejdzie, minie zapewne sporo czasu.

Tak, kochana Mary, rozbawiło mnie wielce, że nie tylko ja mam swoje sekrety. Więc ukrywałaś przede mną nowe rezydentki! Wesole bliźniaczki, i do tego oczywiście czarujące. Jak wszystkie twoje uczennice. Wiem, że lubisz ich towarzystwo, flirty i ploteczki. To dobrze. Ja wolę chłopców. Ale nie powiem już na ten temat nic więcej.

Teraz, kiedy dowiedziałam się, że mieszka u ciebie Louisa i Lavinia, wydaje mi się, że samotny pan Rutherford wolałby za żonę którąś z nich zamiast Elizabeth Martin. Ale nie, z drugiej strony bliźniaczki mają dopiero po siedemnaście lat. Można przypuszczać, że nie potrzeba im męża tak pilnie, jak Elizabeth.

Muszę poruszyć znów niesmaczny temat Sophy. Przyszła do nas w niedzielę, jak zwykle. Sądziliśmy, że rozmowa potoczy się łatwiej dzięki obecności kapitana Gordona, ale z początku nasi goście w ogóle nie zdradzali ochoty na pogawędkę, dopóki pan Pinkney nie wpadł na szczęśliwy pomysł i nie zapytał kapitana, czy kiedykolwiek był na Barbadosie.

- Tak jest. Kilkakrotnie. To bardzo piękna wyspa. Niewielka, ale ładna. Hoduje się tam dużo trzciny cukrowej.

- Ach - powiedział pan Pinkney. - Moja siostrzenica mieszka właśnie na plantacji trzciny na Barbadosie.

- Doprawdy? - kapitan Gordon zwrócił się do Sophy. - A więc znajduje się pani daleko od domu, panno Adams.

- Niestety tak, panie - odrzekła, a jej oczy napęłniły się łzami.

Na ten widok kapitan Gordon zaczął szybko opowiadać nam o wyspie. Powiedział, że przyływał na Barbados kilkakrotnie na różnych okrętach, i że załoga zawsze się cieszyła, jeśli stawali na kotwicy w Carlisle Bay. Długa, okrężna droga i silne wiatry sprawiają, że Barbados jest zwykle pierwszą wyspą, na którą trafiają żeglarze i którą najbardziej lubią.

Słowa te sprawiły Sophy wyraźną przyjemność. Zaczęła nam radośnie opisywać swój dom, ale im dłużej mówiła, tym bardziej dziwny akcent znieszczał jej słowa. Niestety, wkrótce wspomnienia szczęśliwych dni, spędzonych tam, przypomniały jej o cierpieniach doznawanych tu, toteż po chwili mówiła już tylko o szkole i o tym, jak jej nie znosi.

Pan Pinkney postanowił podjąć ten temat ze swojego punktu widzenia.

- Kochane dziecko - powiedział. - Wszyscy przeżywamy kiedyś szkolne kłopoty. Tak już po prostu jest.

- Oczywiście - włączył się do rozmowy kapitan Gordon. - Ja na przykład zachowałam bardzo złe wspomnienia z Królewskiej Akademii Marynarki Wojennej. Miałem dwanaście lat, kiedy się tam znalazłem, i wpadałem czasem w taką rozpacz, że wydawało mi się, iż nie uda mi się wytrwać w tej szkole.

- Tak, moja szkoła też była okropna - powiedział pan Pinkney. - Pamiętam, że karano mnie chłostą za wykroczenia, których nie popełniłem. Choć, oczywiście, czasem dopuszczałem się różnych grzeszków - zakończył z uśmiechem.

Ale Sophy nie odwzajemniła mu się.

- Nie, panie - powiedziała. - Tutaj nie chłoszczą dziewcząt. Głodzą je tylko, trzymając w nie ogrzewanym domu i uczą niczemności.

Mówiła z taką pasją, że zaskoczeni popadliśmy w milczenie. Nawet mnie poruszyły jej słowa, choć jednocześnie byłam na nią zła, że okazała brak dobrego wychowania, przemawiając przy stole z niestosowną gwałtownością. Nie umiem ci opisać, kochana Mary, jak dziwacznie ta dziewczyna mówi: „phanie” zamiast „panie”, „ghłodzą” zamiast „głodzą” i „luczają” zamiast „uczają”.



- Droga Sophy - powiedział pan Pinkney. - Na pewno przesadzasz, nie jest chyba przecież aż tak źle?

- Jest gorzej niż źle. Znacznie gorzej.

Pan Pinkney i ja wymieniliśmy spojrzenia. Kapitan Gordon spochmurniał.

- Biedna młoda damo - powiedział. - Bardzo mi cię żal i żal mi także, że moja kochana Charlotta również cierpiała kiedyś w tym okropnym miejscu.

- Niewątpliwie tak - powiedziałam pojednawczo. - Ale teraz już o wszystkim zapomniała. Można przeżyć szkołę.

Czy sądzisz, że jestem bez serca, Mary? Ja uważam, że w sytuacji, w której tymczasem nie da się nic zrobić, nadmierna litość nie jest ani pomocna, ani potrzebna. Sophy, pomimo swoich narzekań i protestów, odznacza się uporem, który nie pozwala mi traktować jej z matczyną troskliwością. Można wręcz powiedzieć, że Sophy się złości - na myśl o swoim położeniu ogarnia ją gniew. Nie jest to atrakcyjna cecha charakteru, a przeciwnie, bardzo niefortunna, ponieważ w głębi ducha przypuszczam, że tej dziewczynie należy się więcej współczucia, niż mam ochotę okazać.

Kiedy wyszła (nasz woźnica zawsze ją przywozi i odwozi w takich sytuacjach), rozmawialiśmy przez chwilę na jej temat. Kapitan Gordon zdawał się bardzo przejęty, wspomniałam więc, że jego córka, Charlotta, nienawidziła tej szkoły równie gorąco, jak Sophy.

- Ach, pani - zawołał. - Nie przypominaj mi tak przykrych rzeczy!

- Nic takiego nie zamierzałam uczynić, Pragnęłam jedynie zauważyć, że młodych ludzi ogarnia czasem przemożna chęć oporu.

- Kiedy przebywałem na bezludnej wyspie, nie wiedziałem, co dzieje się z moją rodziną - powiedział kapitan, najwyraźniej chcąc się usprawiedliwić, choć, Bóg mi świadkiem, było to zupełnie niepotrzebne. - Nie wiedziałem więc także, że zmarła moja żona i że jej ciotka wzięła Charlotte na utrzymanie, a tym bardziej, że umieściła ją w tak przerażającym miejscu.

- Skąd mógłbyś o tym wiedzieć, drogi panie? - zapytałam. - Proszę, nie czyn sobie wyrzutów.

- Droga pani Pinkney - odrzekł kapitan. - Ani ja, ani Charlotta nigdy nie zapomnimy dobroci, jaką jej okazałaś, usiłując wydobyć ją z opresji.

- Najważniejsze, że wszystko dobrze, się skończyło - dorzucił pan Pinkney. - Pańska córka wyszła szczęśliwie za mąż za porucznika Marlowe'a.

- To prawda - odpowiedział kapitan. - Gdyby tylko... - urwał. Na pewno chciał powiedzieć: „Gdybyśmy tylko mieli więcej pieniędzy”. Ale życzył nam tylko dobrej nocy, wziął świecę i udał się na spoczynek.

Oczywiście współczuję Sophy. Ale zorientowałaś się już pewnie, że nie darzę jej tak ciepłym uczuciem, jak Charlotte, która, owszem, była dumna, starała się nam jednak przypodobać i okazywała wdzięczność za wszystko, co dla niej robiliśmy. Sophy natomiast nic a nic nie obchodzi, co myślimy na jej temat my czy też ktokolwiek inny. To zupełnie inna dziewczyna, nie dająca się lubić tak, jak Charlotta. Jest jednak siostrzenicą pana Pinkneya, który czuje się za nią odpowiedzialny, tym bardziej że jesteśmy jej jedynymi krewnymi, a ojciec Sophy mieszka tak daleko.

*Adieu - Charlotta*

## LIST DWUDZIESTY PIERWSZY

*pani Goddard do pani Pinkney*

Highbury,  
14 października 1816 roku

Przykro mi, kochana Charlotte, że, jak twierdzicie, nie możecie przysłać Sophy do mnie. Oznacza to, że będziecie na razie musieli znosić jej towarzystwo. Rzeczywiście, jest chyba dziwną dziewczyną, której trudno przemówić do rozsądku. Zastanawiam się, co ja bym zrobiła, żeby nieco ją utemperować. Ale jednego jestem pewna - w Highbury nie byłaby taka nieszczęśliwa. Przede wszystkim miałaby jedzenia pod dostatkiem. A po drugie, nikt nie byłby dla niej niemiły. Nie pozwoliłabym na to. Cóż, miejmy nadzieję, że wiatry będą pomyślne, a okręty chyże, i że odpowiedź na list pana Pinkneya nadejdzie niebawem.

Mam cudowną nowinę! Dziś Knightleyowie sprowadzili się z powrotem do Donwell. Nie muszę ci chyba mówić, kochana Charlotte, że to w annałach Highbury ważne wydarzenie.

Dom został przygotowany znakomicie. Kiedy Knightleyowie zastanawiali się jeszcze nad przeprowadzką, pani Hodges natychmiast wynajęła całą armię bezrobotnych, żeby wyszorowali i wyczyścili wnętrze.

Jedną z tych bezrobotnych osób była Patty od Batesów, która szczegółowo opowiedziała o wszystkim mojej służącej, Alice. (Wróciła do mnie w tym semestrze, a jej córeczka, Mary, pozostanie pod opieką przyjaciółki, dopóki nie podrośnie na tyle, że będzie można ją sprowadzić tutaj). Ale to dygresja. Patty mówiła, że Abbey dosłownie lśniło czystością. Przez najmniej dwa tygodnie trzepano dywany, odkurzano meble, myto okna i porcelanę oraz czyszczono srebra. Pani Hodges na starość chyba stała się sentymentalna, oświadczyła bowiem, że Abbey po raz pierwszy ukazało swoje jasne i radosne oblicze dopiero teraz, na powitanie powracającego właściciela. Przeprowadzka przypominała bardziej królewską paradę. Panowie Cole i Weston pożyczycy Knightleyom swoje powozy, nie licząc pojazdów z Hartfield i Donwell. Poza tym był jeszcze wóz rzeźnika i bryczka Williama Larkinsa, a z Abbey Mill Farm przyjechał jeszcze Robert Martin z dwoma robotnikami, wyposażonymi w dwukołowe wózki. Knightleyowie zabrali także służbę z Hartfield, trzeba było zatem przenocować i przewieźć wiele osób wraz z dobytkiem, ubraniami oraz wieloma meblami - chociaż słyszałam, że zostawiono wiele rzeczy, w tym portrety, dla rodziny pana Johna Knightleya. Nawiasem mówiąc, pan John Knightley miał przyjechać z Londynu, żeby nadzorować przewóz i wesprzeć brata na duchu. Ale w ostatniej chwili zatrzymały go w mieście sprawy zawodowe.

Podobno Emma bardzo przeżyła wyprowadzkę ze swego dawnego domu. Pani Weston spędziła z nią cały dzień i jestem pewna, że dodała Emmie wiele otuchy. Tu przypomina mi się pani Elton, która pewnego razu powiedziała ponoć, że „największym złem w małżeństwie” pozostaje fakt, iż kobieta zmuszona jest opuścić dom rodzinny i przenieść się do męża. Ale skoro Emma znała Donwell całe życie, nie trzeba jej chyba aż

tak bardzo współczuć. Poza tym będzie przecież przy niej Serle i wszyscy ludzie, z którymi zdążyła się zżyć. Szczęśliwie Serle i pani Hodges zawsze darzyły się wzajemną estymą, nie należy zatem oczekiwać jakichś nieporozumień między nimi. Dlatego w przypadku Emmy nie chodzi o takie samo poświęcenie, jakie gotuje los większości mężatek po ślubie. Ty jednak, kochana Charlotto, wiesz wszystko na ten temat. Tak było zarówno po twoim pierwszym, jak i drugim ślubie. Najpierw przeniostaś się do Yorkshire, a potem do Londynu. Choć Knightleyowie mają tymczasem tylko jedno dziecko, ufam, że przybędzie im potomstwa, które rychło zajmie część pustych pokoi w domu. Donwell Abbey, rezydencja przestronna i malownicza, aż prosi się o wielką, liczną rodzinę. Ale na razie Emma nie okazała się tak płodna, jak jej siostra.

Moje młode damy z wielką przyjemnością przyglądały się całemu temu zamieszaniu. Panna Prince i panna Richardson zabrały kilka dziewcząt na spacer w pobliże Donwell. Wydaje mi się zresztą, że nauczycielki oglądały przeprowadzkę z równą przyjemnością, co uczennice. Louisa i Lavinia, jako rezydentki, mogły robić, co chciały. Wiele uciechy dostarczył im widok na Donwell z parkanu, na który wdrapały się w pół drogi do Donwell Road. To właśnie podobno jedna z bliźniaczek dostrzegła z tego punktu obserwacyjnego łzę spływającą po policzku Emmy. Żal mi Emmy.

W miasteczku pojawiła się pogłoska, że posiadłość w Hartfield zostanie wynajęta.

*Twoja kochająca siostra,  
M. Goddard*

## LIST DWUDZIESTY DRUGI

*pani Pinkney do pani Goddard*

Hans Place,

18 października 1816 roku

W swoich listach nie musisz zawsze pisać o Sophy, kochana Mary. Jestem już zmęczona tym tematem i bardzo się ucieszyłam, słysząc o wspaniałej przeprowadzce do Donwell Abbey. Wyobraźcie sobie, dumna Emma uroniła łzę! Nie pałam do niej zbytnią sympatią, ponieważ odmówiła, nie, nie odmówiła, to zbyt mocne słowo, ponieważ nie wykazała najmniejszej ochoty, żeby mnie poznać, kiedy odwiedziliśmy cię w Highbury. Nie jest przyjazna i bezpretensjonalna jak siostra, lecz wyniosła i dumna. A poza tym jest snobką. Muszę jej natomiast oddać sprawiedliwość, idąc za twoim przykładem, za to, że tak długo opiekowała się swoim męczącym, starym ojcem. Przyznaję, że Emma ma zapewne jakieś inne zalety, skoro zdobyła miłość tak wspaniałego człowieka, za jakiego zawsze uważałaś pana Knightleya. Oczywiście, pan John Knightley powinien był asystować podczas przeprowadzki do Donwell, zwłaszcza że został teraz właścicielem Hartfield, ale jeśli o niego chodzi, to możesz być pewna, że zawsze będzie przedkładał interesy nad przyjaźń. Prawdopodobnie zatrzymały go jakieś sprawy w Admiralicji.

Słyszałam o tym osobiście od Isabelli. Odwiedziła mnie dzisiaj i dała do zrozumienia, że wkrótce w Highbury nastąpi pewna zmiana, która dotyczy was wszystkich. Poprosiłam ją, żeby wyjaśniła bliżej swoje słowa, ale powiedziała, że obiecała mężowi, iż nic nikomu nie powie, dopóki nie zostaną podpisane odpowiednie dokumenty, a sprawa ostatecznie załatwiona. Myślę, podobnie jak ty, że Knightleyowie zamierzają wypuścić Hartfield w dzierżawę. Znając pana Johna Knightleya, można przypuszczać, że nie pozwoli, aby dom stał pusty, a poza tym będzie chciał jak najszybciej uzyskać jakieś dochody ze swego nowego majątku.

Isabella jest niezwykle łagodną kobietą. Zadziwia mnie jej słodycz, tym bardziej że jesteśmy do siebie zupełnie niepodobne. Nie widuję jej tak często, jak bym chciała, a ostatnio nie spotykałyśmy się wcale. Kiedy przyszła, ani pana Pinkneya, ani kapitana Gordona nie było w domu, mogłyśmy więc swobodnie porozmawiać. Miałam rację sądząc, że to nie tylko żaloba po panu Woodhousie wzbraniała jej odwiedzin. Wyznała mi bowiem, że będzie znów miała dziecko. To już ósme! Pamiętam, że jeszcze zanim ją poznałam, pan Wingfield zauważył coś, co później mogłam zaobserwować na własne oczy, a mianowicie, że w jej pokoju dzieciнным przybywa mniej więcej jedno dziecko rocznie. Myślę, że pan John Knightley postępuje bardzo egoistycznie. Na miejscu Isabelli zażądałabym osobnych sypialni.

John Knightley zapewne znakomicie radzi sobie w zawodzie prawnika. Nie wątpię też, że jest oddanym ojcem, a jednak unikam go, kiedy tylko mogę. Nie jest łatwym rozmówcą. Nie rozumiem przywiązania Isabelli do niego. Przypuszczam, że decyzyja, aby wynająć Hartfield, wynika stąd, że tak liczna rodzina - a Bóg jedyny wie, ile kolejnych dzieci urodzi Isabella w przyszłości - jeszcze przez wiele lat nie będzie mogła przenieść się do Highbury.

Kiedy rozmawialiśmy, do pokoju wbiegł mały Edward. Chciał, żebym go wzięła na ręce, posadziła na kolanach, ucałowała i pieściła. Niešťczęsna Isabella popadła w zamyślenie i powiedziała, że pamięta okres, kiedy miała tylko jedno dziecko, Henry'ego, który był dla niej źródłem ogromnej radości, ponieważ mogła go kochać i uwielbiać do woli. A teraz, mając tak liczne potomstwo, brak jej czasu, żeby obdarzać uczuciem i poświęcać uwagę wszystkim swoim dzieciom. Jednak niemal od razu wycofała się z tych mimowolnych słów. Dodała, że oczywiście nie wyobraża sobie życia bez któregoś ze swoich dzieci. Biedna Isabella! Choć zatrudnia podobno odpowiednią liczbę nianiek, często wygląda mi na całkowicie wycieńczoną.

*Zawsze twoja Charlotta*



## LIST DWUDZIESTY TRZECI

*pani Goddard do pani Pinkney*

Highbury,  
25 października 1816 roku

Muszę ci nieco zmyć głowę, moja kochana Charlotto. Tylko dlatego, że nie chcesz mieć dużej rodziny i sama nie dbasz o dzieci, z wyjątkiem swego ukochanego Edwarda, nie oznacza przecież, że wolno ci krytykować Johna i Isabelle Knightleyów. Jest wielu rodziców, którzy lubią być otoczeni dziećmi i dumni są ze swoich przystojnych, wysokich synów i ładnych, czarujących córek. Weźmy na przykład łaskawie nam panującego króla Jerzego, królową Charlottę i ich rodzinę. Mają wszak piętnaścioro dzieci, prawda?

Isabella Knightley jest od dnia ślubu kobietą żyjącą wyłącznie dla swojego męża i dzieci. Ilekroć przyjeżdża do Highbury i przychodzi, żeby mi pokazać swoją najmłodszą latorośl, czyni to z wielką dumą. Jest być może teraz nieco zmęczona, ponieważ dzieci Knightleyów są jeszcze bardzo małe, ale z pewnością nadejdzie wkrótce czas, kiedy staną się dla niej źródłem prawdziwej satysfakcji i radości. Kochana Charlotto, wybac mi ten mały wykład, uważałam jednak, że powinnam zwrócić ci uwagę na inny punkt widzenia.

A teraz najważniejsza wiadomość, której się z pewnością spodziewałaś, pisałaś bowiem niedawno na ten temat. Otóż Hartfield rzeczywiście zostało wynajęte! Moim informatorem jest nie kto inny, tylko sam pan Knightley. Powiedział mi o tym po niedzielnym nabożeństwie. Wyobraź sobie, do Highbury przybędą nowi mieszkańcy! Woodhouse'owie mieszkali w Hartfield bardzo długo i trudno jest mi przyzwyczać się do myśli, że dom zajmą teraz jacyś obcy ludzie.

Będziemy mieli mnóstwo nowych wrażeń w naszym miasteczku. Zapanuje niemal takie poruszenie, jak wtedy, kiedy Harriet przestraszyła się Cyganów.

Odwiedziła mnie dzisiaj pani Cole. Opowiadała o rozmaitych szczegółach przeprowadzki, których nie zdradził mi pan Knightley. Pani Cole dzięki swojemu mężowi bardzo wiele wie na temat Hartfield. Klub karciany pana Cole'a to po prostu kopalnia informacji. I kto powiedział, że mężczyźni nie plotkują? Pani Cole twierdzi, że posiadłość wynajęto na podstawie ustnej umowy. Głównym najemcą został pewien wysoki, jasnowłosy młodzieniec, który zamieszkiwał ostatnio z panem Rutherfordem na plebanii. Nazywa się Pringle. Pochodzi z Liverpoolu, ale chce przenieść się na południe Anglii. Należy do uczciwej, kupieckiej rodziny, która już od pewnego czasu cieszy się powszechnym szacunkiem i systematycznie pomnaża swój majątek. Ponoć niedawno umarł senior rodu, który pozostawił znaczną fortunę swemu jedynemu synowi, Williamowi Pringle'owi. Pan Pringle studiował w Cambridge razem z naszym plebanem, i dlatego pragnąłby zamieszkać właśnie w tej okolicy. Pomysł osiedlenia się w Hartfield podsunął mu pan Rutherford. Wiedząc, że posiadłość będzie stała pusta, bez zwłoki przystąpił do działania. Pani Cole nie wiedziała, czy Pringle od razu zwrócił się do pana Knightleya, ale tak czy owak doszło w końcu do rozmów i sprawa została definitywnie załatwiona.

Tak jak przypuszczasz, John i Isabella nie będą mieszkać w Hartfield, dopóki pan Knightley pracuje. Jeśli zjadą do nas na Boże Narodzenie albo na Wielkanoc, jak to mają w zwyczaju, zatrzymają się w Donwell. Robili tak zresztą dotąd co drugi rok, pomieszkując na przemian w Hartfield i w Donwell. Z panem Pringle zamieszka, jego matka, która będzie mu prowadzić dom. Podobno młodzieniec zamierza także sprowadzić do Hartfield sforę psów myśliwskich. Niesłychane! Wyobraź sobie tylko: „darzbór”, głos myśliwskiego rogu i kilkadziesiąt jeźdźców, kłusujących po High Street w naszym cichym miasteczku.

Trzeba ci było widzieć poruszenie wśród dziewcząt w mojej szkole. Młody kawaler w Hartfield! A właściwie dwóch młodych kawalerów, jeśli liczyć pana Rutherforda. Louisa i Lavinia o niczym innym nie mówią. Nie wiem tylko, gdzie uda im się zobaczyć obu dżentelmenów, nie mówiąc już o ich spotkaniu. Sądzę, że mogą liczyć jedynie na kościół - bo poza nim będą chyba musiały zadowolić się wzdychaniem do nich z daleka.

*Kochająca M. Goddard*

## LIST DWUDZIESTY CZWARTY

*pani Pinkney do pani Goddard*

Hans Place,  
28 października 1816 roku

Nigdy nie zapominasz, że jesteś moją starszą siostrą, prawda, kochana Mary? Biorę jednak pod uwagę, że wiele lat byłaś dyrektorką szkoły i przyjmuję twoją reprimendę. Niechaj Isabella ma sobie tyle dzieci, ile zapagnie - albo ile zapagnie pan John Knightley - a ja nie wspomnę już na ten temat ani słowem.

Cieszę się ze względu na ciebie, że Hartfield zostanie zajęte: gdyby majątek stał pusty, nie ożywiłby życia towarzyskiego w Highbury. Ale nowi lokatorzy pochodzą z Liverpoolu! Nie brzmi to zbyt obiecująco. I czy to nie dziwne, że młody człowiek, pochodzący z takiej rodziny, lubi polowania?

Ja nie mam właściwie żadnych radosnych wieści. Kapitan Gordon jest u nas już cztery tygodnie i co dzień ma coraz bardziej zmartwioną minę. Nie wiem, jak moglibyśmy mu pomóc. Od czasu do czasu dyskutuję o tym z panem Pinkneym, ale wszyscy jego przyjaciele byli uczonymi, mój mąż nie ma więc żadnych znajomości w Admiralicji i nie zna nikogo, do kogo mógłby zwrócić się o pomoc. Uznaliśmy za swój obowiązek przebywać wieczorami w domu, żeby dotrzymać kapitanowi towarzystwa,

i dlatego odrzuciliśmy już kilka zaproszeń na przyjęcia. Jest mi okropnie nudno. Pan Pinkney, życzliwy i troskliwy jak zawsze, obawia się jednak, że kapitan mógłby popaść w zbyt głębokie przygnębienie, gdybyśmy go pozostawili samego. Staramy się więc niekiedy go zabawiać: pan Pinkney grywa z nim w szachy albo w bilard, a czasem grywamy we trójkę w karty, o bardzo małe stawki. Kiedy pan Pinkney albo ja zauważymy niebezpieczeństwo wygranej, staramy się popełnić błąd albo zastosować jakiś inny fortel, żeby przegrać. Mam nadzieję, że kapitan Gordon o nic nas nie podejrzewa, uważam bowiem, że niewinna rozrywka pozwala mu zapomnieć o kłopotach. Zdaje się lubić karty, a zatem poświęcenie z naszej strony jest chyba warte zachodu. Co prawda wiem, że pan P, o wiele bardziej wolałby poczytać. Kapitan Gordon opowiadał, że na bezludnej wyspie jego ludziom tak chciało się grać w szachy, że zmajstrowali w końcu figury i pionowy z kamyków i gałązek, a szachownicę wyrysowali na piasku. Były to więc bardzo prymitywne szachy, ale po jakimś czasie przyzwyczaili się.

*Adieu - Charlotta*

## LIST DWUDZIESTY PIĄTY

*pani Goddard do pani Pinkney*

Highbury,  
29 października 1816 roku

Przyjechali już nasi nowi sąsiedzi. Muszę do ciebie napisać, kochana Charlottto, bo bardzo chcę ci o nich opowiedzieć.

Są to ludzie, którzy nie marnują czasu. Pani Pringle i jej syn (czy może raczej pan Pringle i jego matka?) wprowadzili się dzisiaj do Hartfield. Z Londynu przyjechał długi łańcuch bryczek i przetoczył się z turkotem po High Street, wioząc, jak mi się wydaje, znacznie większą liczbę służących, niż zatrudnia zwykle dwoje ludzi. Ten korowód zamykała wspaniała karoca - choć oczywiście pozbawiona herbu.

Nie wiem, w jaki sposób obecność tych ludzi wpłynie na życie w Highbury, ale z pewnością nastąpi w nim jakaś zmiana. Jeśli są tak za-możni, jak przypuszczamy, a wszystko na to wskazuje, to zapewne będą starali się trzymać na uboczu i nie zechcą zadawać się z nami, ludźmi żyjącymi na skromniejszej stopie. Cóż, zobaczymy. Biedna Emma Knightley, pewnie się niepokoi. Pani Perry widziała ją w powozie zmierzającym do Randalls, kiedy krzątania wokół Hartfield stała się najbardziej gorączkowa.

Donoszę ci z radością, że wreszcie napisała do mnie panna Bates. Musiała poświęcić cały dzień na korespondencję, ponieważ list od niej dostałam nie tylko ja, lecz także pani Cole i pani Perry. Zdaje się, że do wszystkich napisała mniej więcej to samo. Przeprosiła nas, że wyjechała bez pożegnania, ale nie miała innego wyjścia. (Teraz oczywiście wiemy już dlaczego). Jak można było się spodziewać, Hetty Bates twierdzi, że wszyscy w Enscombe są dla niej bardzo mili. W Yorkshire jest pięknie, panna Bates czuje się najszczęśliwszą kobietą na świecie, itd. itd. Przyznaje, że tęskni za Highbury, ale dzieci Churchillów są słodkie i Hetty sądzi, że przywyknie wkrótce do Yorkshire, gdzie można spotkać niesłychanie malownicze i urzekające widoki. Nie pisze szerzej na tematy osobiste, jak byśmy sobie tego życzyły, to znaczy - nie wspomina, jak się naprawdę czuje, jak spędza czas i czy przyzwyczała się już do radykalnej odmiany trybu życia.

Niestety! W tym braku szczerości, tak obcym jej naturze, podejrzewam przygnębienie. Obawiam się, że piękne i urzekające widoki to za mało, żeby pocieszyć człowieka po stracie starych przyjaciół.

Wspomina również, że Frank Churchill pomimo jej protestów uznał, iż dzieci będą jej przeszkadzać, dlatego uparł się, by oddać pannie Bates osobną sypialnię i salonik we wschodnim skrzydle rezydencji, w pewnym oddaleniu od reszty domowników. Wnioski wyciągnij sama. Oczywiście doskonale wiemy, że nade wszystko chciałaby przebywać w kręgu spraw rodzinnych.

O Boże, często o niej myślę, i ciągle brak mi jej wesołości i dobrotliwego gadulstwa. Miejsce panny Bates jest w Highbury, nie w Enscombe. Ludzie z miasteczka zawsze o nią pytają - pani Stokes z

gospody „Crown”... pani Ford ze sklepu: „Czy miała pani jakieś wiadomości od panny Bates? Jak ona się miewa?” Biedna kobieta! Przypuszczam, że nie ma nic do roboty i przesiaduje po całych dniach, samotna i opuszczona, w swoim pokoju we wschodnim skrzydle domu.

*Twoja kochająca*  
*Mary Goddard*



## LIST DWUDZIESTY SZÓSTY

*pani Pinkney do pani Goddard*

Hans Place,  
31 października 1816 roku

Ha! Moja kochana! Więc jest dokładnie tak, jak myślałam. Frank Churchill chciałby umieścić pannę Bates jak najdalej od siebie. Trudno się jednak dziwić, że tak wytworny i modny młodzieniec nie może znieść jej obecności. Wielka szkoda, że Churchillowie nie zapewnili pannie Bates niewielkiego dożywocia i nie pozostawili jej w spokoju w Highbury. Na pewno ich na to stać. Ale nie, to jednak nie takie łatwe. Jane nie ma przecież żadnego majątku, czy tak? Nie wypada jej zatem sugerować mężowi ani staremu wujowi, który, jak przypuszczam, pociąga wciąż za finansowe sznurki, żeby ustanowić rentę dla ciotki. No cóż, jeśli panna Bates nie jest szczęśliwa we wschodnim skrzydle domu, jedynym wyjściem dla niej jest zagiąć parol na wuja. Nic innego uczynić nie może.

A zatem twoi nowi sąsiedzi już się sprowadzili. Chciałabym, żeby dobrze ci się z nimi żyło, choć nie wiadome: jeszcze, czy kontakty z nimi dostarczą ci zadowolenia czy raczej powodów do irytacji. Nie wątpię, że ich przybycie zaznaczy pewną odmianę w waszym życiu. Młody kawaler,

nowy mieszkaniec w okolicy i człowiek zamożny, z pewnością wywołuje wielkie poruszenie i zainteresowanie. Mam nadzieję na ciekawy przebieg wypadków w Highbury.

Właściwie ten krótki list nie jest wart swojej opłaty. Postanowiłam mimo wszystko pomóc jakoś kapitanowi Gordonowi. A poza tym wciąż dręczy nas sprawa Sophy. Dlaczego czujemy się tak odpowiedzialni za innych? Może to kwestia wychowania na plebanii. W każdym razie jestem już tym zmęczona.

*Twoja kochająca  
Charlotta*

## LIST DWUDZIESTY SIÓDMY

*pani Goddard do pani Pinkney*

Highbury,  
1 listopada 1816 roku

Charlotto, proszę, żebyś nie stroiła sobie żartów kosztem mojej starej przyjaciółki. Poślubić starego pana Churchilla, też coś! Co ci chodzi po głowie? Nie będę tolerować tego rodzaju dowcipów. To złośliwość i okrucieństwo z twojej strony. I dlaczego męczysz cię pomoc ludzimi, którzy mieli mniej szczęścia w życiu od ciebie? To niegodne żywić podobne uczucia.

*Twoja*  
*M. Goddard*

## LIST DWUDZIESTY ÓSMY

*pani Pinkney do pani Goddard*

Hans Place,  
4 listopada 1816 roku

Nie dziwię się, że napisałaś to, co napisałaś. Bardzo cię przepraszam, kochana Mary. Wiem, że martwisz się o pannę Bates. Postąpiłam niewłaściwie i uraziłam twoje uczucia. Wiesz, że mam ostry język. Czasami nie potrafię oprzeć się pokusie docinków. Mam jednak nadzieję, że nie jestem kobietą bez serca, choć nie zawsze odpowiednio panuję nad językiem. Żywię wyłącznie życzliwość dla panny Bates i pragnę, żeby wiodło jej się jak najlepiej. Wybacz mi, jak to często czyniłaś w przeszłości.

Jestem przekonana, że przebaczysz mi zatem i tym razem, a wierząc w twoją łaskawość, będę pisać tak, jak gdyby nic się nie stało, zakładam więc, że wszystko jest w porządku i mam głęboką nadzieję, że się w tej kwestii nie mylę.

Wczoraj, w niedzielę, Sophy odwiedziła nas jak zwykle. Kiedy tylko weszła, natychmiast wyciągnęła ręce i poprosiła, żebym obejrzała jej dłonie. Koniuszki palców miała poranione i skrwawione. - To od gry na harfie - powiedziała. - Nauczyciel siedzi z nami w pokoju i każe uczniom ćwiczyć w jego obecności przez całą godzinę.

Wyraziłam jej współczucie i zaoferowałam płyn dezynfekujący, ale w głębi duszy byłam głęboko wstrząśnięta, kochana Mary. Zdaje się, że to dlatego uczennice seminarium pani Dubois posiadają rzekomo tak wielkie umiejętności muzyczne! Ta szkoła to doprawdy siedlisko niegodziwości.

Palce palcami, ale miło mi donieść, że twarz Sophy przybrała ostatnio bardziej sympatyczny, czy może powinnam powiedzieć, zdecydowany wyraz, który pozwala nam sądzić, że postanowiła dotrzeć do końca roku i zrobić dobrą minę do złej gry. Dostała dzisiaj list od ojca, który przyjedzie pod koniec lipca do kraju i albo zabierze ją z powrotem na Barbados, albo osiedli się już na stałe w Anglii. Niestety, nie wspomniał nic o liście pana Pinkneya.

Kiedy zasiedliśmy przy stole, kapitan Gordon, pan Pinkney i ja wspomnieliśmy, że do pierwszego lipca pozostało już tylko osiem miesięcy, czyli trzydzieści dwie niedziele (co oznacza, że Sophy trzydzieści dwa razy przyjdzie do nas na obiad). Pan Pinkney zaproponował, żeby Sophy ułożyła własny kalendarz i wykreślała z niego kolejne niedziele.

- Sam robiłem za młodu takie rzeczy - powiedział. - Dzięki temu szybciej płynie czas. Wykreślanie kolejnych dni dostarcza zaś niezgorszej satysfakcji. Jeśli chcesz, możesz trzymać kalendarz u nas. Ilekroć do nas przyjdiesz, będziesz mogła zaznaczać kolejne niedziele i obserwować upływ czasu.

- Trzydzieści dwie niedziele to bardzo dużo, panie - westchnęła. - A jedną niedzielę od drugiej dzieli siedem dni.

- Ejże - powiedział pan Pinkney. - Moim zdaniem sześć.

Zrobiła upartą minę, ale nie sprzeciwiła mu się, wymamrotała tylko pod nosem (co ja usłyszałam, a pan Pinkney nie), że każda godzina jest

dla niej wiecznością albo wiekiem, albo czymś w tym rodzaju. Potem powiedziała, że jest przynajmniej jeden człowiek, który rozumie, jak to jest, kiedy przebywa się z dala od domu, po czym zaczęła nam z ożywieniem opowiadać o owym służącym, z którym często rozmawia o Barbadosie.

- Skąd pochodzi ten sługa? - zapytał pan Pinkney.

- Z Irlandii, panie.

- A jak wygląda?

- Ach, to bardzo przystojny młodzieniec - odparła szczerze Sophy. - Ma sześć stóp wzrostu i jest bardzo atrakcyjny. Słyszałam, że madame Dubois pytała gospodynię, jak sobie radzi, ponieważ zaczął pracować dopiero w ubiegłym miesiącu. Gospodyni odrzekła, że władza chyba magicznym czarem, bo mógłby urzec nawet ptaki na drzewie, które chętnie przyniosłyby mu wszystko, czego zażąda.

Kochana Mary, chyba zdajesz sobie sprawę, jak wielki niepokój odczułam, słysząc taką charakterystykę.

- Jak to możliwe, że rozmawiasz z kimś takim? - zapytałam. - To przecież *faux pas*, moja kochana, rzecz niebywała, żeby zadawać się ze zwykłym sługą.

- Na Barbadosie panują inne zwyczaje - odrzekła. - Często rozmawiam z niewolnikami, którzy pracują w domu.

- Ale teraz jesteśmy w Anglii - zauważyłam. - Proszę, powiedz mi jeszcze, gdzie się spotykacie.

- Ach, zwykle w składziku z zastawą. Wieczorami, po podwieczorku. Wtedy nikogo nie ma w pobliżu. On poleruje czasem srebrne naczynia, tak na wszelki wypadek, gdyby jednak ktoś wszedł. Ale w tym czasie wszyscy inni służący przesiadują w służbówce.

Coraz lepiej. A Sophy mówiła o tym wszystkim tak szczerze i naiwnie, jak gdyby było rzeczą najzwyczajszą w świecie, że młoda dama zakrada się po godzinach do jakiegoś składziku, by bratać się z byle służącym.

- Czy pani Dubois nie ma nic przeciwko temu?

- Nie wie o naszych spotkaniach. W tym czasie nie ma jej w domu.

Pan Pinkney i ja wymieniliśmy spojrzenia. Oboje pamiętaliśmy, że ta zepsuta kobieta włóczy się wieczorami po mieście razem ze swoimi przyjaciółmi, pozostawiając szkołę pod nadzorem nauczycieli, którzy nie dbają zupełnie o bezpieczeństwo uczennic.

- Czy wiesz, jak on się nazywa, moje dziecko? - spytał pan Pinkney.

- Tak, oczywiście. Nazywa się Paddy O'Ryan, choć madame Dubois i lokaj wołają na niego Robert. Nie wiem, dlaczego.

- Bo na służących zawsze woła się „Robert”, jak na woźniców „James” - wyjaśniłam.

- To bardzo dziwne - odrzekła. - Nie słyszałam nigdy o czymś takim.

- Jestem pewna, że dlatego właśnie twój ojciec posłał cię do Anglii. Nie wątpię, że jest jeszcze wiele zwyczajów, których nie znasz. Ale jeśli zamierzasz obracać się w dobrym towarzystwie, powinnaś się ich nauczyć.

- Nie chcę się obracać w towarzystwie - powiedziała. - I w jaki sposób może mi się przydać znajomość tak głupich rzeczy?

- W jaki sposób? - zaśmiał się pan Pinkney. - Jestem pewien, że byłaby bezużyteczna na przykład na bezludnej wyspie, gdzieś u wybrzeży Ameryki Południowej, prawda, panie Gordon?

Ale kapitan Gordon nie uśmiechnął się.

- Przypuszczam, droga panno Adams, że czasami czujesz się w Londynie jak w obcym dla ciebie kraju.

- W rzeczy samej - odrzekła ze wzruszeniem Sophy.

- Ja i moja załoga czuliśmy się podobnie na bezludnej wyspie. Całymi godzinami gawędziliśmy o domu. Rozmowa z kimś, kto człowieka rozumie i zna drogie jego sercu miejsca, dodaje niewątpliwie wielkiej otuchy.

- Z pewnością tak - twarz Sophy rozpromieniła się. - Tak rzeczywiście jest. Paddy i ja wiele rozmawiamy o Barbadosie. Jak pan wie, to bardzo mała wyspa, a Paddy zna ją dobrze. Pamięta moją ulubioną zatoczkę, gdzie piasek jest najbielszy, a morze najbardziej niebieskie, a nawet pewną charakterystyczną palmę, która malowniczo zwiesza swe liście nad wodą. Powiada, że chciałby tam kiedyś zamieszkać, jeśli tylko będzie to możliwe. Nie zamierza przez całe życie być służącym.

Po tym dziwnym potoku słów zapadło na chwilę milczenie. Panu Pinkneyowi i mnie na chwilę odebrało mowę.

- A cóż on takiego zamierza robić, na Boga? - zapytałam, odzyskawszy zimną krew.

- Och, tego nie wiem - powiedziała. - Ale Paddy umie niemal wszystko.

- Dobrze byłoby mieć z sobą kogoś takiego na bezludnej wyspie - wtrącił życzliwie kapitan Gordon.

- Cóż, moja droga - odezwał się pan Pinkney. - Miejmy nadzieję, że pomoc jest już w drodze. Napisałem jeszcze raz do twego ojca i przedstawiłem mu ponownie, jak stoją twoje sprawy. Jeśli wyrazi zgodę, przeniesiemy cię do szkoły siostry pani Pinkney, do Highbury.

- Tak, Sophy - powiedziałam. - A tam nie będziesz się musiała martwić, jakim imieniem zwracać się do sługi, bo podobny problem w ogóle nie powstanie. Pani Goddard nie jest taką kobietą, jak pani Dubois, a jej szkoła w niczym nie przypomina twego seminarium.



- Być może rzeczywiście jest tam lepiej niż u madame Dubois - odpowiedziała niewdzięcznie. - Ale w żadnej szkole nie będzie mi tak dobrze, jak w domu. Poza tym tęskniłabym za Paddym, jeśli mnie tam pošlecie. A zresztą, minie jeszcze pewnie kilka tygodni, nim dostaniecie odpowiedź.

- Z całą pewnością, moja droga Sophy - stwierdził pan Pinkney.

Nie rozmawialiśmy więcej na ten temat, a wkrótce potem panna Adams musiała już wracać do szkoły.

Kiedy pan Pinkney i ja znaleźliśmy się bezpiecznie w zaciszu sypialni, zapytałam, czy nie martwi go, że jego siostrzenica przestaje na tak poufalej stopie z byłym marynarzem, a obecnie służącym.

- Mam nadzieję, że Sophy nie napyta sobie biedy - powiedziałam. - To bardzo niestosowny związek. Czy nie uważasz, że powinniśmy poinformować o wszystkim panią Dubois?

- Moja droga - odparł. - Nie przejmuj się tak bardzo. Nie nazywałbym tej znajomości związkiem. To raczej niewinna przyjaźń. Dziewczyna tęskni za domem, a ten człowiek po prostu z nią o tym rozmawia. Sądzę, że nie opowiadałaby o nim tak otwarcie, gdyby... - i tutaj urwał. Pan Pinkney jest bardzo skromny, nawet wobec mnie, swojej małżonki, z którą dzieli łożę. Wydawało mi się, że nawet się zaczerwienił, ale po chwili dokończył: - Gdyby było w tym coś niewłaściwego, gdyby Sophy miała coś do ukrycia, z pewnością nie rozmawiałaby z nami tak otwarcie.

I na tym skończyliśmy rozmowę.

*Adieu - Charlotta*

## LIST DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

*pani Goddard do pani Pinkney*

Highbury,

5 listopada 1816 roku

Dziękuję ci, że mnie przeprosiłaś, Charlotte. Twój występ nie usprawiedliwiał nadmiernej surowości z mojej strony. Chodziło mi o to, że ja martwiłam się o starą przyjaciółkę, a ty wydawałaś się podkpiwać z jej problemów. Tłumaczy mi tylko to, że tego dnia poranek przebiegał niezwykle burzliwie i chyba dlatego dostałam wyjątkowo męczącego bólu głowy. Zapaliły się sadze w kominie kuchennym i musiałam wyprowadzić uczennice ze szkoły. Dziewczęta świetnie się bawiły. Stały na dworze, szepcząc między sobą ze źle skrywaną, acz żywą nadzieją, że dom spłonie i nie będą musiały odrabiać lekcji. Dla nich to rozrywka, dla mnie zmartwienie. John i pomocnik ogrodnika weszli w końcu na dach, po czym udało im się ugasić ogień, wlewając do środka kilka wiader wody, które podawaliśmy im z dołu. Jeszcze teraz nie mogę myśleć spokojnie o sadzowej mazi, która w ten sposób utworzyła się w kuchni, i o wściekłości Sary, zmuszonej wraz z innymi służącymi do dodatkowej pracy nad doprowadzeniem kuchni do porządku. Obawiam się więc, że w skutek tej katastrofy wyładowałam całą złość na tobie. A zatem teraz to ja powinnam cię przeprosić.

Cóż, jak nie jeden kłopot, to drugi. Zachorowała panna Nash. Nic poważnego, silne przeziębienie. Panna Nash łatwo się przeziębia i pan Perry nakazał jej pozostać w łóżku przez dwa albo trzy dni. Doglądałam jej, podaję ciepły miód z cytryną i zmieniam okład musztardowy na piersi. Panna Nash wygląda na zadowoloną. Sama nie miałabym nic przeciwko temu, żeby spędzić w łóżku choćby jeden dzień! Ale zamiast leżeć musiałam prowadzić za nią lekcje francuskiego i mitologii greckiej, pilnując jednocześnie wszystkich innych szkolnych spraw.

Uważam jednak, że powinnam była odpowiedzieć natychmiast i wyrazić swoje zdanie w związku z listem, który dostałam od ciebie dziś rano. Z tego, co piszesz na temat twojej siostrzenicy i służącego, wnioskuję, że jednak istnieją powody do niepokoju. Uważam, że pan Pinkney jest w błędzie. Od dawna żyje w odosobnieniu od świata. Ożenił się już w mocno zaawansowanym wieku, a przedtem spędził wiele lat w Oksfordzie, zamknięty w murach uniwersytetu wraz z innymi uczonymi, jak mógłby więc przejrzeć myśli i serce młodej dziewczyny? Miejmy jednak nadzieję, że jest to faktycznie niewinna przyjaźń, i módlmy się, żeby ten uroczy Irlandczyk nie wykorzystał twojej siostrzenicy. Im szybciej uda ci się odciągnąć ją od niego i przysłać Sophy do mnie, tym lepiej, choć sądzę, że pannie Adams nie będzie się w Anglii podobało w żadnej szkole, a poza tym macie związane ręce, dopóki nie nadejdzie odpowiedź od jej ojca.

Dziś święto Guya Fawkesa.\* Jak ten czas leci! Już niedługo Boże Narodzenie. Dziewczynki śpiewały dzisiaj:

Pamiętaj, pamiętaj, piąty listopada,

Proch, spisak, Parlament i zdrada.

Święto Guya Fawkesa upamiętnia udaremnioną próbę wysadzenia w powietrze parlamentu brytyjskiego, 5. 11. 1605 r. (przyp. tłum.).

Przypomnij sobie, jak bardzo kiedyś lubiliśmy ten dzień. Dziś wieczorem rozpalimy ognisko na polu. Dałam wolne Johnowi, Sarze i większości służących. Bóg jeden wie, że im się należy. Nie muszę ci mówić, że starsze dziewczęta błagały, bym pozwoliła im pójść na ognisko pod opieką którejś z nauczycielek. Byłam nieugięta (i nie zyskałam sobie popularności), ale uczennice pozostaną bezpiecznie w łózkach. Tłumaczyłam swoją decyzję niedyspozycją panny Nash. Ale święto Guya Fawkesa przebiega czasem bardzo burzliwie, a trudno przewidzieć, co może przyjść do głowy tancerzom, kiedy sobie popiją. Muszę mieć przecież na względzie rodziców dziewcząt i zaufanie, jakim mnie obdarzyli.

*Twoja kochająca*

*M. Goddard*

## LIST TRZYDZIESTY

*pani Pinkney do pani Goddard*

Hans Place,  
6 listopada 1816 roku

To nie list, tylko bilecik, kochana Mary, z podziękowaniami za twoje przeprosiny.

Pożar w kominie! To okropne. Dziękuję opatrności, że sama nigdy czegoś takiego dotąd nie przeżyłam. Nie dziwię się, że byłeś w złym humorze. Choć przyznaję, że najpierw zdziwiłam się trochę, zazwyczaj jesteś bowiem zrównoważona.

Przekazałam twoją opinię panu Pinkneyowi. Nie jest całkiem przekonany, czy masz rację. Mój kochany mąż zawsze stara się widzieć ludzi w jak najlepszym świetle - za to go właśnie kocham, być może dlatego, że ja dostrzegam w ludziach ich najgorsze cechy. Ale przynajmniej nigdy się nie rozczarowuję.

Pan Pinkney czeka już na mnie. Nadeszła pora na nasz wspólny spacer.

*Adieu - C.*

## LIST TRZYDZIESTY PIERWSZY

*pani Goddard do pani Pinkney*

Highbury,  
8 listopada 1816 roku

Mam ci do opowiedzenia tak niezwykłą historię, kochana Charlotto, że, choć to dzisiaj moja pierwsza wolna chwila, nie mogę się oprzeć, aby nie usiąść i nie napisać do ciebie, mimo że jest już po jedenastej, a ja mam tyle spraw na głowie, że nie powinnam przesiadywać po nocach.

Przed chwilą sprawdziłam, czy Louisa i Lavinia leżą już w łóżkach, miałyśmy bowiem wyjątkowo pracowity wieczór. Oto, co się stało. Rankiem zasiadłam przy biurku, żeby sprawdzić rachunki - na szczęście panna Nash jest już na nogach - kiedy do drzwi saloniku zapukała Alice i oznajmiła, że jakaś nieznajoma dama chce się ze mną widzieć.

- Nieznajoma dama! Któż to może być?

- Nigdy jej przedtem nie widziałam - odparła Alice, wręczając mi bilet wizytowy tajemniczej nieznajomej.

Spojrzałam na nazwisko i pospiesznie odsunęłam księgi rachunkowe.

- Wprowadź ją bez zwłoki.

Za minutę lub dwie do salonu weszła ładna, bezpretensjonalnie wyglądająca kobieta w prostej, brązowej sukni. Miała owalną, dobrotliwą

twarz i ciemne włosy. Odgadłaś już, kto to był? Oczywiście, pani Pringle, nowa lokatorka z Hartfield.

- Dzień dobry, pani Goddard - powiedziała.

- Dzień dobry, pani Pringle - odparłam.

- Wybacz, pani, że ci się narzucam, choć nie byliśmy sobie przedstawione.

- Nic nie szkodzi - rzekłam, wskazując fotel przy kominku. - Proszę, spocznij, pani. Sama zamierzałam cię odwiedzić, ale pomyślałam, że chyba powinnam poczekać, aż państwo się urządzą w nowym domu.

- Ach, my, mieszkańcy północy, potrafimy w razie potrzeby działać niezwykle szybko - stwierdziła, siadając z uśmiechem. - A poza tym dom jest bardzo dobrze wyposażony. Służba nie straciła wiele czasu, żeby rozwiesić kilka naszych obrazów i rozpakować rzeczy. - Pani Pringle urwała i zaczęła rozglądać się wokoło. - Bardzo przytulny salonik.

- Miło mi to słyszeć, pani.

- Śliczne makatki.

- W większości dzieła moich uczennic.

- Bardzo chciałam panią poznać - powiedziała. - Dopiero niedawno przyjechałam w te strony i potrzebuję pomocy, a pan Rutherford stwierdził, że najlepiej będzie zwrócić się do pani.

- Pan Rutherford? - powtórzyłam zdumiona. - Nie wiem, czy, odkąd zamieszkał w Highbury, zamieniłam z nim więcej niż dwa słowa.

- A mimo to on panią zna i zapewniał mnie, że będzie pani najważniejszą osobą, do której mogłabym zwrócić się z tą sprawą.

- Ach, zapewne pragnie umieścić w mojej szkole jakąś uczennicę. Niestety, o ile nie wydarzy się nic nieoczekiwanego, obawiam się, że wolnych miejsc nie będzie aż do września. W domu brakuje już łóżek.

- Nie, nie w tym rzecz - odparła pani Pringle.

Wyobrażasz sobie, kochana Charlotta, jak bardzo zaintrygowała mnie ta mała tajemnica.

- W jaki więc sposób mogłabym pani pomóc? - zapytałam, zdjeta ciekawością.

Nie od razu wyjaśniła, po co do mnie przyszła. Upредиła, że zanim to uczyni i zanim będzie jej wolno oczekiwać, że nie odmówię pomocy, powinna najpierw przedstawić mi sytuację i opowiedzieć więcej o rodzinie Pringle'ów.

- Wy, ludzie od dawna mieszkający w Highbury, wiecie zapewne o sobie prawie wszystko. Natomiast mój syn i ja, którzy będziemy teraz mieszkać między wami, jesteśmy tutaj obcy. Czy nie powinniście zatem wiedzieć coś więcej o nas i naszej rodzinie?

Wymamrotałam coś pod nosem, że wszystko w swoim czasie i tak dalej. Ale pani Pringle zdecydowana była kontynuować, a ja, co muszę przyznać, nie miałam nic przeciwko temu, żeby jej wysłuchać.

- Ja i mój syn wynajęliśmy Hartfield wraz z wyposażeniem na jeden rok. Jeśli spodoba nam się okolica, być może przedłużymy umowę, a niewykluczone, że mój syn zakupi jakiś majątek niedaleko stąd. Zdaję sobie sprawę, że trudno będzie wam zaakceptować obcych w Hartfield, choć słyszałam, że pan John Knightley nie zamierza tu wracać, dopóki pracuje w Londynie. - Urwała, ale zanim zdążyłam coś wtrącić, dodała: - Charles Rutherford powiedział, że słyszał od pana Perry, iż pani bywała częstym gościem w tym domu.



Przyznałam, że znam rodzinę Woodhouse'ów od siedemnastu lat, a pan Woodhouse wyświadczył mi wiele dobrego, kiedy przyjechałam po raz pierwszy do Highbury i otworzyłam szkołę. Mówiąc to myślałam, że szczerść pani Pringle jest rozbijająca, dlatego poczułam dla niej ogromny szacunek. Zauważyłam, że pomimo ich domniemanego bogactwa, w zachowaniu pani Pringle nie było cienia pretensji. Zaczęła mi opowiadać o Williamie Pringle, swoim jedynym synu. Zawsze był dla niej wszystkim, ale teraz, gdy została wdową, znaczył dla niej jeszcze więcej, jeśli to w ogóle możliwe.

- Jest bardzo dobrym synem - stwierdziła. - Wielu młodych ludzi w jego wieku i niezależnych finansowo nie chciałoby mieszkać z matką pod jednym dachem. Pragnę, żeby mój William był szczęśliwy w Highbury. To dla nas wielka odmiana, przeprowadzka z domu w wielkim mieście w okolicy prowincjonalnego miasteczka, do majątku Hartfield. - Spojrzała mi prosto w oczy i uśmiechnęła się. - Pani Goddard, nie mamy przed ludźmi żadnych tajemnic. Pochodzimy z rodziny kupieckiej. Mieszkaliśmy w Liverpoolu. Wiem, że to miasto nie ma najlepszej opinii. Mówiono mi, że na południu ludzie pogardzają Liverpoolem. Ale nie przystoi mi mówić nic złego o mieście, gdzie nasza rodzina dorobiła się fortuny. Pringle'owie są szanowanymi kupcami już od kilku pokoleń. A mój mąż, przepraszam, że o tym mówię, zbił naprawdę duży majątek. Nie pogardzał nim, ponieważ pozwolił mu dać Williamowi wykształcenie, którego nie otrzymał on sam. Posłał go najpierw do dobrej szkoły, a potem na studia do Cambridge. William jest pierwszym członkiem naszej rodziny, który ukończył dobry uniwersytet.

- Doprawdy? - zapytałam.

- W Cambridge miał szczęście poznać pana Charlesa Rutherforda - ciągnęła dalej pani Pringle. - Zapewne nie wie pani, że pan Rutherford jest najmłodszym potomkiem wielce szacownej rodziny ziemiańskiej, pochodzącej również z północy kraju. Gdyby William nie studiował w Cambridge, nigdy nie spotkałby kogoś takiego, jak pan Rutherford.

- Są, jak rozumiem, dobrymi przyjaciółmi? - zapytałam, zastanawiając się wciąż, do czego to wszystko prowadzi i kiedy pani Pringle przejdzie wreszcie do rzeczy.

- Tak. Właśnie z uwagi na ich przyjaźń osiedliliśmy się w Highbury. Ludzie mówią, że przeciwieństwa przyciągają się, prawda, pani Goddard? Tak właśnie było z moim synem i panem Rutherfordem. Fantazję jednego dopełnia powaga drugiego. Charles Rutherford jest raczej nieśmiały i lubi samotne wycieczki. Lubi też łowić ryby. Nie gardzi polowaniem. Biedny Charles! Byłby na swoim miejscu jako ziemianin i szkoda, że jest zmuszony sam zarabiać na chleb. Kapłaństwo to trudne zajęcie, szczególnie dla kogoś, kto nie jest z natury rozmowny i niełatwo nawiązuje kontakt z ludźmi.

Jak możesz sobie łatwo wyobrazić, Charlotto, ta uwaga ukazała mi postać naszego samotnego, młodego plebana w nieco innym świetle niż dotychczas, toteż chciałam dowiedzieć się na ten temat czegoś więcej.

- Więc mówi pani, że poznali się w Cambridge?

- Tak. Przyjaźń z Charlesem Rutherfordem, częste wizyty w posiadłości jego rodziny oraz trzy lata studiów w Cambridge zniechęciły Williama do kurzu i gwaru miasta, żyjącego z handlu. Kiedy Charles Rutherford otrzymał tu posadę, błagał wręcz Williama, by zechciał zamieszkać w Highbury. Tłumaczył Williamowi, że na zielonym, malowniczym południu będzie o wiele przyjemniej niż na czarnej, uprzemysłowionej

północy. Nic nas już nie trzymało w Liverpoolu. Mój mąż umarł, a William był zabezpieczony finansowo i dawno już postanowił, że zamieszka gdzie indziej. Było mu wszystko jedno, dokąd się przeprowadzi. Skoro Charles zaproponował Highbury, zgodził się na Highbury. Uznał je za miejsce tak samo dobre, jak każde inne.

- Może nawet lepsze - wtrąciłam z uśmiechem. - Jego mieszkańcy uważają, że nie ma na całym świecie piękniejszego miasteczka niż Highbury.

- Być może - powiedziała. - Ale tych dwóch młodzieńców nie zna tu nikogo.

- Ach, tak, martwiłam się nawet o pana Rutherforda - odrzekłam, zadowolona, że mam nareszcie okazję powiedzieć coś sensownego. - Wiedziałam, że jest samotny, i było mi przykro, że nie mogę nic dla niego zrobić. Rozumie pani jednak, że jeśli prowadzi się szkołę dla dziewcząt, niełatwo jest zaprosić do domu młodego kawalera.

- Naturalnie - odparła. - Właśnie w tej sprawie przychodzę do pani.

„Nareszcie!” - pomyślałam. Zmierza do rzeczy, cokolwiek to może być. Pani Pringle milczała przez chwilę.

- Mój syn i ja chcemy wydać bal w Hartfield.

- Bal! - zawołałam zdumiona.

- Właśnie, bal, i chcielibyśmy, żeby pani ułożyła listę gości.

- Ja! - krzyknęłam, znowu zaskoczona.

- Tak. Jeśli będzie pani tak uprzejma. Wiem, że dopiero niedawno przyjechaliśmy, ale chcemy jak najszybciej poznać swoich sąsiadów.

- Chętnie służę pani swoją pomocą - odpowiedziałam, dochodząc powoli do siebie. - Nie sądzę jednak, że jestem właściwą osobą. Rzadko wychodzę ze szkoły i w żadnym wypadku nie jestem znakomitością

miejscowego towarzystwa. Lepszym wyborem byłaby raczej pani Knightley z Donwell Abbey. To do niej należałoby się zwrócić.

- Nie... - pani Pringle zawahała się na chwilę, jakby ostrożnie dobierając słowa. - Wydaje mi się, że pani Knightley nie... William i ja chcielibyśmy się poradzić... cóż, kogoś, kto... - znowu na chwilę umilkła i uśmiechnęła się. - Kogoś, kogo nie zaliczyłaby pani do „towarzystwa”. Jak już mówiłam, trudnił się kupiectwem, nie należymy do eleganckiego świata i chcielibyśmy zaprosić wszystkich mieszkańców Highbury, którym wizyta w Hartfield może sprawić przyjemność.

- Wszystkich! - zawołałam, zupełnie zbita z tropu.

- Tak. Każdego. Wszystkich. A właściwie prawie wszystkich.

Minęła dłuższa chwila, Charlotta, zanim zdałam sobie sprawę z ukrytego znaczenia tych słów.

- Bardzo niewiele osób z Highbury widziało Hartfield... wewnątrz - zebrałam się w końcu na odwagę.

- Słyszałam - odrzekła taktownie pani Pringle - że stan zdrowia pana Woodhouse'a przez wiele lat nie pozwalał mu przyjmować gości.

- To prawda - odparłam. - Właściwie był inwalidą.

- Czy zatem nie sądzi pani, że bal to doskonały pomysł? - zapytała.

- Myślę, że dostarczy wszystkim wiele satysfakcji. Mieszkańcy Highbury przyjmą z zachwytem takie zaproszenie.

- Otóż to. William i pan Rutherford mieli nadzieję, że powie pani właśnie coś takiego.

W tym momencie do pokoju weszły Louisa i Lavinia Ludgrove, które nie wiedziały (a może przeciwnie - wiedziały doskonale), że przyjmują gościa. Przeprosiły nas, dygnęły, uśmiechnęły się uroczo, pokazując

śliczne dołeczki na buziach, a następnie wyszły, zostawiając za sobą otwarte drzwi.

- Cóż za urocze i urodzive dziewczęta! - zachwyciła się pani Pringle. - A podobne do siebie jak dwie krople wody, słowo daję. Czy mogłaby mi je pani przedstawić?

Podeszłam do drzwi i zawołałam siostry. Oczywiście wcale nie zaszły daleko, tylko czaiły się w korytarzu, nastawiwszy uszu.

- Dziewczęta, wracajcie. Chciałabym, żebyście poznały kogoś, kto mieszka obecnie w Hartfield. Pani Pringle, proszę pozwolić, że przedstawię moje dwie rezydentki, Louise i Lavinę Ludgrove. Rozróżni je pani po wstążkach. Louisa nosi zielone, a Lavinia lawendowe.

Dziewczęta zachichotały i wymieniły spojrzenia. Czyżby znowu zamieniły się wstążkami?

Pani Pringle była najwyraźniej oczarowana.

- Mam nadzieję, że te dwie panny znajdą się na samym początku listy - powiedziała. - Prawdziwy bal nie może obejść się bez ładnych dziewcząt.

- Bal! - krzyknęła jedna z bliźniaczek, klaszcząc z radości w dłonie.

- Kiedy? Gdzie? - zawołała druga.

- W Hartfield. Gdy tylko pani Goddard sporządzi listę gości - wyjaśniła pani Pringle.

- Naprawdę? - zapytałam. - Tak szybko?

- A dlaczego nie? Im szybciej, tym lepiej. Na szczęście mamy znakomitą kucharkę. Jestem pewna, że zdoła ułożyć i przygotować należycie kolację, dowiedziawszy się o niej nawet z niewielkim tylko wyprzedzeniem.

- Och, pani Goddard, czy możemy pani pomóc przy układaniu tej listy?

- Tak, tak, prosimy bardzo, pani Goddard, pani będzie nam dyktować, a my zapiszemy nazwiska. Oszczędzi pani w ten sposób wiele zachodu.

- Proszę nam pozwolić, pani Goddard. Przyrzekamy pisać jak najstaranniej!

- No dobrze - zgodziłam się wiedząc, że lepiej poradziłabym sobie z tym zadaniem sama, wiedziałam jednak również, jak wielką przyjemność sprawi im ta pomoc. - Zrobimy to razem dzisiejszego wieczora.

Pani Pringle wyraziła nam swą wdzięczność, po czym omówiłyśmy szczegóły, dotyczące ewentualnej liczby gości, muzyki, kolacji i rozlokowania powozów. Wychodząc pani Pringle poprosiła z naciskiem, żeby na razie nic nikomu nie mówić, dopóki nie przygotujemy zaproszeń.

- To pewnie nieco frywolny koncept z mojej strony, ale chciałabym sprawić niespodziankę naszym mieszkańcom Highbury.

Obiecałyśmy, że nikomu nic nie powiemy. Pewna jestem, że dziewczęta przyrzekały z ciężkim sercem. Potem pani Pringle wyszła.

Zatem tego wieczora, po obiedzie, zasiadłyśmy razem w saloniku. Przyznam, że byłam w kłopotcie. Lecz to, co powiedziała pani Pringle, było jasne. Miałam wziąć pod uwagę wszystkich, nawet tych, których noga nigdy przedtem nie postąpiła w Hartfield. Przez chwilę widziałam oczami wyobraźni pana Woodhouse'a, który nie tolerował więcej niż ośmiu osób na obiedzie! Ciekawe, co by powiedział? Ale nie dosyć na tym, kochana Charlotte - zwyczaj liczenia się ze zdaniem pana Woodhouse'a we wszystkich sprawach dotyczących Hartfield tak bardzo wszedł mi w krew, że nawet teraz, kiedy pan Woodhouse przeniósł się na tamten

świat, musiałam sama siebie przekonywać, że nie ma nic niewłaściwego zarówno w samym przedsięwzięciu, jak i moim w nim udziale. Doszłam do wniosku, że powinnam odegrać rolę „adwokata diabła”, i przypomniałam sobie, że wszyscy słyszeliśmy o ludziach szlachetnie urodzonych, jak lord Egremont, którzy zapraszają swoich służących i dzierżawców na wielkie przyjęcia w ogrodach, gdzie „puddingi śliwkowe i bochny chleba” leżą podobno w stosach, a przecież nie znajdujemy w tym nic niestosownego. I skoro tak, to nie ma chyba również nic złego w tym, że zwykli ludzie z Highbury spotkają się z sobą w Hartfield? Oczywiście nie przywykliśmy, by na jednym balu bawili się razem przedstawiciele rozmaitych stanów i kondycji społecznych. Nie chodzi mi o to, że spodziewam się jakiejś rewolucji, jak we Francji czy Ameryce w czasach naszego dzieciństwa. Nie. Mam nadzieję, że wszyscy ci zacni ludzie przyjadą do Hartfield, okażą wdzięczność i zachwyt, że udostępniono im luksusy majątku, a następnego dnia wrócą na przypisane im miejsca w społeczeństwie. Przynajmniej tak to sobie wyobrażam. Wolałabym, żeby nie zawiedli mojego zaufania, pomyśl bowiem tylko, jaki wielki powstałby zamęt w przeciwnym wypadku.

I tak tego wieczora sporządziliśmy listę gości. Rozgorączkowanie bliźniaczek przechodziło wszelkie pojęcie. Starannie kaligrafowały nazwiska, każda co drugą stronę. Chichotały przy tym ciągle, wykrzykując co chwila „Och, pani Goddard!”, kiedy tylko kogoś zaproponowałam. One także wystąpiły z kilkoma sugestiami. Okazało się, że kilka razy widziały pewnego przystojnego oracza, przechadzającego się po High Street, który pracuje dla Roberta Martina, i wyobraż sobie, zaproponowały, aby i jego zaprosić na ten bal. Powiedziałam, że pani Pringle nie spodziewa się chyba, iż będziemy schodzić aż tak nisko. Oczywiście tylko

przekomarzały się ze mną, czy może na wpol przekomarzały, ale gdy w końcu odmówiłam, zaśmiały się i chichotały znowu. W pewnej chwili panna Richardson otworzyła drzwi, sądząc po hałasach, że nie ma mnie w saloniku, a dziewczęta płatają jakieś figle. Ponieważ jednak dałyśmy nasze słowo pani Pringle, nie mogłyśmy się przyznać, co knujemy, i obawiam się, że biedna panna Richardson wyszła obrażona.

Na pewno nie chcesz znać nazwisk wszystkich zaproszonych gości. Wiedząc jednak, jak bardzo interesujesz się sprawami Highbury, powiem ci, że postarałam się uwzględnić tak godnych ludzi, jak Robert Martin i Harriet, pani Martin i Elizabeth, całą rodzinę Coxów, obu Gilbertsów, pana i panią Perry (pani Perry nigdy nie była w tym domu, a on odwiedzał Hartfield jedynie w sprawach zawodowych), sześcioro Otwaysów, doktora i panią Hughes (byli na balu u Westonów) oraz Richarda Hughesa, pana i panią Cole (dziwne, bo Emma gościła u nich na obiedzie, ale oni także nie byli dotąd w Hartfield), a ponadto ważniejszych handlarzy i rzemieślników: panią Stokes z „Crown”, panią Ford ze sklepu, i tak dalej, i tak dalej. Mam nadzieję, że postąpiłam słusznie.

To wielka odpowiedzialność! Jestem całkowicie wyczerpana. Pora zgasić już świecę i kłaść się do łóżka.

*Twoja kochająca  
Mary*

PS

Naturalnie wpisałam na listę także Knightleyów i Westonów, choć jestem pewna, że Emma nie przyjedzie. Chyba nie mogłaby w takich okolicznościach powrócić do Hartfield?



## LIST TRZYDZIESTY DRUGI

*pani Pinkney do pani Goddard*

Hans Place,  
11 listopada 1816 roku

Myślę, że pan Woodhouse przewraca się w grobie.

Wyobraź sobie tylko całą miejscową hałastę, zdeptującą Hartfield! Co na to powie Emma? Myślę, że poprosi pana J.K., żeby natychmiast zerwał umowę najmu. Sprawy przybrały zaiste dziwny obrót, Mary. A jednak jestem oczarowana tym, co piszesz mi o pani Pringle. Zdaje się, że to bardzo sympatyczna kobieta, nawet jeśli miewa ekscentryczne pomysły. To naprawdę oryginalna myśl, żeby zaprosić wszystkich na bal. Mam nadzieję, że nie spowoduje to nieodwracalnej dezorganizacji życia towarzyskiego w Highbury. Pani Pringle wykazała przynajmniej zdrowy rozsądek, zwracając się do ciebie, żebyś ułożyła listę gości. Wygląda na to, że Highbury nieco się ożywi. Już dawno nie odbył się u was żaden bal. Ostatni zorganizowała pani Weston w „Crown”, prawda?

Tak! Wy tam będziecie tańczyć, a my przygotowujemy się do prozowanego obiadu. Będzie to wielkie wydarzenie, choć zaprosiliśmy tylko dwoje gości, nie licząc oczywiście kapitana, który wszak na razie u nas mieszka. Wystawiam twoją cierpliwość na próbę? Jak myślisz, kogo

będziemy podejmować obiadem? Księcia regenta? Burmistrza Londynu? Księcia Wellington? Czy domyślasz się, dlaczego to dla nas taka niezwykła okazja?

Powód jest prosty. Naszymi gośćmi będą John Knightley z małżonką, a oni nigdy nie chodzą do nikogo na obiady, bo nie życzy sobie tego pan Knightley. Wieczorami woli przebywać wyłącznie w towarzystwie swojej żony i dzieci. My na przykład nigdy nie gościliśmy na Brunswick Square. Przyjaźń z Isabella podtrzymuję wyłącznie dzięki porannym wizytom i spotkaniom w parku, niekiedy przypadkowym, czasem zaś umówionym. Zapewne spodoba ci się zatem fortel, jakiego użyliśmy, żeby zwabić pana J.K. na Hans Place.

Robimy to dla kapitana Gordona. Nie jest związany z Admiralicją i nie ma żadnych znajomych, którzy mogliby mu pomóc, dlatego, jak dotąd, nie udało mu się uzyskać ani renty, ani żadnej innej rekompensaty finansowej za lata, które spędził na bezludnej wyspie. Mieszka z nami już od sześciu tygodni i nie wskórał nic, a ponieważ z każdym dniem popadał w coraz większe przygnębienie, postanowiłam, że już najwyższy czas wziąć sprawy w swoje ręce.

Mówiłam ci często, że nigdy specjalnie nie podobało mi się to, co wiedziałam na temat pana Johna Knightleya, oczywiście wyłącznie ze słyszenia. Jednak w tej sprawie jego koneksje i wiedza prawnicza mogą się okazać pożyteczne. Wyjaśniłam Isabelli w czym rzecz, podkreśliłam, że kapitan Gordon znalazł się w wielkiej potrzebie i że należy mu się pomoc, a potem poprosiłam Isabelle, by uczyniła wszystko, co w jej mocy, i nakłoniła męża do przyjęcia zaproszenia. Odparła, że gdyby znał jego powody, z pewnością by odmówił. To jego święta zasada: nigdy wieczorem nie zajmować się interesami.

- Nie mów mu więc, o co chodzi, ale, kochana Isabella, przyciągnij go tutaj za wszelką cenę - powiedziałam.

Isabella nie chciała zwodzić męża nawet w tak drobnej kwestii, jak zaproszenie na obiad. Zapewniłam ją jednak, że sprawa jest godna i szlachetna, i wreszcie, choć z wielkim wahaniem, pani Knightley zgodziła się porozmawiać z mężem.

Opowiadała mi później, że poruszywszy ten temat prosiła, żeby pan Knightley zechciał sprawić przyjemność jej, ponieważ ja i ona jesteśmy bardzo bliskimi przyjaciółkami, on zaś nigdy nie miał okazji poznać ani mnie, ani pana Pinkneya, czy zatem zgodziłby się pójść na obiad na Hans Place? Dodała, że nie chodzi tylko o naszą przyjaźń, lecz także o wspólnych znajomych w Highbury - dlatego bardzo go prosiła, by zgodził się choć raz. Obiecała, że już nigdy później nie poprosi go, by wyszli razem na obiad.

Musiała być bardzo przekonująca, albowiem pan Knightley ostatecznie wyraził zgodę. Decydujący dzień nadejdzie w piątek, pod koniec tego tygodnia. Sądzę, że do podjęcia tych wysiłków skłoniła mnie szczególnie przedwczorajsza wieczorna rozmowa z kapitanem Gordonem, gdy zapytałam go, jak się miewa jego młoda Charlotta. Zauważyłam, że chyba nie dostaje od niej listów, i zastanawiałam się, czy aby jest zdrowa. Kapitan Gordon zrobił wielce zakłopotaną minę i powiedział, że nie pisują do siebie, żeby zaoszczędzić na korespondencji. Przypomniałam sobie wtedy, że kapitan znajduje się w skrajnej nędzy, i postanowiłam uczynić dla niego wszystko, co w mojej mocy.

Pomyśl sobie o nas, kochana Mary, i miejmy nadzieję, że wszystko dobrze się skończy.

*Adieu - Charlotta*

PS

Zapomniałam wspomnieć, że Sophy przyszła wczoraj na obiad i zachowywała się zwyczajnie. Idąc za twoją radą, obserwowałam ją wyjątkowo bacznie - ale niczego podejrzanego nie zauważyłam. Może jedynie wspominała o tym służącym nieco rzadziej niż zwykle.

## LIST TRZYDZIESTY TRZECI

*od Charlotte Marlowe do kapitana Gordona*

Pensjonat pani Smith, Portsmouth,  
12 listopada 1816 roku

Kochany ojcze,

Bardzo się cieszę, że mogę ci wysłać list. Jakże często przeklinałam dzień, w którym zgodziliśmy się do siebie nie pisać, jeśli nie będziemy mieli nic istotnego do przekazania. Ale wszystko wyjaśni ci doręczyciel tego listu.

Porucznik Chambers właśnie przyszedł się pożegnać. Wezwano go nieoczekiwanie najpierw do Londynu, a potem do Greenwich, na co zupełnie nie byłam przygotowana. Nie zwlekając zapytałam go, czy zgodzi się zaczekać pięć minut i zabrać dla ciebie list, który pospiesznie napiszę. Zgodził się chętnie i dostarczy ci go osobiście na Hans Place. Cieszył się tym bardziej, że podobno służył kiedyś pod twoją komendą. Było to dawno temu, więc być może już go nie pamiętasz.

Bawił w Portsmouth przez ostatnie trzy tygodnie. Leżał w szpitalu marynarki wojennej, wrócił do zdrowia i wybiera się właśnie do Londynu. Był towarzyszem broni Richarda, służyli bowiem razem w eskadrze

zwalczającej handel niewolnikami, ale porucznikowi udało się szczęśliwym trafem skończyć z tą okropną służbą. O ile skomplikowane złamanie nogi można nazwać „szczęśliwym trafem”. Chirurg okrętowy stwierdził, że złamanie wymaga kilkumiesięcznego leczenia, dlatego porucznika odesłano do domu. Gdy piszę te słowa, siedzi w saloniku i czyta gazetę.

Gazeta! Nie, kochany ojcie, nie stałam się szaleńczo rozrzutna. Gazetę kupił porucznik, który obiecał, że zostawi mi ją, kiedy będzie wychodził. Bawiąc w Portsmouth odwiedził mnie kilkakrotnie, wyobrażasz więc sobie, jak bardzo ucieszyłam się, mając wiadomości o Richardzie z pierwszej ręki. Nareszcie mogłam dla odmiany porozmawiać z kimś dorosłym, co sprawiło mi wielką przyjemność. Porucznik był tak uprzejmy, że wykonał dla mnie kilka drobnych napraw - naprawił na przykład tę nogę stołową, która zawsze sprawiała nam mnóstwo kłopotów i przez którą stół nieustannie się kiwał. Następnie zajął się drzwiami do spiżarni, które nigdy się dobrze nie zamykały, i umocował chwiejącą się wiecznie półkę. Podoba mi się określenie „towarzysze broni”. Oficerowie marynarki są jak bracia - lojalni wobec siebie i dobrzy dla swoich rodzin. Porucznik Chambers chyba lubił tu przychodzić. Jak mówił, po długim pobycie na morzu przebywanie w domu sprawia mu przyjemność (nawet w tak skromnym domu, jak nasz). Często bawił się z małym Richardem, kiedy ja zajmowałam się maleństwem, i twierdził, że Richard jest bardzo podobny do ojca, co, jak się domyślasz, przyjmowałam z ogromnym zadowoleniem.

Nie ma cię już tak okropnie długo. Tęsknię za tobą i mam nadzieję, że niebawem wrócisz. Daję sobie radę lepiej, niż sądziłam. Pani Smith stała się ostatnio nieco miłsza i obiecała, że w końcu wymieni nam szybę w

tym pękniętym oknie. Tak jak myślałeś, musiała to w końcu uczynić, ponieważ do mieszkania dostawała się woda, która przeciekała przez podłogę i sufit do salonu pani Smith.

Mała Lottie płacze rzadziej niż dawniej. Karmię ją teraz bulionem wołowym i jajkami w koszulkach. Chyba jej smakują. Może przedtem częściej płakała, ponieważ była głodna?

Porucznik Chambers musi już iść, żeby zdążyć na dyliżans, nie mogę więc, niestety, pisać dalej.

Kochany ojciec, miałam ogromną nadzieję, że twój wyjazd do Londynu okaże się owocny, ale ponieważ nie dajesz znaku życia i minęło już bardzo wiele czasu, przypuszczam, że nie udało ci się dopiąć swego.

*Twoja zawsze kochająca córka,  
Charlotta Marlowe*

## LIST TRZYDZIESTY CZWARTY

*pani Goddard do pani Pinkney*

Highbury,  
12 listopada 1816 roku

Wiesz, jak wysoko cenię rodzinę Knightleyów, kochana Charlotta, i rozumiem niepokój pani Knightley, która wzdragała się oszukać swego męża nawet w tak drobnej sprawie. Być może czytała ten poemat Scotta:

Ach, splątana sieć snujemy,  
Gdy pierwszy raz oszukujemy.\*

\* Sir Walter Scott (1771-1832), *Marmion*, pieśń szósta (przyp. tłum.).

A co się stanie, jeśli przypadkiem podczas rozmowy wyjdzie na jaw prawdziwy *raison d'etre* tego uroczystego obiadu, wydanego rzekomo w duchu czystej przyjaźni? Nie przyczyniłoby się to chyba do zwiększenia szacunku i zaufania ze strony pana Knightleya wobec swojej żony. Powiesz może, że jestem zbyt delikatna i pedantyczna, ale, niestety, nie umiem pozbyć się wieloletnich nawyków dyrektorki szkoły, usiłującej wpoić swoim młodym podopiecznym określone zasady moralne. Mam jednak nadzieję, że sprawa znajdzie szczęśliwe zakończenie i nie wątpię, że sama powtarzasz sobie, iż cel uświęca środki.



Co do nadchodzącego balu w Highbury, rozbawi cię zapewne wiadomość, że następnego ranka, kiedy sporządziłyśmy już listę, Louisa i Lavinia prosiły, bym pozwoliła im osobiście doręczyć ją pani Pringle. Nie widziałam powodu, by odmówić, toteż zaraz po śniadaniu bliźniaczki ruszyły w drogę.

Wróciły wielce poruszone. Drzwi otworzył im nie kto inny, tylko pan William Pringle we własnej osobie. Pomimo tego, że mają tak liczną służbę! Może wyglądał przez okno, zobaczył, że mijają wielką żelazną bramę i idą dalej podjazdem w stronę domu, a ponieważ nie miał nic przeciwko temu, żeby zapoznać dwie ładne dziewczyny, postanowił porozmawiać z nimi pierwszy. Oczywiście to tylko przypuszczenia. W każdym razie owego ranka wrócił właśnie z Londynu i bardzo się ucieszył, że plany jego matki, dotyczące balu, znajdują się już w tak zaawansowanym stadium realizacji.

Pani Pringle zaprosiła dziewczęta do środka i zaproponowała im po filiżance czekolady, zasiadły więc w saloniku. Pani Pringle zajęła się haftem na swoim tamborku i, jak sędzę, popatrywała na dziewczęta z rozbawieniem, kiedy troje młodych zaczęło się przekomarzać między sobą zżywieniem. Bliźniaczki całkowicie oczarowały pana Williama (o czym same powiedziały mi bezwstydnie). Przywykły już, że nieznanomi przypatrują im się uważnie ze względu na ich niesłychane podobieństwo, ale chyba nigdy dotąd nie poświęcił im uwagi tak przystojny, młody kawaler. Nie ma ich wielu w Highbury. Pan Pringle zadał im mnóstwo normalnych w takim wypadku pytań, na które odpowiedzi weszły im już w nawyk.

- Czy to nie dziwne uczucie mieć bliźniacze rodzeństwo?
- Można się przyzwyczać, panie - odparła Louisa. - Spoglądam drugi kąt pokoju i widzę jakby samą siebie, a w każdym razie zdaję sobie

sprawę, że patrzę na kogoś, kogo inni biorą za mnie albo za moją siostrę i wcale nie wiedzą, która z nas jest która.

- Doprawdy?

- I nie mam właściwie nic własnego - wyjaśniła Lavinia. - Wszystko jest nasze. Nasze włosy są kędzierzawe, nasze oczy są piwne, my mamy dołeczki na policzkach, nam jest najlepiej w białym. Nie używamy w ogóle takich słów jak mój czy moje, nawet wtedy, kiedy mówimy o swoich urodzinach.

- To niezwykle - powiedział młodzieniec, który najwyraźniej o podobnych problemach nie miał bladego pojęcia. - A czy zdarza się wam celowo wprowadzać ludzi w błąd?

- Ależ skąd - obruszyła się Louisa.

- Louiso! - zawołała Lavinia.

- No, czasami tak - przyznała Louisa. - To bardzo zabawne.

- Szczególnie dla was, jak sądzę.

- Chce pan wiedzieć, jak to robimy? - zapytała Lavinia. - Pani Goddard z naszej szkoły kazała nam nosić różnokolorowe wstążki. Mnie lawendowe, a Louisie zielone.

- I oczywiście wymieniacie się wstążkami?

- Oczywiście.

- A dziś?

- Niech pan zgadnie.

- Jak mógłbym odgadnąć?

- Proszę spróbować.

- A jeśli mi powiecie, że panna Louisa naprawdę nosi dziś zielone wstążki, to skąd będę wiedział, że mnie nie oszukujecie?

- Będzie pan musiał uwierzyć nam na słowo.

- A czy waszemu słowu można wierzyć?
- O tym będziesz musiał się przekonać, panie.

Bliźniaczki powtórzyły mi tę rozmowę z wielką radością, a potem zauważyły bezwstydnie, że pan Pringle musiał być nimi całkowicie urzeczony, ponieważ uparł się, by odprowadzić je z powrotem do szkoły.

Przypadkiem rozmawiałam na dworze z Johnem o oczyszczeniu ścieku, kiedy cała trójka podeszła do bramy - byli zagadani, w dobrych humorach i uśmiechnięci.

Dziewczęta przedstawiły mi pana Pringle. Jest przystojnym, pogodnym młodzieńcem o szczerzej, otwartej fizjonomii. Podziękował mi za to, że sporządziłam dla nich listę gości, po czym zaprosił mnie, bym jak najrychlej odwiedziła jego matkę. Mogę powiedzieć, że chociaż patrzył niby na mnie, w rzeczywistości wbijał wzrok w bliźniaczki. Rozbawiło mnie to, powinnam więc pamiętać, żeby zabrać je z sobą, kiedy wybiorę się do Hartfield, choć nie wiem, niestety, kiedy będę miała po temu okazję.

Gdy tylko pan Pringle wyszedł za bramę, a bliźniaczki wpadły do środka i zdjęły kapelusze, zaczęły mi skwapliwie i chaotycznie opowiadać wszystko, co ci przed chwilą opisałam. Muszę powiedzieć, że podoba mi się to, co ja widziałam i słyszałam na temat rodziny Pringle'ów. William Pringle spodobał mi się na podstawie tych kilku słów, które z nim zamieniłam, i spodobało mi się, że sam otworzył dziewczętom drzwi. Pomyslałam sobie, że spadek, który niedawno otrzymał, i lata studiów w Cambridge nie uczyniły go próżnym ani pysznym. Zdaje się, że ci Pringle'owie to bardzo mili, bezpretensjonalni ludzie.

Ale, kochana Charlotte, wiem, jak niewinne i banalne wydaje ci się to małe spotkanie w porównaniu z poważnymi problemami, które stwarzają ci kapitan Gordon i Sophy.

*Później.*

Ledwie zdążyłam napisać te słowa, gdy weszła panna Nash z wiadomością, że wczorajszej nocy przyłapała dwie starsze dziewczynki w sypialni swoich młodszych koleżanek - płały im figle, wkładając do łóżek szarlotki. Pojawiły się łzy, trzeba było zmieniać pościel i prześcielać łóżka, choć wszyscy byli już zmęczeni i zdenerwowani. Wykroczenie było stosunkowo błahe, ale musiałam wezwać winowajczynię do siebie i udzielić im surowego upomnienia. Nie cierpię być niedelikatna.

*Twoja kochająca*

*M.G.*

## LIST TRZYDZIESTY PIĄTY

*pani Pinkney do pani Goddard*

Hans Place,  
sobota

Niedelikatna? Szarlotki w łóżkach. Młody pan Pringle osobiście otwiera drzwi! Moja kochana Mary, w Highbury zaszyły doniosłe wydarzenia! Bardzo ci zazdroszczę twego małego rajcu.

Wczoraj odbył się zapowiadany już proszony obiad. Pochlebiam sobie, że interesuje cię ta sprawa, chociaż skrytykowałeś sposób, w jaki udało mi się doprowadzić do spotkania.

Pan Pinkney i ja podyskutowaliśmy wcześniej strategię postępowania. Postanowiliśmy nie mówić kapitanowi Gordonowi zbyt wiele i nie wspominać o nadziejach, jakie wiązaliśmy z przebiegiem tego wieczoru. Kapitan jest tak honorowym i bezpośrednim człowiekiem, że gdyby wiedział o naszych planach, mógłby się zdenerwować, zdradzić się z czymś nieopatrznie i w rezultacie zaszkodzić swojej sprawie.

Powiedzieliśmy mu więc tylko, że pani Knightley jest moją bliską przyjaciółką, a pan Knightley prawnikiem, który pracuje czasami dla Admiralicji. Kapitan mógł sobie myśleć na ten temat, co chciał.

Gdy przyszli nasi goście, Isabella musiała dokonać prezentacji, ponieważ ani pan Pinkney, ani ja nie poznaliśmy dotąd pana J.K. Tak jak podejrzewałam, nie rozmawia o głupstwach, toteż nie odzywa się wcale, o ile nie ma czegoś istotnego do powiedzenia. Z drugiej strony bardzo zaimponował mi kapitan Gordon. Nie był już pokornym i pełnym wdzięczności gościem, którego przyjmujemy od kilku tygodni, lecz stał się oficerem marynarki w każdym calu. Miałam nadzieję, że godna postawa kapitana przychylnie usposobi do niego pana J.K.

Z początku rozmowa toczyła się nieskończenie drętwo - najpierw dotyczyła pogody, a potem, kiedy nie udało się podtrzymać tematu, przeszła w bezładny opis ostatniego przedstawienia w Astleys, dokąd Knightleyowie zabierają często starsze dzieci. Czy może być coś bardziej męczącego, kochana Mary, niż wysłuchiwanie opowieści o wydarzeniach, które zupełnie człowieka nie interesują i w których nie zamierza nigdy uczestniczyć? Myślałam, że umrę z nudów, i zaczęłam się poważnie martwić o powodzenie naszego przedsięwzięcia. Kiedy temat cyrku został już wyczerpany, milczała nawet Isabella, która zawsze chętnie rozmawia, gdy jesteśmy we dwójkę. Można przypuszczać, że zachowuje się podobnie jak wiele innych żon, które w obecności męża w towarzystwie popadają w milczenie, sądzą bowiem, że nie przystoi im w jakikolwiek sposób wyróżniać się lub też przyćmiewać swego pana i władcy. Tak było i w tym wypadku, przynajmniej przez jakiś czas. Ale ponieważ dwie, a nawet trzy osoby spośród zebranych przy stole doskonale zdawały sobie sprawę, jaki jest cel naszego spotkania - właściwie wszyscy, z wyjątkiem dwóch głównych zainteresowanych - pan Pinkney i ja czyniliśmy wszelkie starania, żeby skierować rozmowę na właściwe tory.

Dopiero kiedy pokrojono baraninę, a pan P. zaproponował kilkakrotnie wino, którego goście ze względów uprzejmości nie mogli właściwie odmówić, sprawy przybrały korzystniejszy obrót. Pan Pinkney zaczął szczegółowo wypytywać kapitana Gordona o jego przygody - jak gdyby nigdy dotąd ich nie słyszał. Nie wiadomo, co pomyślał sobie kapitan Gordon, ale odpowiadał, jak przystało na uprzejmego gościa, który chce zabawić towarzystwo, po czym jął mówić o bezludnej wyspie, na której przebywał wraz ze swą załogą po katastrofie.

Z początku pan J. K. nie okazał zbytniego zainteresowania. Być może żałował, że nie jest w domu i że stracił wieczór, który mógłby spędzić z dziećmi. Kto to wie? Ponieważ publiczność nie dała się oczarować, kapitan Gordon nie zdradzał swej zwykłej skłonności do błyskotliwych anegdot. W końcu jednak pan John Knightley musiał dać się wciągnąć opowieści i dostrzec jej dramatyzm. Ostatecznie, czy często spotyka się w londyńskich domach człowieka, który spędził trzy lata na bezludnej wyspie? Jak każdy inteligentny człowiek, pan J. K. zaczął wreszcie z zaciekawieniem przysłuchiwać się historii, jakiej dotąd nie miał okazji usłyszeć. Niewątpliwie wypił więcej wina, niż początkowo zamierzał, ale pan P, i ja z ogromnym zadowoleniem dostrzegliśmy, że John Knightley nieoczekiwanie pochyła się naprzód i niemal gorąco zachęca kapitana Gordona, żeby przybliżył mu więcej szczegółów dotyczących sposobów, jakich imali się marynarze, żeby przetrwać trzy lata na bezludnej wyspie. Ściągnęłam wzrokiem spojrzenie Isabelli, która natychmiast odwróciła głowę, być może targana wyrzutami sumienia. Natomiast kapitan Gordon, który sporo wypił i znalazł się nagle w centrum uwagi, stanął na wysokości zadania. Wszyscy marynarze, których dotąd znałam, byli znakomitymi gawędziarzami. Muszą przecież jakoś zabijać nudę podczas rejsu.

Kapitan Gordon opowiadał, że rozbitkowie znaleźli we wraku kilka nasion, które zasadzili i pielęgnowali, aż w trzecim roku swojej samotności zebrali całkiem spore plony pszenicy. Upływ czasu, mówił dalej kapitan, odmierzali wykonując nożem nacięcia w kłodzie drzewa. Jedno nacięcie oznaczało jeden dzień. Pan Knightley zadawał wiele dodatkowych pytań - na przykład, gdzie chronili się w razie niepogody, na co otrzymał odpowiedź, że zbudowali sobie prymitywny szałas ze starego żagla i desek, które wyrzuciło morze. Pan Pinkney i ja oczywiście słyszeliśmy już to wszystko, ale chciałabym myśleć, że udało nam się sprawić wrażenie, jakobyśmy słuchali opowieści kapitana po raz pierwszy.

Po obiedzie damy, czyli Isabella i ja, przeszły do salonu na kawę, zostawiając panów, siedzących nad swoim portem. Isabella ucieszyła się, że wieczór zaczął przebiegać po mojej myśli, wciąż jednak żałowała, iż zwabiła do nas swego męża pod, jak uważa, fałszywym pretekstem. Kochana Isabella! Nie ma sobie równych.

Minęło bardzo wiele czasu, zanim panowie wyłonili się z jadalni. Pan Pinkney szepnął mi po chwili, że udało mu się wspomnieć, jak skandalicznie traktuje się u nas marynarzy, w tym nawet tych, którzy wiele wycierpieli w służbie królewskiej, jak na przykład kapitan Gordon czy kapitan Vancouver. Podobno, gdy pan John Knightley usłyszał, w jakiej sytuacji materialnej znajduje się kapitan Gordon, ogarnęło go ogromne wzburzenie i natychmiast zaproponował, że pomówi o sprawie z pewnym znajomym członkiem Admiralicji. Możesz sobie wyobrazić, jaką poculiśmy ulgę, gdy się okazało, że w taki oto sposób cel tego podstępem zorganizowanego obiadu został osiągnięty.

Dziś rano dostałam list od Isabelli. Powiada, że jej mąż przyjemnie spędził wieczór i zauważył, iż nieczęsto zdarza mu się rozmawiać z ludźmi



innych zawodów niż prawniczy. I nic dziwnego, skoro pan Knightley towarzysko nie udziela się zupełnie.

Mam ogromną nadzieję, zarówno ze względu na kapitana Gordona, jak i na nas, że działania pana Knightleya odniosą pożądaną skutec. Kapitan Gordon w żadnym sensie nie jest niemiłym gościem, wręcz przeciwnie, ale pan Pinkney i ja nie możemy rozmawiać swobodnie, kiedy kapitan siedzi z nami przy stole. Od jego przyjazdu nie mieliśmy dla siebie ani jednego wieczoru. Cieszylibyśmy się bardzo, będąc już znów samotnie w domu, tylko z naszym chłopczykiem.

*Zawsze twoja  
Charlotta Pinkney*

## LIST TRZYDZIESTY SZÓSTY

*pani Goddard do pani Pinkney*

Highbury,  
19 listopada 1816 roku

Ufam, że starania pana Johna Knightleya przyniosą efekty, kochana Charlotto. Nie sądzę, żeby nie miał tym razem dotrzymać obietnicy, nawet na pewno nie (choć nie asystował bratu przy przeprowadzce do Donwell). Ale w tym wypadku rezultat zależy od dobrej woli innych, nad czym pan Knightley nie ma przecież kontroli.

Zaproszenia na bal jeszcze nie dotarły. Nie wiem, skąd wzięło się to opóźnienie. Moje niemądre dziewczęta sądziły, że otrzymają zaproszenia następnego dnia, a tymczasem minął już cały tydzień. Ciągłe błagają mnie, bym odwiedziła panią Pringle i zabrała je z sobą, podkreślając, że przecież zaprosił mnie pan William Pringle. Odpowiadam, że jestem zbyt zajęta i nie mam czasu. Ale prawda jest taka, że moim zdaniem nie powinnam się narzucać. I o czym miałybyśmy rozmawiać, jeśli nie o balu? Nie wypada mi pytać gospodynię, dlaczego goście nie otrzymali jeszcze zaproszeń. Biedne dziewczęta! Milczenie na ten temat to dla nich męka. Wieczorami, kiedy jesteśmy same w salonie, dają upust emocjom, przechodząc od czarnej rozpacz, że hal hyc może nigdy się nie odbędzie, do ufnej nadziei na radość, kiedy ów wspaniały dzień, a raczej wieczór, nareszcie nadejdzie.

Widowały pana Williama Pringle tylko w kościele i en *passant* na High Street, ale, jak mi mówiły, nie miały okazji zapytać, kiedy odbędzie się bal, ponieważ wokół kręcili się ciągle różni ludzie, a sprawa ma być, i faktycznie jest, utrzymywana na razie w tajemnicy. Czuły się zawiedzione, że po tak udanym pierwszym spotkaniu pan Pringle nie złożył im wizyty i nie usiłował się z nimi spotkać pod jakim bądź pretekstem.

- Nie martwcie się - odparłam. - Spotkacie się na balu.
- O ile bal w ogóle się odbędzie - odpowiadają ponuro.
- Moje kochane - powiedziałam. - Taki jest świat. Musicie się, niestety, nauczyć, że mężczyźni mają często inne zainteresowania niż tylko płeć przeciwną. Kobiety, ogólnie rzecz biorąc, nie. Jestem pewna, że pan Pringle jest teraz czymś bardzo zajęty.

Moje przypuszczenia okazały się słuszne. Dowiedziałam się później od pani Cole, że rozpoczęto realizację planów związanych z polowaniami w Highbury, i dlatego pan Pringle i pan Rutherford krążyli po miasteczku, rozmawiając z ludźmi, gotowymi zaopiekować się psami, które wkrótce zostaną przywiezione do miasteczka. Cóż, myślę, że kilka psów leżących na ulicy nie sprawi nikomu większej różnicy, a są osoby, jak John Abdy czy stajenni z „Crown”, dla których opieka nad sforą oznaczać będzie dodatkowe dochody.

Tymczasem bliźniaczki ćwiczą z zapalem pewien utwór Mozarta, który zamierzają odegrać w duecie na balu i zadziwić całe towarzystwo - o ile, jak powtarzają, do balu w ogóle dojdzie. Wpisały do swoich sztambuchów wszystkie cytaty, które znalazły na temat romansów i miłości, ale postanowiły zmienić taktykę i teraz szukają sentencji oraz aforyzmów na temat rozpacz i nadziei. Rozbawiło mnie to wielce.

Poza tym w szkole, przynajmniej pozornie, wszystko pozostało po staremu. Stary nauczyciel kaligrafii jak zwykle łatwo wpada w gniew, ale dzięki niemu dziewczęta mają ładny charakter pisma, muszą więc znosić jego złe humory. Czy przypominasz sobie, że moja dawna rezydentka, panna Bickerton, wyszła za mąż za jego syna? Nauczyciel muzyki, człowiek o wiele łagodniejszy, jest natomiast bardzo zadowolony z postępów córek Cole'ów, które przyjechałam w tym roku do szkoły. Ponieważ dziewczynki mają w domu wspaniałą fortepian, ucieszyłam się, że nauczyciel zamiast na starym szpincie ćwiczy teraz z nimi na fortepianie z pracowni Broadwooda, zarezerwowanym dla najlepszych uczennic. Chodzi oczywiście o ten sam instrument, który Frank Churchill przesłał anonimowo Jane Fairfax, a który ona z kolei podarowała mi wspaniałomyślnie w dniu swojego ślubu.

Nie mogę już dłużej pisać. Młodsze dziewczynki bawią się i podskakują w tańcu za oknem. Dochodzą mnie ich radosne okrzyki i nie chciałabym im przerywać, ale nie mogę się skupić, ponieważ w głowie rozbrzmiewa mi wciąż skoczny wierszyk:

Benjamina Franklina wita cała Francja,  
Bo uczy panie nieznanego tańca.  
Najpierw na piętach, potem na paluszkach,  
Obrót, podskok i jeszcze wyżej nóżka.

*Twoja kochająca  
M. Goddard*

PS

Czy Sophy lepiej sobie radzi w szkole? Przedwczoraj miałam dosyć przygnębiające spotkanie z Patty na High Street. Wyszła za mąż za jednego ze służących pana Cole'a - tego, z którym spotykała się na pocztce, ich randki skończyły się, kiedy Jane Fairfax postanowiła osobiście odbierać swoją pocztę. Zapytałam Patty, czy miała jakieś wiadomości od panny Bates. Dostała podobno od niej tylko jeden krótki liścik, z którego wynikało, że Hetty czuje się nieswojo. Moja biedna, stara przyjaciółka. Nie potrafię przestać o niej myśleć.

## LIST TRZYDZIESTY SIÓDMY

*kapitan Gordon do Charlotty Marlowe*

Hans Place,  
19 listopada 1816 roku

Moja kochana Lottie,

Dziękuję ci za list, który sprawił mi wielką przyjemność. Mam sposobność odpisać i przesłać ci odpowiedź dzięki uprzejmości jednego z przyjaciół pana Pinkneya - posła do parlamentu. Ale był to pomysł pani Pinkney. Zapytała mnie, jak się miewasz, i zmartwiła się, że nie korespondujemy. A zatem tę wymianę listów zawdzięczamy oboje życzliwości przyjaciół.

Nie pamiętałem młodego Chambersa, był bowiem tylko młodziutkim aspirantem na okręcie, którym dowodziłem wiele lat temu, a jednak kiedy wszedł do salonu, poznał mnie od razu mimo moich siwych włosów. Miło nam było wspominać dawne czasy, ale bardziej ucieszyłem się, że słyszę wiadomości z pierwszej ręki o tobie i o dzieciach.

Powiedziałem, że nie napiszę, jeśli nie będę miał dobrych wiadomości. Dlatego ten list jest może nieco przedwczesny, ponieważ dopiero spodziewam się dobrych nowin, i gdybym był tak przesądny, jak większość marynarzy, nawet bym o tym nie wspomniał. Chciałem jednak wysłać ci

wiadomość. Oczywiście, zastanawiasz się, co zaszło. Otóż muszę przyznać, że byłem już zniechęcony. Któż mógłby przewidzieć, że zabawię tu tak długo, a osiągnę tak niewiele. Tymczasem w piątek pani Pinkney łaskawie zaprosiła na obiad swą bliską przyjaciółkę, panią Isabelle Knightley wraz z mężem. Pan Knightley jest prawnikiem, mającym rozmaite koneksje w Admiralicji. Udało mi się tego wieczora przedstawić mu swój problem. Zapłonął oburzeniem słysząc, jak mnie potraktowano, i przyrzekł porozmawiać w mojej sprawie z jakąś wysoko postawioną osobistością. Wydaje się człowiekiem prawym i chyba dotrzyma słowa. Modłę się, by jego wstawiennictwo odniosło skutek, i to nie tylko z tego oczywistego powodu, że jesteśmy w potrzebie.

Pan i pani Pinkney są wyjątkowo sympatyczni. Stanowią bardzo rozkochane w sobie małżeństwo, a ja jestem tu wyraźnie *de trop*. Z pewnością byliby zadowoleni, gdybym już wyjechał i pozostawił im dom wyłącznie dla siebie. Próbuję nie rzucać się w oczy i chadzam na długie spacerunki po ulicach Londynu, nie mam jednak pieniędzy, by przesiadywać w kawiarniach, toteż ciemnymi wieczorami muszę wracać na Hans Place. Wolałbym raczej siedzieć sobie w spokoju i czytać - pan Pinkney ma wspaniałą bibliotekę - ale oni chyba lubią grać w karty, muszę więc spełnić swój obowiązek gościa.

Jeśli z rozmów Knightleya z jego znajomym nic nie wyniknie, znaję się na prostej drodze do całkowitego ubóstwa, nie widzę bowiem dla siebie żadnych innych perspektyw. Nie mogę znieść myśli, że pan i pani Pinkney gościli mnie tak długo na próżno. Muszę jednak brać pod uwagę nieprzyjemną ewentualność, że wrócę do Portsmouth bez grosza przy duszy, tak jak wyjechałem.

Bardzo często myślę o tobie i zastanawiam się, jak sobie radzisz, dlatego z przyjemnością dowiedziałem się o twoich licznych, drobnych zwycięstwach na domowym froncie. Zdaje się, że młody Chambers jest lepszym stolarzem ode mnie! Mam nadzieję, że mały Richard i mała Lottie nie zapomniły swego kochającego dziadka.

*Twój zawsze kochający ojciec,  
A.J.G.*



## LIST TRZYDZIESTY ÓSMY

*pani Pinkney do pani Goddard*

Hans Place,  
22 listopada 1816 roku

Milo mi donieść, kochana Mary, że jest nadzieja dla kapitana Gordona. Najpierw panu Knightleyowi udało się doprowadzić do spotkania z pewną ważną osobistością w Admiralicji, po czym wszczęto dochodzenie i kapitan złożył już odpowiednie podania. Na razie jednak pozostaje z nami. Nie opuści Londynu, zanim nie będzie miał w garści przyrzeczonej renty. Jest ostrożny, doznał bowiem zbyt wielu rozczarowań w związku z fałszywymi obietnicami, by wierzyć, że jego sprawa zostanie załatwiona, dopóki tak się rzeczywiście nie stanie. Staramy się nadal być dla niego mili. Nie chcemy dawać mu do zrozumienia, że wolelibyśmy, aby już sobie pojechał - tym bardziej że trudno o mniej kłopotliwego gościa. Tyle tylko że chwilowo wolelibyśmy w ogóle nie mieć gościa.

Nie pisałam ci ostatnio o Sophy, ponieważ nie było nic nowego ani radosnego do powiedzenia, a nie sądziłam, że jest to temat, o którym warto pisać. Jednak skoro pytasz, to z Barbadosu nie nadeszły jeszcze żadne wieści. Słyszałam, że na Atlantyku szaleją silne sztormy, które z pewnością opóźniają morską podróż do Anglii. Sophy nadal chodzi z obrażoną

miną. Wieczór w ostatnią niedzielę był mroźny, napaliliśmy więc w kominku i ustawiliśmy krzesła przy ogniu. Nieoczekiwanie w jakiś sposób rozmowa zeszła na chłostę, jak gdyby mało było innych niecodziennych i nieprzyjemnych tematów. Wydaje mi się, że wszystko zaczęło się od dyskusji wokół pewnego artykułu w gazecie. Otóż jakiś głodujący ośmiolatek ukradł jabłko, za co skazano go na dziesięć batów, a podczas wykonywania kary chłopiec zemdlał. Zgodziliśmy się wszyscy, że został ukarany zbyt surowo.

- To barbarzyństwo! - zawołał ze wzburzeniem pan Pinkney. - Uważam, że w ogóle należy zrezygnować z chłosty. Nie pochwalam tej kary, zarówno jeśli chodzi o niegodziwych złodziejasków, jak i muryńskich niewolników czy uczniów szkoły w Eton.

- Albo marynarzy - niespodziewanie odezwał się kapitan Gordon. - Jestem dumny, że nigdy nie kazałem wychłostać żadnego marynarza, który służył pod moimi rozkazami. Choć regulamin nakazywał czasem stosowanie chłosty jako kary za niektóre wykroczenia, zawsze udawało mi się go jakoś obejść.

- Widzę, że jest pan zdecydowanym przeciwnikiem bata - rzekł pan Pinkney.

- Tak jest. Kiedy byłem jeszcze aspirantem, pewien marynarz z mojej załogi został skazany na tak zwaną Chłostę Floty. Byłem absolutnie wstrząśnięty.

- Co oznacza Chłosta Floty, panie? - spytała Sophy.

- Kiedy okręty stają na kotwicy, marynarza przewozi się szalupą kolejno na każdy okręt, gdzie zostaje poddany publicznej chłoscie. Ma to być przykład dla innych. Skazańcowi towarzyszy lekarz.

- Lekarz?

- Chodzi o to, żeby powstrzymał egzekucję, jeśli skazaniec nie jest już w stanie wytrzymać.

- I powstrzymuje? - zapytałam.

- Rzadko.

- A co stało się z tym marynarzem? - spytała z lękiem Sophy.

- Oczywiście umarł - odparł krótko kapitan Gordon. - Znałem go. Nie popełnił nic, co zasługiwałoby na taką karę. Miał żonę i dzieci, a poza tym istniały okoliczności łagodzące, których nigdy bliżej nie zbadano. Przysiągłem sobie wtedy, że jeśli kiedykolwiek zostanę wyniesiony na stanowisko dowódcy okrętu, nigdy nie pozwolę na chłostę na pokładzie.

Na te słowa Sophy (która nie potrafi powściągnąć języka i pozwolić starszym kierować rozmową) zaczęła znów mówić o Murzynach na Barbadosie. Opowiadała z gorącym oburzeniem, jak bywają wykorzystywani. Podawała przykłady niewolników, którzy wiernie i lojalnie służyli swoim panom przez wiele lat, a potem nawet za drobne wykroczenia albo pod wpływem kaprysu właścicieli skazywano ich na pięćdziesiąt batów, które zmuszeni byli przyjąć z pokorą, na klęczkach.

Chcąc zmienić ten niefortunny temat wtrąciłam, że chyba nie wszyscy niewolnicy są traktowani w ten sposób, i poprosiłam Sophy, żeby opowiedziała nam o swojej murzyńskiej mamce, o której zawsze najchętniej rozmawiała. Mówiła długo, rozwodząc się nad jej pięknym głosem, i zapewniła, że była zawsze życzliwa i pełna współczucia dla innych. Wierzy mi, Mary, że kiedy tak opowiadała, wydała mi się zupełnie inną osobą - łagodną, sympatyczną i w ogóle czarującą i bardziej atrakcyjną.

Pomyślałam, jaka to szkoda, że Sophy nie bywa taka częściej, choć zapewne w domu zachowywała się w ten właśnie sposób, kiedy kapitan Gordon zauważył, że Barbados zawsze pozyskiwał najlepszych niewolników, albowiem z uwagi na miejscowe wiatry handlarze przybywali na tę wyspę w pierwszej kolejności. Po chwili zapytał, czy owa Murzynka także przybyła na Barbados na statku handlarzy niewolników.

- Ach, nie, panie. Urodziła się tam, podobnie jak jej matka. To babkę mojej Mamusi przywieziono na Barbados z Afryki. Wybuchła tam wojna plemienna. Babka została schwytana przez wrogów i później sprzedana pewnemu handlarzowi z miasta Bristol za kilka bel sukna. Opowiedziała tę historię swojej córce, która opowiedziała ją mojej Mamusi, a ona z kolei opowiedziała ją mnie.

- Pojmuje pan, że Sophy jest bardzo przywiązana do tej... osoby - wyjaśniłam kapitanowi Gordonowi, niepewna, jak należy nazywać ową Murzynkę.

- Ona mnie wychowała - odrzekła prostodusznie Sophy. - Miałam zaledwie osiem lat, kiedy umarła moja prawdziwa mama. Bardzo bym chciała, żeby Mamusia umiała czytać i pisać - westchnęła. - Wtedy mogłabym z nią korespondować.

- Tak, listy od niej na pewno podniosłyby cię na duchu - powiedział życzliwie pan Pinkney. - Cóż, wkrótce znów ją zobaczysz. Czas szybko mija.

- Ale nie dość szybko - odparła Sophy. - A jeśli mój ojciec zdecyduje się wrócić na stałe do Anglii, to nigdy już nie ujrzę swej ukochanej wyspy.

- Powoli, powoli - rzekł pan Pinkney. - To jeszcze nic pewnego. Przecież twój ojciec myślał o tym już wcześniej, ale nic nie wynikło z jego planów.

I rozmowa zakończyła się na taką właśnie, niezbyt pomyślną nutę.

*Adieu - Charlotta*

PS

Mam nadzieję, że wasz bal nie zostanie odwołany, bo dla twoich uczennic byłoby to zaiste straszne rozczarowanie. Ale biorąc pod uwagę entuzjastyczne plany pani Pringle, bal chyba się jednak odbędzie?

## LIST TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

*pani Goddard do pani Pinkney*

Highbury,  
23 listopada 1816 roku

Moja kochana Charlotte,

Dzięki Bogu, że prowadzę szkołę dla dziewcząt. Nie mogłabym pracować w męskiej szkole i opatrywać ran, zadawanych uczniom przez okrutnych nauczycieli. Znałam kiedyś pewną kobietę, która pełniła obowiązki pielęgniarki w Rugby. Opowiadała, że było to wyjątkowo nieprzyjemne.

Bardzo mi przykro, że Sophy jest nadal nieszczęśliwa i że nic nie można dla niej zrobić. Widzę raz jeszcze, jak trywialne i szczęśliwe są nasze tutejsze przypadki w porównaniu z twoimi poważnymi zmartwieciami.

Dziś mieszkańcy Highbury otrzymali nareszcie zaproszenia na bal. Pewna jestem, że w wielu domach zapanowało zdumienie, a wielu ludziom nie zamykają się na ten temat usta. Jak wiesz, pani Pringle zobowiązała nas, żebyśmy nikomu nie wspominały o balu. Bardzo wątpiłam, czy Louisa i Lavinia zdołają utrzymać w tajemnicy te ważne wiadomości.

Nie byłoby nic dziwnego, gdyby rozpuściły je wśród swoich koleżanek szkolnych. Obiecały jednak, że tego nie zrobią, i mogę z dumą stwierdzić, że dotrzymały słowa. Teraz cieszą się zasłużoną przyjemnością informowania wszystkich, że wiedziały o balu od samego początku. Wyjaśniają także panie Richardson (trzy moje nauczycielki również otrzymały zaproszenia), dlaczego hałasowałyśmy tak bardzo owego wieczora w moim saloniku.

Kiedy dziś rano nadeszło dla mnie zaproszenie na bal, pomyślałam, że powinnam wreszcie odwiedzić panią Pringle. Wydawało mi się, że teraz nie byłoby już w tym nic niestosownego. Wybrałam się więc do niej około południa. Louisa i Lavinia miały w tym czasie lekcje muzyki, nie musiałam więc zabierać ich ze sobą. Kiedy zbliżałam się już do Hartfield, z przyjemnością i zdziwieniem ujrzałam, że w tym samym momencie zza zakrętu wyłania się powóz Knightleyów. Powóz zatrzymał się, po czym Emma otworzyła okno. Wymieniłyśmy wzajemne uprzejmości - ja pytywałam ją o synka i życie w Donwell, ona natomiast wyraziła żal, że odkąd ustały nasze karciane spotkania w Hartfield, rzadko mnie widuje. Kiedy odjechała, a ja stałam przed drzwiami, pomyślałam sobie, że Emma dopiero teraz wkracza naprawdę w małżeństwo i że przyjemnie jest jej troszczyć się nareszcie wyłącznie o męża, po pierwszych dwóch trudnych latach, które spędziła z panem Knightleyem w Hartfield. Trzeba oddać sprawiedliwość zacności wszystkich zainteresowanych, ponieważ ten trudny okres upłynął im w zgodzie. Ilekroć bywałam tam z panią i panną Bates, widziałam, że pan Woodhouse jest szczęśliwy i zadowolony.

Lokaj państwa Pringle wprowadził mnie do saloniku. Pani Pringle siedziała przy biurku. Powitała mnie przyjaźnie i powiedziała, że odwiedziła

ją właśnie pani Knightley, by podziękować za zaproszenie, którego nie może jednak przyjąć, ponieważ wciąż nosi żałobę. Pani Pringle dodała, że Emma zachowywała się bardzo sympatycznie i oświadczyła, iż z wielką przyjemnością odwiedza znów dobrze znane jej pokoje. Tak mi powiedziała, podejrzewam jednak, że w głębi duszy odczuwa coś zupełnie przeciwnego. Ale Emma Woodhouse niemal zawsze umiała zareagować właściwie, bez względu na to, co naprawdę czuła. Wyjątkiem jest oczywiście ów słynny wypadek, kiedy na Boxhill zachowała się niegrzecznie wobec panny Bates, o czym kiedyś opowiadała mi Harriet. To jednak dawne czasy. Sądzę, że małżeństwo służy Emmie, choć nie wiem, czy to możliwe, by była jeszcze lepsza i piękniejsza! W każdym razie wyglądała kwitnąco.

Dziwnie się czułam, znalazłszy się w Hartfield po raz pierwszy od czasu, kiedy mieszkała tam rodzina Woodhouse'ów. Ponieważ dom został wynajęty wraz z umeblowaniem, niewiele się tam zmieniło, choć pani Pringle przywiozła trochę swoich rzeczy. Na stolikach stoją teraz kosztowne wazy od Wedgwooda, ściany zdobią płótna, przedstawiające głównie jelenie i owce, zmienione zostały niektóre dywany i zasłony, a poza tym nowi służący otwierają drzwi i przynoszą herbatę. Pani Pringle twierdzi, że posiadłość bardzo się jej podoba. Dom jest solidny i wygodny, a Highbury w porównaniu z Liverpoolem to ciche, pogodne miejsce.

- Oczywiście powinnam liczyć się z tym, że być może nie będę tu mogła mieszkać zbyt długo - powiedziała. - Mój kochany William prawdopodobnie niedługo się ożeni.

- Doprawdy? - zapytałam zaskoczona, pomyślałam bowiem o bliźniaczkach. - Czy kogoś już sobie upatrzył?

- Ach, nie, skądże. Ale wiadomo przecież, że młodzi mężczyźni w



końcu się żenią, nie zaszkodzi więc przygotować się na ślub, a potem pomyśleć, co dalej z sobą począć. Nie chciałabym zawadzać Williamowi. Mały domek gdzieś w pobliżu Hartfield zadowoliliby mnie całkowicie, bo wówczas mogłabym widywać wnuki. Ostatnio jednak William był bardzo zajęty, kupował bowiem sforę psów gończych. Teraz próbuje je umieścić u ludzi, którzy zgodzą się zaopiekować zwierzakami.

- Słyszałam o tym - odparłam. - Jak dotąd nie mieliśmy psów w Highbury.

- Naturalnie William nie ma żadnego doświadczenia w tych sprawach - powiedziała pani Pringle. - Ale pan Rutherford jest znawcą psów i pomaga mu we wszystkim. To dobry układ. William zapewnia fundusze, a Charles wiedzę. A łowiectwo będą uprawiać razem.

- Ach tak? Czy to oznacza, że nasz pleban będzie także trzymał konie? - zapytałam.

- Och, skądże znowu - zachnęła się pani Pringle. - Konie do polowania są bardzo kosztowne, a Charles Rutherford nie ma ani grosza. Nie, nie, sfora składa się z legawców, natomiast myśliwi pójdą za psami piechotą i będą polować na zające. Mówiono mi, że będą także wyposażeni w długie kije, żeby tym łatwiej pokonywać rowy i zarośla. W Liverpoolu nie mieliśmy o takich rzeczach pojęcia, ale napomknęłam o tej sprawie pani Knightley, która oświadczyła, że pan Knightley pochwała zamiary mego syna. A mieszkam w Highbury już na tyle długo, pani Goddard, by wiedzieć, że aprobatą ze strony pana Knightleya to tutaj bardzo ważna rzecz.

- W istocie - odrzekłam, zdziwiona jej przenikliwością.

- Pani Knightley powiedziała mi również, że pan Knightley wspominał jej często, jakoby w okolicy było mnóstwo zajęcy. Mówiła wręcz o pladze tych gryzoni. Podobno niszczą zbiory.

Uderzyła mnie rzeczowa prostota tego stwierdzenia, skontrastowana z przesadnymi pogłoskami, poprzedzającymi wieści o planowanych polowaniach, ponieważ plotka malowała wizję dwunastu konnych myśliwych w czerwonych kurtkach, którzy pogalopują na złamanie karku przez miasto w pogoni za lisem.

- Niektórzy ludzie są zdania, że duchowni nie powinni polować - zauważyłam.

- Ach, tak sądzą ewangelicy - odparła pani Pringle. - A zdawało mi się, że nie ma ich w Highbury. Ja uważam, że świeże powietrze i wysiłek fizyczny mogą przynieść młodym ludziom wyłącznie pożytek. Jeśli pan Rutherford nie zaniedbuje swoich obowiązków, to jaką szkodę może przynieść parafianom polowanie?

Nie czułam się na siłach, żeby podjąć dyskusję na ten temat, toteż rozmowa zesłała wkrótce na szczegóły dotyczące balu. Pani Pringle zaprosiła dwóch muzyków z Londynu, żeby przygrywali nam wieczorem do tańca. Okazało się, że to właśnie trudności ze sprowadzeniem muzykantów spowodowały opóźnienie w rozsyłaniu zaproszeń. Jednak kiedy rozmawiałam z panią Pringle, dzwonek u drzwi dźwięczał nieustannie, albowiem kolejni goście powiadamiali o przyjęciu zaproszenia.

Wracając do domu, widziałam wiele uśmiechniętych twarzy. Wstąpiłam do sklepu pani Ford z myślą, żeby kupić sobie nowe rękawiczki na bal, zanim wszyscy wpadną na ten sam pomysł. Pani Ford, która niewiele ma ze swego zapracowanego życia, promieniała wprost z zachwytu. - Ach, pani Goddard! - zawołała. - Cóż za niezwykle nowiny! Czy wie pani, że w Hartfield odbędzie się bal, na który zostaliśmy wszyscy zaproszeni?

Następnie spotkałam pana Rutherforda, który uchylił na mój widok kapelusza i oznajmił, że jego przyjaciel, William Pringle, jest mi niezwykle wdzięczny za pomoc, jaką okazałam jego matce.

Zamierzałam odpowiedzieć coś miłego, jak na przykład, że przyjemność, jaką sprawiła mi ta pomoc, jest niczym w porównaniu z przyjemnością, na którą czeka teraz całe Highbury, gdy nagle, w tym właśnie momencie, jeszcze zanim zdążyłam otworzyć usta, jak spod ziemi wyrosły przed nami bliźniaczki. Zwróciły ku mnie swoje promieniejące twarze i stały nieruchomo, najwyraźniej oczekując, że zostaną przedstawione. Ponieważ pan Rutherford nie objawił niechęci, przedstawiłam mu dziewczęta, po czym nastąpiły dwa dygnięcia i ukłon. Pan Rutherford wspomniał, że jego przyjaciel, pan Pringle, opowiadał mu o swoim spotkaniu z pannami, on sam zaś zauważył je w kościele. A skoro o tym mowa, to która z dziewcząt jest która? Usłyszeliśmy zwykłe objaśnienia i uwagi, historię zielonych i lawendowych wstążek, i tak dalej.

Kiedy tak rozmawialiśmy, od strony Donwell Road nadeszła drugą stroną ulicy Elizabeth Martin. Jestem pewna, że wybierała się do sklepu pani Ford. Będąc skromną młodą kobietą, ominęłaby nas z daleka, gdybym jej nie zawołała i nie przedstawiła. Nie jest tak ładna ani reprezentacyjna, jak Louisa czy Lavinia, ma jednak sympatyczną buzię o rozsądnym wyrazie oraz zrównoważony charakter, w przeciwieństwie do bliźniaczek, odznaczających się kapryśną naturą. Młodzi, dzielący zainteresowanie balem, rozmawiali z rosnącym ożywieniem o wielkiej ucieście, jakiej miał im dostarczyć uroczysty wieczór.

Stałam i słuchałam ich z rozbawieniem. Wiedziałam doskonale, że chcieliby, żebym już sobie poszła. Ale im dłużej tam stałam, tym dłużej Elizabeth nie ruszała się z miejsca. Wiedziałam, że odejdzie, jeśli i ja pójdę. Muszę przyznać, że przyglądałam się im wszystkim z wielką przyjemnością. W końcu pan Rutherford powiedział niechętnie, że musi

już, niestety, iść. Miał spotkanie w związku z pewnymi obowiązkami parafialnymi i nie mógł kazać czekać na siebie panom: Knightleyowi, Cole'owi i Westonowi.

- Jeśli idzie pan do „Crown”, może byłby pan tak dobry i odprowadził pannę Martin do sklepu - powiedziałam.

- My też pójdziemy! - zawołały ochoczo bliźniaczki.

- Co to, to nie, moje kochane - odrzekłam. - Wracajcie do domu.

Pan Rutherford i Elizabeth ruszyli razem w dół High Street. Dziewczęta z rozanielonymi minami wróciły ze mną do szkoły, ale chichotały ciągle i trącały się porozumiewawczo łokciami, tak że niemal straciłam do nich cierpliwość.

*Twoja kochająca*

*M. Goddard*

## LIST CZTERDZIESTY

*pani Pinkney do pani Goddard*

Hans Place,  
niedziela, 24 listopada 1816 roku

Te bliźniaczki, Louisa i Lavinia, wyglądają mi na czarujące dziewczęta, kochana Mary. Obawiam się, że pomimo twoich sprytnych manewrów Elizabeth Martin nie dopisze jednak szczęście. Uważam, że młodzi ludzie skłonni są wybierać raczej urodę i animusz niż rozsądek i cnotę. Elizabeth, choć to zacna, farmerska córka, nie może chyba konkurować z twoimi bliźniaczkami. Jeśli pan Rutherford i pan Pringle nie zakochali się już w nich po uszy, niewątpliwie nastąpi to niebawem.

Wszystko wskazuje na to, że kapitan Gordon ostatecznie otrzyma należną mu rentę. Muszę oddać sprawiedliwość panu Johnowi Knightleyowi, który wspierał kapitana Gordona tak zarliwie, jak gdyby chodziło o niego samego. Biorąc pod uwagę charakter Isabelli, zaczynam rozumieć, dlaczego jest ona tak oddaną żoną. Mnie jednak nie odpowiadałby człowiek o równie chłodnym sposobie bycia, jak pan Knightley. Tak, kochana Mary, muszę zrewidować niektóre ze swych wcześniejszych opinii, nadal

jednak nie czuję się swobodnie w obecności pana J.K. Zapewne jest mądry, zapewne szlachetny, ale na pewno nie jest sympatyczny. Cóż, musimy zaczekać cierpliwie jeszcze kilka dni, zanim zostaną podpisane ostatnie papiery. Tymczasem kapitan Gordon nadal pozostaje u nas. Gdyby tylko Sophy nie była wciąż taka osowiała, nie brakowałoby nam nic do szczęścia.

Czeka was bal, ale i u nas odbędzie się przyjęcie, które zapowiada się interesująco. Dawny przyjaciel pana Pinkneya z Oksfordu został wybrany na posła z ramienia uniwersytetu. Przyjechał do Londynu, żeby zasiąść w parlamencie, i odwiedził nas. W przyszłym tygodniu odbędzie się uroczysty *soirée* na cześć pana Falconbridge'a. Przyjdzie cały Londyn. Cały Londyn? Czy słyszę sprzeciw ze strony mojej siostry, która wszystko zawsze bierze dosłownie? Dobrze wiesz, co mam na myśli, toteż nie strofuj mnie, kochana Mary. Nie zamierzam płaszczyć się przed możnymi tego świata. Lubię jednak towarzystwo, którego, z uwagi na kapitana Gordona, nie mieliśmy ostatnio za wiele. A ja uwielbiam przysłuchiwać się błyskotliwym rozmowom, spotykać się z eleganckimi damami i mądrymi, wykształconymi mężczyznami. Martwię się jednak, co włożyć na tę wspaniałą uroczystość. Betty i ja przejrzałyśmy moją garderobę i doszłyśmy do wniosku, że powinnam kupić nową suknię. Pan Pinkney zauważył, że był to wniosek z góry przesądzony, bez względu na to, czy przejrzałybyśmy rano moją szafę czy nie. Jednak był miły i powiedział, żebym wybrała sobie, co tylko chcę. Mój kochany mąż! Pojadę jutro z Betty na Sackville Street. Isabella wspominała, że jeden z kupców ma tam śliczny wzorzysty muślin po siedem szylingów za jard.

Nie mogę już się doczekać tego przyjęcia. Słowo daję, że jestem niemal tak samo poruszona, jak Louisa i Lavinia w oczekiwaniu na bal w Hartfield.

*Adieu - Charlotta*

## LIST CZTERDZIESTY PIERWSZY

*pani Suckling do pani Elton*

Maple Grove koło Bristolu,  
wtorek

Moja kochana Augusto!

To doprawdy wielce irytujące! Na pewno dostałaś już ekspres, który wysłaliśmy w niedzielę. Jesteśmy niesłychanie wzburzeni. Kto mógł przewidzieć, że odpadnie koło od powozu? Na szczęście nie odnieśliśmy poważniejszych obrażeń. Jesteśmy tylko trochę posiniaczeni, oboje potoczyliśmy się bowiem po podłodze aż do drzwi, a pan Suckling otrzymał także silne uderzenie w ramię, kiedy zegar powozowy spadł z półeczki. Wierz mi, była to niesłychanie nieprzyjemna sytuacja. Moim zdaniem winien jest James. Powinien był się upewnić, czy wszystko jest w porządku, i dokładnie obejrzeć lando, zanim opuściliśmy Bristol. Usprawiedliwia się, że wpadliśmy w wyjątkowo dużą dziurę na drodze. Jakkolwiek by było, pękła oś i musieliśmy wrócić do domu wynajętym powozem wraz z moją pokojówką, pościelą i wszystkimi kuframi. Tak, było to bardzo niemiłe. Jamesa i lando zostawiliśmy w Petty France, gdzie mają dokonać naprawy.



Po tej przykrej przygodzie pan Suckling w obecnej chwili nie ma ochoty wyruszać znowu w drogę. Między nami mówiąc, bardzo się zdeenerwował. My, kobiety, musimy doprawdy znosić bardzo wiele! Pomyślałby kto, że to moja wina.

Będę pocieszać się pracą w ogrodzie.

Straciłam zupełnie kontenans i nie jestem w nastroju, żeby pisać dalej.

*Twoja kochająca  
Selina Suckling*

## LIST CZTERDZIESTY DRUGI

*pani Elton do pani Suckling*

Probostwo św. Stefana,  
Londyn, Arabella Street,  
27 listopada 1816 roku

Moja kochana Selino,

Na honor, pod żadnym pozorem nie spodziewałam się, że zajdzie coś takiego. Nie będę ukrywać, że byłam wprost oburzona, kiedy otrzymałam twój ekspres. Nie o to chodzi, że mogłaś przewidzieć wypadek albo mu zapobiec, a poza tym dziękuję Bogu, że nikomu nic się nie stało, ale poczyniłam już pewne kroki, aby was godnie przyjąć, i niezręcznie było mi odwołać to spotkanie. Prawdę mówiąc, poczułam się upokorzona.

Wczoraj, czyli drugiego wieczora waszego pobytu tutaj, mieli przyjść do nas na obiad sir Percival i lady Lushley, członkowie naszej parafii, ludzie znamienici, którzy obracają się w najlepszych kręgach. Sir Percival należy do jednej z najważniejszych gildii w Londynie. Zamierza nawiązać pewne kontakty w Bristolu, by - jak słyszałam - prowadzić tam interesy. Ponieważ planowałam intymne, eleganckie przyjęcie na sześć osób, byłam zobligowana, by posłać lady Lushley bilecik, informujący o waszym wypadku. W odpowiedzi przysłała mi list z przeprosinami - żałuje,

ale jest niedysponowana, i tak dalej, i tak dalej. Było jasne, że oboje uważali, iż nie warto przyjeżdżać do probostwa tylko po to, żeby spotykać się z nami, których widują co niedziela w kościele.

Ponieważ poczyniliśmy już przygotowania, kupiliśmy jedzenie, które trzeba było ugotować, a w tak krótkim terminie nie wypadało zaprosić nikogo obcego, musiałam więc przyjąć na obiedzie matkę i siostry Philipa. Wydaje mi się, że miło spędziły czas. Wykrzykiwały ciągle, że obiad jest znakomity, a potem pytały Philipa, czy jada tak codziennie. Jakie to wulgarne.

Było to jednak, kochana Selino, marne zastępstwo za was i Lushleyów. A zapowiadało się takie eleganckie przyjęcie.

*Twoja wielce rozczarowana siostra,  
Augusta Elton*

## LIST CZTERDZIESTY TRZECI

*pani Goddard do pani Pinkney*

Highbury,  
26 listopada 1816 roku

Cieszę się, kochana Charlotta, że czeka cię interesujący wieczór i przyjęcie na cześć pana Falconbridge'a. Miałaś ostatnio dużo zmartwień, należy ci się więc zarówno trochę przyjemności, jak i nowa suknia. Miejmy nadzieję, że tak dla swojego, jak i waszego dobra, kapitan wkrótce opuści już wasz dom.

Nie uważam, jak na razie, że Elizabeth Martin nie ma żadnych szans. Każdy inteligentny młodzieniec, a szczególnie duchowny, powinien doskonale zdawać sobie sprawę, że byłaby z niej znakomita żona. Pan Rutherford należy może do wyższej warstwy społecznej, ale - niestety - nie można być ziemianinem, jeśli nie ma się funduszy na życie. Nie może mieć więc nadziei, że znajdzie w Highbury dziedziczkę. A poza tym, dla niego nieskończenie cenniejsza byłaby żona, która pomagałaby mu w obowiązkach parafialnych, zapewniłaby mu bowiem trwałe szczęście, w przeciwieństwie do jakiejś młodej zamożnej kobiety z pretensjami, które często towarzyszą bogactwu. Nie podoba mi się, że nazywasz Elizabeth „zacną farmerską córką”, jej ojciec był farmerem, ale i przyzwoitym dżentelmenem, a miłe, gładkie maniery Elizabeth zaakceptowano by

wszędzie. Poza tym, choć to tylko moje zdanie, odebrała w tutejszej szkole stosowne wykształcenie, być może nawet lepsze niż większość mieszkańców Highbury. Nie jest też całkowicie bez grosza. Podobno dysponuje sumą dwustu funtów, które dostała od swojego dziadka, a jej wartość jako małżonki i tak wykracza poza jakiegokolwiek kalkulacje finansowe.

Ach, gdyby młodzi ludzie byli mądrzy! Powiesz, że mówię jak dyrektorka szkoły, ale martwię się, że pan Rutherford może popełnić pożalowania godny błąd. Nie mogę zrozumieć, jak można przedkładać młodziężną urodę i animusz nad rozsądek. Nie chodzi mi o to, że bliźniaczki nie są miłymi dziewczętami o dobrych sercach, ale na razie są jeszcze zbyt płocze i za młode, żeby nawet myśleć o zamążpójściu.

Skoro o tym mowa, to przeżyłam dzisiaj nieprzyjemny wstrząs, kiedy przygotowywałam świąteczne puddingi. (Mam oczywiście wielką nadzieję, że ty, pan Pinkney i wasz mały skarb przyjedziecie, żeby pomóc nam je zjeść). Moja kucharka Sara i ja przez cały ranek pracowałyśmy w kuchni, bo nigdy jeszcze nie przystępowałam do tego zadania tak późno, ale w szkole wrzało dotąd jak w ulu i nie miałyśmy po prostu czasu, żeby zajmować się puddingami. Przygotowuję je według przepisu naszej matki. Pamiętasz? Okazały, pożywny czarny pudding, który robiłam od pierwszego dnia swojego małżeństwa. Tym razem jednak obawiam się, że jest za późno, by odpowiednio dojrzał, więc żeby przyspieszyć ten proces, dodałam do ciasta podwójną ilość brandy. Rozbawiło mnie, że zarówno bliźniaczkom, jak i małej Sukey udało się wślizgnąć do kuchni w decydującym momencie - wszystkie wrzuciły sześciopensówki do form i mieszały kolejno ciasto, „na szczęście”. Zapytałam, jakie wypowiedziały w duchu życzenia, ale oczywiście nie chciały mi powiedzieć. Bliźniaczki, powinnam to wyraźnie podkreślić, zachowywały się czarująco, choć chyba nie są jeszcze całkiem dorosłe, ponieważ oblizywały łyżki równie ochoczo, jak Sukey.

Wielkie nieba, zdaje się, że zaczynam odbiegać od tematu. Zadajesz sobie pytanie, coś wstrząsającego może się wydarzyć w związku ze świątecznym puddingiem. Czy był na wpół surowy, czy może ktoś zamiast sześcioramiennego znalazł w cieście pestkę od śliwki?

Otóż, kiedy kroiliśmy owoce, siekałyśmy łój i tak dalej, pomyślałam sobie, że Sara jest w wyjątkowo radosnym nastroju. Gdy dziewczęta wyszły, a służące obwijały puddingi lnianymi ściereczkami i włożyły je do wielkiego żelaznego kociołka z wrzącą wodą, Sara odciągnęła mnie na bok i oznajmiła, że ona i John zamierzają się pobrać. Byłam tak zaskoczona, że musiałam usiąść i napić się herbaty.

Sara i John, choć każde na swój sposób, są tak niezbędni dla sprawnego funkcjonowania szkoły, że nie mogę sobie wyobrazić, bym mogła prowadzić ją bez nich. Kiedy już przyszedłam do siebie, Sara poinformowała mnie, że oboje chcą pozostać na służbie, ale zamierzają zamieszkać poza szkołą, jeśli uda im się znaleźć w pobliżu odpowiedni domek. Muszę się zastanowić, co począć z tym fantem, i w jaki sposób fakt, że Sara nie będzie mieszkać w szkole, wpłynie na jakość posiłków. Zresztą, John także przysparza mi trosk, ponieważ w nagłych wypadkach był dotąd zawsze pod ręką, wystarczyło tylko zajrzeć na jego stryszek nad stajnią.

Dziwisz się pewnie, że tak mnie zaskoczyła ta wiadomość. Ale oboje nie są przecież młodzi, i nigdy nie widziałam między nimi żadnych oznak uczucia. Zdaje się, że pierwsza iskra wzajemnego zainteresowania pojawiła się w dniu pożaru w kominie. Bardzo ciekawe. Być może zdecydowały o tym heroiczne wysiłki Johna na dachu. A zatem tego dnia zapłonęło coś więcej niż tylko kuchenne sadze! Sara jest doskonałą kucharką, ale jak wszystkie dobre kucharki, bywa często w złym humorze. John natomiast jest lojalnym, wiernym i pracowitym sługą, choć wiem jednak,

że bywa często przygnębiony i chimeryczny, kiedy sprawy nie idą po jego myśli. Tak, tak, pracują u mnie już od pięciu lat, chyba więc zdążyli się jednak poznać.

Mam tylko nadzieję, że Sara już nie mogłaby urodzić dziecka.

*Kochająca*  
*M. Goddard*

## LIST CZTERDZIESTY CZWARTY

*pani Pinkney do pani Goddard*

27 listopada 1816 roku

Współczuję ci, kochana Mary. Ale choć ci współczuję, cieszę się razem z Sarą. Przekaż jej moje serdeczne gratulacje, jeśli mnie jeszcze pamięta.

Czy sądzisz, że kiedy bliźniaczki mieszały „na szczęście” ciasto, życzyły sobie przystojnego męża i dziesięć tysięcy funtów rocznego dochodu? Poza tym nie zastanawiałaś się jeszcze w związku z L. i L., jak kawalerowie będą je mogli odróżnić, żeby wybrać żonę.

Nawiasem mówiąc, skoro pojawił się już temat puddingu świątecznego, powinnam wspomnieć o czymś, co wiąże się ze świętami. Otóż obok obiekcji pana Pinkneya względem wyjazdu małego Edwarda, a obawiam się, że są to obiekcje nie do pokonania, istnieje jeszcze jeden powód, dla którego nie możemy nawet myśleć o przyjeździe do was. Idzie o Sophy. Nie możemy jej zostawić samej w seminarium podczas ferii. Nie możemy także zabrać jej ze sobą. Nie byłaby ozdobą Highbury, wprowadziłaby natomiast przygnębienie i zepsułaby tylko wszystkim święta. Zdaje się, że będzie musiała zostać z nami. Przyznaję, że nie jest to dla mnie przyjemna myśl.



Przyszła wreszcie wiadomość od jej ojca. Odpowiedź na list pana Pinkneya jeszcze z września. Pan Adams pisał w bardzo zdecydowanym tonie. Powiada, że skoro nie wie nic o szkole siostry żony pana Pinkneya, a państwo Blairowie wydali znakomitą opinię seminarium pani Dubois, pragnie, aby Sophy pozostała tam gdzie jest. Jeśli nawet jest nieco nieszczęśliwa, to jej cierpienia nie potrważą długo, a kiedy on przyjedzie w lipcu do Anglii, z przyjemnością posłucha, jak Sophy gra na harfie.

Musieliśmy przekazać dziewczynie te ponure wieści, kiedy jak zwykle przyszła do nas w niedzielę. Byliśmy przygotowani na sceny rozpacz i biadania, ale dziewczyna nie popadła w takie przygnębienie, jak sądziiliśmy, co oczywiście wprawiło nas w zdumienie. Sophy powiedziała tylko, że wszystkie szkoły są jednakowo okropne. Jadła, jak zwykle, z wielkim apetytem, choć myślami wydawała się błądzić gdzieś daleko. W każdym razie poczucie krzywdy nie wpływa na jej apetyt. Któreś z nas powiedziało, że cieszymy się, iż tak smakował jej pudding - biszkopt w winie z kremem, pokryty szeroką warstwą galaretki, - którego zjadła trzy porcje (pamiętasz, jak uwielbiałyśmy w dzieciństwie taki pudding?). Powiedziałam o tym panu Pinkneyowi, który roześmiał się i oświadczył, że jest to również jego ulubiony deser, i w tym momencie Sophy przerwała mu nagle, odzywając się z taką gwałtownością, że mój małżonek urwał w połowie zdania.

- Panie, czy mógłbyś dać mi pięć funtów? - zapytała, patrząc mu prosto w oczy.

- Pięć funtów! - wykrzyknął ze zdziwieniem pan Pinkney, wiedział bowiem, że dziewczyna otrzymuje wysokie kieszonkowe.

- Potrzebuję pieniędzy na jedzenie - wyjaśniła.
- Na jedzenie?
- Na dodatkowe jedzenie.

- Przypuszczam, że dziewczęta kupują sobie słodczyce - powiedział pan Pinkney. - Pamiętam, że w szkole najwięcej pieniędzy wydawałem na zaspokojenie potrzeb żołądka.

- Ta kobieta źle karmi swoje uczennice - zauważyłam.

- Tak - dodała Sophy. - Bardzo źle.

- Ale pięć funtów to dużo pieniędzy w rękach młodej damy - stwierdził pan Pinkney.

- Wiem o tym - odrzekła otwarcie jego siostrzenica. - Proszę się nie obawiać. Dopilnuję, żeby ojciec oddał państwu pieniądze, gdy tylko przyjedzie do Anglii.

- Nie o to mi chodziło, młoda damo - rzekł z niejakim rozdrażnieniem pan Pinkney, ponieważ zrobiłby i robi wszystko dla dziecka swojej żony.

Na jego miejscu nie dałabym jej tych pieniędzy. Jednak ponieważ skończyliśmy już obiad, pan Pinkney poszedł do swojego gabinetu po pięć funtów, na szczęście bowiem dysponował w domu taką sumą. Sophy, ja i kapitan Gordon pozostaliśmy w niezręcznym milczeniu przy jadalnianym stole. Trudno mi sobie wyobrazić, na co jest jej potrzebna tak ogromna kwota, i kiedy kapitan Gordon udał się na spoczynek, zapytałam pana P., dlaczego mimo wszystko dał jej pieniądze.

- Ach, moja droga, ta dziewczyna jest bardzo nieszczęśliwa. Nie chcę jej niczego odmawiać. Jeśli kupi sobie za to jakieś drobiazgi, które poprawią jej nastrój, to cieszę się, że ją obdarowałam.

- Drobiazgi! - zawołałam. - Za taką kwotę będzie opływała w luksusy.

Potem przypomniałam sobie, że trzy lata temu pan Pinkney dał młodej Charlocie pięć gwinei w Bath, a ja nie tylko nie protestowałam, ale nawet pochwaliłam jego szczodrość. Jednak w tym wypadku spełnił beczelną

prośbę, a Sophy nie jest przecież uboga. Cóż, pomyślałam sobie jednak, że ostatecznie to jego siostrzenica i jego pieniądze.

- Jesteś wielce dobroduszny, kochanie - powiedziałam, wyciągając do niego dłoń. - Chodźmy spać.

I pan Pinkney położył się do łóżka.

*Zawsze twoja  
Charlotta*

## LIST CZTERDZIESTY PIĄTY

*pani Goddard do pani Pinkney*

Highbury,  
28 listopada 1816 roku

Pięć funtów! Tyle płacę Daisy, mojej najmłodszej kuchennej służącej, za cały rok. Na co Sophy tak ogromna suma? Mam nadzieję, kochana Charlotta, że nie zużyje jej w jakimś nikczemnym celu. Na twoim miejscu miałabym na nią oko. To niefortunne, chociaż zrozumiałe, że jej ojciec nie chce, żeby zmieniała szkołę. Sądzę, że pan Adams, będąc tak daleko od domu, nie jest w stanie pojąć, w jakiej sytuacji znalazła się Sophy. Niestety, jego decyzja nie zdejmuje ci z ramion obowiązku opieki nad tą dziewczyną i dodawania jej otuchy. Zważywszy, że nigdy nie spotkałaś pana Adamsa, a pan Pinkney, o ile wiem, widział go zaledwie raz w życiu, nie postąpiłaś właściwie, lekceważąc jego instrukcje i biorąc sprawy w swoje ręce.

Żałuję, ogromnie żałuję i jestem bardzo rozczarowana, że zaistniała sytuacja uniemożliwia wam przyjazd do Highbury na święta. Ale nie wspominając już sprawy Sophy, i tak nie miałam wiele nadziei na waszą wizytę, poznawszy stanowisko pana Pinkneya w kwestii podróży z małym Edwardem. Nęciłam cię tylko pisaniną o naszych puddingach śliwkowych sądząc, że może was jednak skuszę.

Bal u Pringle'ów odbędzie się w sobotę. Całe Highbury czeka w napięciu, czy też, jak w przypadku moich dziewcząt, z wielkim poruszeniem. Podobno pan William Pringle zaprosił jeszcze kilku młodych ludzi, swoich przyjaciół z Cambridge. Aby zapewnić tym młodym kawalerom partnerki do tańca, pani Pringle przysłała zaproszenia dla wszystkich moich uczennic, które przekroczyły już piętnasty rok życia. To bardzo miło z jej strony. Ach, ale wyobraź sobie cierpienia i upokorzenie dziewcząt, które zostaną pozbawione tej nieporównywalnej z niczym przyjemności dlatego, że brakuje im kilku tygodni czy miesięcy do wyznaczonej granicy wieku. Ucieszę się, kiedy już będzie po balu, ponieważ dziewczęta zajęte są wyłącznie sukniami, a w szkole panuje takie zamieszanie, że nie ma właściwie mowy o nauczaniu. Panna Richardson rozpaczła dziś rano, że nie może nakłonić dziewcząt, aby okazały jakiegokolwiek zainteresowanie cesarzami rzymskimi albo mapą Francji. Natomiast z radością ćwiczą taniec i ukłony!

Przybyły już te osławione psy, którym znaleziono nowe domy, i zdaje się, że pan Pringle ma dlatego nieco więcej wolnego czasu. Louisa i Lavinia doniosły mi, że kilkakrotnie spotkały go przypadkowo w miasteczku. Pewnego razu towarzyszył mu pan Rutherford - poszli wówczas we czwórkę na spacer, podczas którego odwiedzali rozmaite domy, w których psy zostały rozlokowane. Podobno każde zwierzę nosi jakieś imię. Wszystko to jest dla mnie zupełnie nowe. Louisa zbiera teraz cytaty na temat myślistwa. Kazałam jej sprawdzić, kim były Artemida i Diana.

Zdaje się, że była już o tym mowa - dopilnowałam, żeby na bal zaproszono także mieszkańców Abbey Mill Farm. Nie wiedziałam tylko, jak sobie poradzą, ponieważ nie mają powozu. Nie mogłam zaoferować gościny Robertowi Martinowi i Harriet, ale zapytałam Elizabeth Martin, czy chciałaby przyjść najpierw do mnie na obiad i przebrać się, a potem

przenocować w szkole. Mogłaby dzielić łóżko z jedną z bliźniaczek, albo też siostry mogłyby spać razem, ona natomiast zajęłaby wolne łóżko. Jednak z przyjemnością dowiedziałam się, że rodzinie Martinów zaproponowano powóz z Donwell do dyspozycji na cały wieczór. Jest to gest dobrej woli ze strony Emmy i pana Knightleya, co sprawia mi ogromną satysfakcję.

Napiszę znów w niedzielę i wszystko ci opowiem.

*Twoja kochająca*  
*M. Goddard*

## LIST CZTERDZIESTY SZÓSTY

*pani Pinkney do pani Goddard*

Hans Place, sobota,  
30 listopada 1816 roku

Moja kochana Mary,

Jest sobotni wieczór, myślę więc o tobie i o waszym balu. Pewnie w tej chwili stroisz się w swoją czarną, aksamitną suknię i zakładasz medalion, zawierający pukiel włosów ojca. Dziewczęta, bale i spotkania towarzyskie w Highbury zdają mi się należeć do zupełnie innego świata niż trzeźwe, rozsądne życie w Londynie. My musimy tutaj ciągle walczyć z różnymi trafami losu - co prawda związanymi głównie z Sophy. Ale dzisiaj jest mi lekko na sercu.

Kupiłam sobie muślin i teraz krawcowa trudzi się nad moją suknią. Będzie obszyta rozetkami z białych aksamitnych wstążek i szklanych paciorków. Jestem pewna, że zrobię na wszystkich niesłychanie eleganckie wrażenie. Pan Pinkney zauważył, że wielce go zdumiewa, jak ogromną przyjemność wydaje się czerpać płęć niewieścia z posiadania nowych sukni. Usiłuję mu wyjaśnić, że nie chodzi tu jedynie o suknię - że ma to raczej coś wspólnego z byciem kobietą, wyraża pragnienie, by zwracać na siebie uwagę i zyskać aprobatę otoczenia. Pan Pinkney spytał,

czy uważam, że ktoś, kto widzi mnie pierwszy raz na oczy, odróżni nową suknię od starej. Odpowiedziałam, że nowa suknia nadaje kobiecie prezencji, atrakcyjności, *éclat*, a ponieważ kobieta wie, iż wygląda wspaniale, staje się zarazem ujmująca i miła, co każdy łatwo może zaobserwować na własne oczy. Zapewniałam go, że byłaby w zupełnie innym nastroju, gdyby czuła się gorsza od innych i przygnębiona, dlatego że wszyscy widzą ją znów w tej samej co zwykle, starej sukni. Pan Pinkney roześmiał się i powiedział, że nie sądził, iż inteligentna kobieta może wygadywać takie bzdury, ale cieszy się, jeśli tylko ja jestem szczęśliwa. Odpowiedziałam, że owszem, jestem bardzo szczęśliwa, a potem dodałam, iż oczami wyobraźni widzę, jak wchodzimy po schodach na nasz *soirée*, po czym nasze nazwiska wykrzykuje upudrowany lokaj i nagle wszyscy zwracają na nas wzrok. A dlaczego? Oczywiście dlatego, że podziwiają moją nową suknię. Pan Pinkney zapytał, jak mogę wyobrazić sobie takie rzeczy, i oświadczył, że kobiety rozumują zupełnie inaczej niż mężczyźni. Na przykład on wyobraża sobie przyjęcie zupełnie inaczej. Ale, moja kochana, tak czy owak wielka to dla nas atrakcja wyjść razem w gości. Bez Sophy. Bez kapitana Gordona. Nie mogę się już doczekać.

Jestem w dobrym nastroju także i z tego powodu, że jutro po raz pierwszy od wielu tygodni będziemy mieli przyjemność zjeść obiad razem, tylko we dwoje. Z tej okazji kazałam przygotować smakowite menu: ostrygi i nadziewany turbot, a na deser pudding pomarańczowy. Sophy przysłała mi rano bilecik z wiadomością, że jutro nie przyjdzie na obiad. Podobno mają jakieś dodatkowe zajęcia w szkole. Cieszę się ze względu na nią, bo w końcu zaproszono ją do jakichś wspólnych zajęć, choć nie wiem, co dokładnie robi, i cieszę się wielce, że choć raz spędzimy niedzielę bez niej.



Nasz drugi stały gość będzie również nieobecny. Kapitan Gordon je jutro obiad w towarzystwie kilku ważnych figur, które poznał przez swoich nowych znajomych w Admiralicji. Miło mi napisać, że otrzymał wreszcie swoją rentę. To duża przyjemność widzieć go pogodnym i z podniesioną głową. Wystarczyło trochę pieniędzy, a stał się innym człowiekiem - czy dostrzegasz w tym jakiś morał, Mary? Ja sądzę, że jakiś morał w tym tkwi. W poniedziałek rano kapitan opuszcza nas i wraca do Portsmouth, a szczęśliwe zakończenie jego pobytu to rezultat obmyślnego przeze mnie obiadu. Spotkałam dzisiaj w parku Isabelle. Powiedziałam, że jestem jej bardzo wdzięczna i wierzę, że moja wdzięczność przekonuje ją, iż warto było uciec się do tego małego wybiegu, jaki zastosowała wobec swojego męża, aby namówić go do wyjścia z domu.

Cieszę się ogromnie nie tylko z uwagi na kapitana Gordona, lecz i ze względu na nas. Jak wiesz, kochana Mary, uwielbiam towarzystwo, ale temperament nie pozwala mi pełnić obowiązków sympatycznej gospodyni z tak nieubłaganą jednostajnością. Kiedy nie widać końca obowiązkom, niebezpiecznie łatwo stają się gospodynią raczej niesympatyczną.

*Twoja kochająca  
Charlotta*

## LIST CZTERDZIESTY SIÓDMY

*pani Suckling do pani Elton*

Maple Grove koło Bristolu,  
1 grudnia 1816 roku

Na pewno nie jesteś rozczarowana bardziej ode mnie, kochana Augusto. Już od bardzo dawna siedzę uwiązana w Bristolu, a miałam ogromną nadzieję na wyjazd do Londynu. Wiele obiecywałam sobie po naszych wyprawach na zakupy i przejażdżkach landem. Ach, ten przekłety ekwipaż! Naprawa, której dokonał jakiś złodziejski łajdak, wiedząc, że jesteśmy zdani na jego łaskę, kosztowała majątek. Pan Suckling jest nadal zagniewany na Jamesa. Twierdzi, że gdyby należycie uważał, zobaczyłby dziurę na drodze i zdołałby ją ominąć.

Ponadto pan Suckling zna ze słyszenia sir Percy Lushleya i jest bardzo niezadowolony, że nie będzie mógł go poznać, tak jak zaplanowałaś.

Zdaje się, że wszystko sprzysięgło się przeciwko nam. Mur mojego ogrodu kuchennego nie jest jeszcze gotowy. Nastąpiło pewne drobne nieporozumienie w kwestii liczby przepracowanych dni, i człowiek, którego wynajęłam do tej roboty, po prostu odszedł bez słowa. A nie sądzisz, że powinien być zadowolony, że w ogóle dostał pracę? Nie rozumiem ludzi niskiego stanu. Nie mają nic i nie starają się, żeby mieć

więcej. Dzień uczciwej pracy to dla nich przekleństwo. Bardzo się zdenrowowałam. W tym tempie mur nie zostanie ukończony do pierwszych mrozów.

Proszę, wybacz mi. Jestem w złym humorze i nie mam ochoty więcej pisać.

*Twoja*  
*Selina Suckling*

## LIST CZTERDZIESTY ÓSMY

*pani Goddard do pani Pinkney*

Hartfield,  
niedziela

Kochana Charlotto, jest teraz trzecia rano. Bal dobiegł końca i muszę ci z żalem wyznać, że choć rozpoczął się wspaniale, to omal nie zakończył się prawdziwą tragedią. W tej chwili siedzę w Hartfield przy łóżku Louisy. Jestem zbyt wyczerpana, żeby spać. Opowiem ci, co zaszło, aby dać upust emocjom, zając się czymś i nie zasnąć.

Zacznę jednak od początku: wczoraj... jak dziwnie brzmi to słowo... mogłabym równie dobrze napisać „w zeszłym roku”, bo wydaje mi się, że minęło mnóstwo czasu od wczoraj, dnia wielkiego przyjęcia, wyznaczonego dokładnie w miesiąc po przybyciu pana i pani Pringle do Highbury. Otóż więc wczoraj uznałam, że najlepiej będzie odwołać poranne lekcje. Dziewczęta były zbyt podekscytowane, żeby prowadzić zajęcia, a poza tym sądziłam, że pannie Nash, pannie Price i pannie Richardson również należy się trochę wolnego czasu, by mogły przygotować się do balu. Wolny czas spędziły strojąc się radośnie i kręcąc sobie włosy, dziewczęta zaś biegały z jednej sypialni do drugiej, pożyczając sobie rozmaite ozdoby

oraz wymieniając się wstążkami, pończochami, naszyjnikami i wachlarzami.

Pani Pringle uprzejmie zaproponowała nam swój powóz. Choć szkoła leży niedaleko Hartfield, nie chciała, żeby moje dziewczęta wędrowały pieszo wieczorem o tej porze roku. Ustalono więc, że jej woźnica obróci kilka razy między naszymi domami, aż wszyscy zostaną przetransportowani na miejsce. A w grę wchodziła znaczna liczba osób. Oprócz bliźniaczek i mnie trzeba było przewieźć dziewięć uczennic (które ukończyły już piętnaście lat), a także trzy nauczycielki. (Tylko nie porównuj mnie z panią Dubois, kochana Charlotta. Dziewczęta, które zostały w domu, znalazły się pod opieką Sary, Alice oraz pokojówek, a ponadto wydałam polecenia, by w razie potrzeby John przyszedł po mnie do Hartfield).

Pani Pringle prosiła, żebym przyjechała nieco wcześniej. Dla moralnego wsparcia, jak powiedziała. Powóz przybył za kwadrans ósma i wkrótce Louisa, Lavinia i ja znalazłyśmy się na progu domu w Hartfield. Jeszcze dzwoniłyśmy do drzwi, gdy konie zawróciły na źwirze podjazdu, ruszając z powrotem do szkoły. Kiedy stałyśmy czekając, aż otworzą się drzwi, ogarnęły mnie nagle wspomnienia minionych dni. Przypomniałam sobie, jak często w dawnych latach James wysadzał mnie, panią i pannę Bates, dokładnie w tym samym miejscu, kiedy jeszcze grywałyśmy szczęśliwie w karty z panem Woodhouse'em.

Jednak gdy Greenwood, lokaj Pringle'ów, otworzył nam drzwi i weszłyśmy na znane mi od lat pokoje, kiedy ujrzałam, jak jarzą się w nich światła, i usłyszałam gwar rozmów, by nie wspominać już o dźwiękach skrzypiec i strojonego fortepianu, wszelkie nostalgiczne reminiscencje zniknęły. Teraz Hartfield jest zupełnie inne.

Zdjęliśmy płaszcze i pelisy w westybulu. Pani Pringle przechodziła akurat korytarzem, toteż natychmiast podeszła i przywitała nas gorąco. Przez otwarte drzwi do salonu zobaczyłam pana Rutherforda, który został zapewne zaproszony jeszcze wcześniej niż my, dalej zaś ujrzałam pana Pringle'a, rozmawiającego z pięcioma lub sześcioma młodzieńcami. Pan Pringle opuścił swych przyjaciół i podszedł złożyć nam uszanowania. Widziałam, że z nieskrywaną satysfakcją przygląda się Louisie i Lavinii. Muszę przyznać, że rzeczywiście wyglądały wyjątkowo ładnie w swoich białych muślinowych sukienkach, obszytych różowymi różami. Na szyjach miały różowe naszyjniki z paciorków, które rodzice przysłali im z Indii. Choć oczy bliźniaczek aż błyszczały z zachwytu, zauważyłam, że są jednak nieco przerażone tym tak upragnionym przyjęciem. Na pewno osłupiały widząc, że William Pringle, z którym przekomarzały się lekceważąco przy pierwszym spotkaniu, należy do koterii wytwornych, młodych absolwentów Cambridge, którzy stali razem w rogu pokoju, wysocy, ożywieni i swobodni, niczym panowie wszelkiego stworzenia.

Pan Pringle wprowadził dziewczęta do salonu i przedstawił je swoim przyjaciołom. Tymczasem, póki panował jeszcze obiecujący spokój, który zawsze poprzedza wszelkie przyjęcia - pojawia się wówczas nastrój wyczekiwania, albowiem goście jeszcze nie zebrali się w komplecie - pani Pringle zaproponowała, że pokaże mi, co przygotowała na dzisiejszy wieczór. Młodzi nawiązali rozmowę, a my zwiedzałyśmy kolejne pokoje. Podziwiałam uprzejmie jadalnię, w której nakryto do kolacji kilka długich stołów, przygotowaną do gry w karty bibliotekę, gdzie na stolikach leżały nowe talie i stało mnóstwo świec, oraz salon, gdzie goście mieli tańczyć. Meble zostały odstawione pod ściany, a dywany zwinięte, z wyjątkiem chodnika przed imponującym kominkiem. Właśnie wokół niego stali

teraz młodzi ludzie wraz z Louisą i Lavinią. Z przyjemnością spostrzegłam, że dziewczęta zaczynają tracić początkową nieśmiałość i, zachęczone atencją ze strony kawalerów, zdradzają już normalną dla siebie, błyskotliwą fantazję.

W tym momencie zadzwonił dzwonek u drzwi i dobiegły nas głosy pierwszych gości. Miałam już usiąść cichutko w kąciku i przyglądać się powitaniom, kiedy nagle zawołała mnie pani Pringle.

- Pani Goddard, czy byłaby pani tak dobra, by stanąć ze mną w hallu i pomóc mi witać gości?

Musiałam zrobić zaskoczoną minę, ponieważ pani Pringle ciągnęła dalej:

- Będę ogromnie wdzięczna, jeśli się pani zgodzi. Sądzę, że nasi sąsiedzi poczują się swobodniej, widząc znajomą twarz, a pani mogłaby szepnąć Williamowi i mnie to i owo na temat kolejnych rodzin. Pójdź, Williamie, zajmujemy stanowiska - powiedziała i poprowadziła nas do holu, gdzie zajęliśmy miejsca u stóp schodów.

Zauważyłam, że młody pan Pringle rzucił tęskne spojrzenie w stronę grupki młodzieży przy kominku, nim ruszył niechętnie za matką, choć spytał jeszcze, czy jest naprawdę potrzebny, skoro towarzyszy jej już pani Goddard.

- Mój drogi Williamie, chyba nie mówisz poważnie? Czyżbyś nie chciał poznać swoich nowych sąsiadów, a przynajmniej tych, którzy przyjdą, nim zacznie grać muzyka? Musisz oficjalnie otworzyć bal, gdy rozpoczną się tańce. Czy już wybrałeś sobie partnerkę?

Pan Pringle odpowiedział, że tak, owszem, poprosił do pierwszego tańca jedną z pań Ludgrove i zaproponował panu Rutherfordowi, żeby zatańczył z drugą.

- Czyż Charles nie może sam wybrać sobie partnerki? - zapytała pani Pringle z dobrotliwym uśmiechem.

- Oczywiście, że może. Tylko że gdybym mu nie podpowiedział, kto wie, jak długo by wybierał.

Matka pana Williama roześmiała się i powiedziała do mnie, że pan Rutherford zachowuje się z nadmierną rezerwą. Ale ledwie nasza trójka zdążyła zająć miejsca, gdy otworzyły się drzwi westybulu i Greenwood zaczął wywoływać nazwiska gości, wpływających teraz do środka nieprzerwanym strumieniem.

Przednią straż stanowiła między innymi pierwsza z trzech grup dziewcząt z mojej szkoły. Słyszałam, jak uczennice trajkoczą i chichoczą przy wejściu, a panna Nash próbuje je uspokoić. Podobnie jak Louisa i Lavinia, dziewczęta przestraszyły się w pierwszej chwili na widok towarzystwa, ale wszystkie dygnęły ślicznie przed panią Pringle. Ćwiczyłyśmy to pilnie od chwili, kiedy nadeszły zaproszenia: jak wejść do pokoju i dygnąć przed gospodynią. Panna Nash odznacza się pod tym względem szczególną elegancją i wdziękiem - należała niegdyś do dobrego, londyńskiego towarzystwa, dopóki jej ojciec nie stracił całego majątku - i ona to właśnie nauczyła dziewczęta odpowiednich powitań. Kiedy uczennice złożyły już uszanowanie pani Pringle, weszły do salonu, gdzie stali wciąż młodzi przyjaciele pana Williama. Dziewczęta ruszyły ku nim niczym pszczoły do miodu, a panna Nash pobiegła w ślad za nimi. Podśledzałam przypadkiem, że pan Rutherford nieśmiało wypytuje szeptem o ich imiona, toteż dziewczęta zostały oficjalnie i ceremonialnie przedstawione absolwentom Cambridge. Cieszy mnie, kiedy zachowuje się odpowiednie formy. Sprawia mi to ogromną satysfakcję.

W dalszej kolejności przybyli państwo Weston. Są tak miłym, rozmownym i dobrodusznym małżeństwem, że wszyscy ich lubią i zawsze



chętnie przyjmują. Nie wiem, co mogła odczuwać pani Weston, wszedłszy do domu, który nazywała swoim przez siedemnaście lat. Na pewno zauważyła, że bardzo się zmienił - przynajmniej pod względem atmosfery, choć większość mebli pozostała na miejscu. Przywitali się najpierw z panią Pringle, z którą widzieli się już wcześniej w kościele, po czym odsunęli się nieco na bok, by zwolnić miejsce dla następnych gości, i wtedy zauważyłam, że pani Weston rozgląda się wokół z wielkim zainteresowaniem. Pomyślałam sobie, że jutro niewątpliwie opisze wszystko Emmie w najdrobniejszych szczegółach.

Potem weszli Cole'owie. Ku memu zdumieniu przyjechali w towarzystwie trzech dziewcząt ze szkoły. Okazało się, że kiedy przejeżdżali koło mojego domu, pani Cole przypomniała sobie, że jej małe córeczki mówiły o zaproszeniu na bal wszystkich uczennic, które ukończyły już piętnaście lat. Pani Cole poprosiła męża, żeby zatrzymał powóz. Bardzo się zawstydziła, iż nie pomyślała o tym wcześniej. Zaproponowała, że podwiezie dwie albo trzy uczennice, jeśli nie będzie im za ciasno w powozie. Musiała się bardzo starać, żeby przekonać pannę Richardson o stosowności przyjęcia tej propozycji, ale ponieważ dziewczęta bardzo chciały jechać, a woźnica pani Pringle miałby w ten sposób do pokonania jedną rundę mniej, panna Richardson ostatecznie dała się namówić.

Zaraz potem wpadło do środka niemal całe Highbury i przy drzwiach utworzyła się wręcz cizba, kochana Charlotta. Kiedy wchodzili kolejni goście, lokaj wywoływał ich nazwiska, ale ja, stosując się do prośby pani Pringle, szeptałam jej do ucha dodatkowe objaśnienia: - To jest pani Stokes z „Crown”. A oto pan Cox z rodziną. Cox jest miejscowym prawnikiem. To zaś rodzina Martinów. Robert Martin jest dzierżawcą Abbey Mill Farm w Donwell. Jego żona i siostry były uczennicami mojej szkoły.

Wydaje mi się, że Martinowie zrobili na gospodyni jak najlepsze wrażenie. Roberta Martina nie można nazwać przystojnym mężczyzną, jest jednak młodzieńcem życzliwym i sympatycznym. Harriet pozostała piękną, młodą kobietą, natomiast złoty charakter Elizabeth Martin wyraźnie przejawia się w jej twarzy i sposobie bycia. Bardzo się ucieszyłam, że znowu mam okazję spotkać panią Martin. Nasza przyjaźń, która ochłodziła nieco, kiedy Harriet odrzuciła oświadczyzny jej zanego syna, teraz rozkwita od nowa. Uznałam, że pani Pringle i pani Martin chętnie zawrą ze sobą bliższą znajomość, jako kobiety rozsądne i bezpretensjonalne, toteż starałam się zachęcić je do rozmowy.

Ponieważ chwilowo goście przestali napływać, panie rzeczywiście zaczęły rozmawiać, najpierw o najbliższych okolicach Highbury, których pani Pringle właściwie nie miała jeszcze sposobności obejrzeć. Jeśli pogoda się utrzyma, zamierza jednak wybrać się na kilka przejażdżek powozem. Słuchałam ich jednym uchem, rozmawiając jednocześnie z Williamem, ale wkrótce ku swemu zdumieniu i radości usłyszałam, że pani Martin zaprasza panią Pringle do złożenia jej wizyty w domu, pani Pringle zapowiada zaś, że w krótkim czasie z pewnością ją odwiedzi. Nie sądziłam, że zamożność pani Pringle przeszkodzi jej zbliżyć się do gości, obawiałam się jednak, że pani Martin może czuć się nieco onieśmielona. Pani Pringle zachowuje się jednak tak przyjaźnie i skromnie, że nawet ludzie, którzy posiadają znacznie mniej doczesnych dóbr niż ona, czują się w jej towarzystwie swobodnie.

Przybyło już tylu gości, że mogły rozpocząć się tańce. Rozbrzmiała przygrywka na fortepianie, a skrzypek przeciągnął nagle smyczkiem po

strunach. Gwar rozmów przeszedł w szmer, kiedy dziewczęta, które zostały już zaproszone do tańca, zerknęły z oczekiwaniem w stronę swoich partnerów, a te, które były wciąż wolne, zaczęły rzucać prośące spojrzenia w kierunku młodych przyjaciół pana Williama. Ach, kochana Charlotte, oto balowe męczarnie! Nie chciałabym mieć znowu siedemnastu lat, choćby mi nawet dawano pół królestwa.

William Pringle, który przestępował z nogi na nogę z podekscytowaną niecierpliwością, został zwolniony ze swoich powitalnych obowiązków przez matkę, która pożegnała go pobłażliwym uśmiechem. - Williamie, idź i rozpocznij tańce. Niepunktualni goście będą musieli przywitać się z tobą później.

Ale i tak przyszli już niemal wszyscy. Stawili się skwapliwie, żeby obejrzeć Hartfield, a ponadto trawiła ich ciekawość, jak wypadną nowi sąsiedzi przy tak uroczystej okazji.

Pan Pringle, pan Rutherford i bliźniaczki zajęli miejsca na czele korowodu tańczących. Miał im przypaść zaszczyt otwarcia balu. Ach, te moje dziewczyny! Jaśniały po prostu szczęściem i ożywieniem. Cała ich bojaźliwość zniknęła pod wpływem ciepłej atencji młodych kawalerów. Zrozumiały, że są najpiękniejszymi dziewczętami w salonie. Ale sądzę, że tylko ja wiedziałam, co myślą, zajmując miejsca w szeregu: „Za chwilę będę tańczyła z Mężczyzną!” Oczywiście w szkole i na lekcjach tańca dziewczęta ćwiczą tylko ze sobą. Partnerem Elizabeth Martin, jak z zadowoleniem zauważyłam, został młody Cox.

Utworzyły się kolejne pary, lada chwila miała zabrzmieć muzyka, i wtedy zobaczyłam, że pan Weston mówi coś ściszym głosem do ucha pani Weston, która kiwa potakująco głową. Potem pan Weston podszedł do pani Pringle i zaprosił ją do tańca, co było, moim zdaniem, bardzo

uprzejme z jego strony. Pani Pringle odmówiła jednak mówiąc, że woli przyglądać się młodym. Pan Weston spojrział wówczas w moim kierunku i uśmiechnął się, ale ja tylko odwzajemniłam uśmiech i przecząco potrząsnęłam głową. Spełniwszy swój obowiązek, pan Weston mógł teraz poprowadzić do tańca swoją żonę. Nigdy dotąd nie widziałam, jak tańczą, lecz jeśli taniec może być odzwierciedleniem małżeństwa, to należałoby powiedzieć, że wydawali się idealną parą.

Właśnie skończyły się dwa pierwsze tańce, kiedy do Hartfield wpadli państwo Perry, przepaszając nerwowo za spóźnienie. Okazało się, że w Clayton Park zdarzył się jakiś wypadek i pan Perry musiał się tym zająć. Aptekarz ma ciężkie życie, kochana Charlotto. Nigdy nie może przestać troszczyć się o ludzkie zdrowie. Nie wiem, co poczęlibyśmy tego wieczora, gdyby nie pan Perry - ale w ten sposób uprzedzam bieg wypadków.

W tej właśnie chwili Louisa poruszyła się na łóżku i jęknęła. Wstałam, żeby przemyć jej twarz zimną wodą. Na szczęście ciągle śpi. A mnie jest lżej dźwigać swoje brzemie, gdy do Ciebie piszę - kiedy z Tobą rozmawiam.

*M.G.*

## LIST CZTERDZIESTY ÓSMY cd.

Jedna z pokojówek, które wciąż czuwają, żeby nam pomóc, przyniosła mi właśnie filiżankę herbaty. Wypiwszy ją poczułam się nieco lepiej, dokończę więc przerwana opowieść o balu. Z początku prości mieszkańcy Highbury czuli się zapewne przytłoczeni wspaniałością otoczenia, toteż zbili się po prostu w gromadkę i rozglądali nerwowo dookoła. Ale pani Pringle była tak miła, sympatyczna i gościnna, tak bardzo troszczyła się o ich dobre samopoczucie, tak chętnie z nimi rozmawiała i częstowała ich winem lub proponowała tańce albo karty, że nie minęło wiele czasu, a wszyscy goście porzucili obawy i przybrali pewniejsze siebie miny: niektórzy nawet znaleźli sobie partnerów i ruszyli w tan.

Jak się domyślasz, kochana Charlotte, przyglądałam się temu wszystkiemu z ogromnym zainteresowaniem. Pani Cole i pani Perry zaproponowały swoim mężom partyjkę wista. Pan Cole wymówił się jednak. Powiedział, że w Highbury nieczęsto zdarza się okazja, by obserwować śliczne dziewczęta w tańcu. Pan Perry wyraził jednak zgodę i poproszono mnie, żebym przygotowała stół do gry. Podobnie jak pan Cole wołałabym właściwie przyglądać się młodzieży, ale ponieważ chwilowo nie było czwartego do wista, nie mogłam im odmówić. W bibliotece okazało się, że w karty gra już kilkoro innych gości, między innymi doktor Wilson, pani Wilson i państwo Cox.

Wytrzymałam obowiązkowego robra i zastanawiałam się, jak mogłabym wykręcić się od spędzenia wieczoru przy karcianym stole, kiedy przypominałam sobie pannę Prince, która żywi wielką namiętność do kart, rzadko natomiast może jej folgować. Toteż w dogodnym momencie wymówiłam się jakoś i poszłam po pannę Prince, która siedziała w alkowie z innymi przyzwoitkami.

W salonie znalazłam wolne krzesło obok pani Martin. Wspomniała najpierw o wielkich zmianach w Hartfield, rozbrzmiewającym teraz muzyką i śmiechem młodych ludzi. Ona nie była tu co prawda nigdy przedtem, ale przypomina sobie doskonale, że Harriet mówiła jej często, jak milczący i dystyngowany był ten sam dom w czasach pana Woodhouse'a, gdy ona była protegowaną Emmy, a Hartfield stało się niemal jej drugim domem - ciszy nigdy nie przerywały tu podniesione głosy ani trzaski pośpiesznie zamykanych drzwi. Ale, mówiła dalej pani Martin, powinna mnie przeprosić, albowiem sama mogę oczywiście potwierdzić jej słowa. Kiedyś przecież często tu przychodziłam, prawda? Więc czy nie wydaje mi się, że jest tu teraz przyjemniej, weselej i gościnniej? Odparłam, że wielu ludzi zapewne tak właśnie myśli. Nie powiedziałam jej, że jest mi żal starych przyjaciół i minionych czasów, a w głębi duszy zastanawiałam się, czy przodkowie Woodhouse'ów nie przewracają się w grobach. Przez kilka chwil siedziałyśmy w milczeniu, przypatrując się pełnym fantazji tańcom, a później pani Martin stwierdziła, że pan Knightley zachował się bardzo uprzejmie, udostępniając im na wieczór swój powóz.

- To bardzo miło z jego strony. Nie wiem, jak inaczej dalibyśmy sobie radę - dodała.

- Pan Knightley jest człowiekiem wielkiej łaskawości - zauważyłam.  
- A byłaby wielka szkoda, gdyby nie mogli państwo pojawić się na balu. Cieszę się, że Elizabeth tańczy z panem Rutherfordem.

- Tak - przyznała pani Martin. - Ale ostatnie dwa tańce przesiedziała. Nie miała partnera, i wtedy pan Rutherford podszedł i zaprosił ją na parkiet. Wydaje mi się ujmującym młodzieńcem. Często żałuję, że Elizabeth brak towarzystwa młodych ludzi z Donwell, szczególnie teraz, kiedy jej siostra wyszła za mąż. Harriet i Robert to obecnie jej jedyni rówieśnicy.

W tym momencie przemknęły koło nas Louisa i Lavinia, śmiejąc się i wirując w zapamiętaniu. Mruknęłam coś nawet pod nosem o werwie i młodości.

- Te pani dziewczyny - powiedziała - te bliźniaczki Ludgrove'ów są wyjątkowo śliczne. Mężczyźni tłoczą się wprost wokół nich.

- Ach, niestety, na balach zawsze jest za dużo ładnych dziewcząt, a za mało mężczyzn - skonstatowałam. - Nie wiem, dlaczego tak jest. Ale to niezmienna prawidłowość.

Pani Martin zgodziła się ze mną, a w każdym razie dodała, że za jej czasów z pewnością tak było. Pomyślałam sobie, jakie to niesprawiedliwe, że dziewczęta takie jak bliźniaczki Ludgrove'ów zawsze znajdują sobie partnerów, a dziewczęta w rodzaju Elizabeth Martin często siedzą same pod ścianą.

Poczułam wtedy, że powinnam powiedzieć pani Martin coś na pocieszenie, i odrzekłam, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat przez moje ręce przeszły setki dziewcząt i że nie ma żadnej przesady w stwierdzeniu, że Elizabeth była jedną z najwspanialszych uczennic spośród nich. Dodałam, że moim zdaniem Elizabeth ma szczerzy charakter. Pani Martin

odparła z kolei, że to brzmi bardzo pochlebnie, ale szczerzy charakter nie zawsze przyciąga męża, a w zasadzie wywiera nawet czasem odwrotny skutek. Mimo to ona, czyli pani Martin, osiągnie wkrótce wiek, w którym miło byłoby mieć córkę cały czas przy sobie, a Elizabeth wydaje się całkowicie pogodzona z taką ewentualnością. Pomyślałam, że jeszcze za wcześnie na podobne sentymenty, Charlotto. W końcu ta dziewczyna ma dopiero dwadzieścia jeden lat, choć, jak dotąd, rzeczywiście nie pojawił się żaden kandydat do jej ręki. Ale w duchu pochwaliłam także panią Martin za to, że się z niczym nie zdradziła - nawet najmniejszą aluzją nie dała mi bowiem do zrozumienia, że chciałaby wydać córkę za mąż albo że Elizabeth pragnie dla siebie zamężpójścia.

Tymczasem moje śliczne piętnastoletnie damy, które zapomniały już o nieśmiałości w zalewie pochlebstw i hołdów, prześcigały się wprost w różnych niemądrych uwagach i gestach. Pomyślałam, że w poniedziałek rano niełatwo będzie im powtórzyć daty panowania kolejnych angielskich królów. Zacni mieszkańcy Highbury także porzucili swoją rezerwę i z entuzjazmem rzucili się w wir zabawy. I stał się cud, albowiem pan Perry zapomniał o stoliku do wista i poprosił do tańca pannę Nash.

Zbliżała się pora kolacji. Muzycy udali się do jadalni dla służby na zasłużony odpoczynek, a wszyscy goście przeszli do jadalni głównej. Nie wiem dlaczego, ale pomyślałam w tym momencie o pannie Bates. Przypomniałam sobie bal Westonów, kolację w „Crown” i pannę Bates, która zadbała, żeby Jane nałożyła jej pelerynkę i nie przeziębila się. Pocziwa kobieta! Zawsze myślała o innych, ciekawe tylko, czy teraz ktoś troszczy się o nią. Bardzo żałowałam, że nie ma jej z nami na balu, który sprawiłby Hetty ogromną przyjemność.



Razem z panią Martin weszłam do jadalni i zastałam bliźniaczki już przy stole. Siedziały razem na końcu długiego stołu, szczebiocząc z panem Rutherfordem, panem Pringle, Robertem Martinem, Harriet i Elizabeth. Elizabeth i Harriet chodziły do szkoły z córkami Ludgrove'ów. Choć dzieli je różnica trzech czy czterech lat, szczególnie Harriet łączy wiele z moimi bliźniaczkami - jak na przykład to, że wszystkie trzy mieszkały u mnie na stacji. Zauważyłam po chwili z przyjemnością, że Robert Martin, Elizabeth i pan Rutherford rozmawiają na jakiś nieco poważniejszy temat, schyliwszy głowy ku sobie. Pan Rutherford mógłby się niejednego nauczyć od Roberta Martina. Na drugim końcu stołu, hałasując w towarzystwie młodych absolwentów Cambridge, siedziały starsze uczennice. Sądziłam, że moja obecność wpłynie trzeźwiąco na ich zachowanie, ale nie zdarzyło się nic podobnego. Jak to mówią, pszczoły poczuły już miód. Pani Martin i ja dołączyłyśmy do pani Pringle, która siedziała w drugiej części pokoju wśród bardziej opanowanych osób w średnim wieku. Sprawiali wrażenie, jak gdyby się ledwo słyszeli. Widziałam, że są na poły rozbawieni, a na poły poirytowani wrzaskami młodzieży. Panna Nash spytała panią Pringle, czy ma im zwrócić uwagę, ale pani Pringle powiedziała, że nie, i że cieszy się widząc, że wszyscy są tacy szczęśliwi.

Niewątpliwie można było odnieść wrażenie, że bal jest wyjątkowo udany. Kiedy kolacja dobiegła końca, młodzież chciała znów tańczyć, toteż nastąpił powszechny odwrót gości do salonu. Słyszałam, jak Louisa mówi: - Musicie posłuchać naszej gry w duecie. Lavinia i ja ćwiczyłyśmy bardzo starannie. - Oczywiście ich nowi znajomi prosili, żeby wystąpiły jeszcze przed powrotem muzyków. Przysunęły stółek do fortepianu i usiadły. Duet Mozarta! Sama mogłabym go zagrać, tyle razy słyszałam,

jak go ćwiczą. Stanowiły naturalnie urzekający widok - młode, ładne i tak do siebie podobne. Zagrały z wielkim animuszem, choć niezbyt uważnie, ale było jasne, że i tak całkowicie oczarowały młodzieńców. Po chwili jednak w salonie pojawili się prawdziwi muzycy i ocierając usta zasiedli znów do swoich instrumentów. Wcześniej tego wieczora, jeszcze przed kolacją, ktoś odsunął zasłonę i otworzył okno (ciekawe, co powiedziałyby na to pan Woodhouse), a w rezultacie w pokoju znacznie się oziębiło. Pani Pringle obawiała się, że dziewczęta nabawią się przeziębienia, zawołała więc lokaja, żeby rozpałił w kominku.

- Ach, sam to zrobię, matko - powiedział pan Pringle. - Nie musisz fatygować Greenwooda. I tak ma dość roboty. - Pan Pringle chwycił drwa, leżące koło paleniska, rzucił je na dogasające popioły, po czym ujął miech i zaczął energicznie pompować powietrze. Po chwili trzaskające płomienie strzeliły wysoko w kominie snopem iskier.

- Zaraz znów zrobi się ciepło - zapewnił.

Muzycy przygotowywali się do gry. William Pringle i Louisa tańczyli w pierwszej parze. Zawołali pana Rutherforda, żeby zaprosił do tańca Lavinie i dołączył do nich. W tym momencie, kiedy stanęli na dywaniku przed kominkiem, z ognia wyskoczyła iskra, która omal nie spadła na spódnicę Louisy. Pan Pringle natychmiast zdeptał ognek, ale niewiele brakowało, a wpadłby na Elizabeth Martin, która nie miała partnera i siedziała niedaleko na krześle.

- Uważaj! - wykrzyknęła pani Pringle. - Ogień jest za duży, Williamie. Powinieneś być pozwolić, żeby Greenwood zajął się kominkiem.

Ale syn jej nie słyszał. Młodzi byli już gotowi. Ustawiali się właśnie w dwóch szeregach, a muzycy zaczęli grać melodię skocznego, wirowego tańca szkockiego.

- Hej, ho! - zawołał William. - To mój ulubiony taniec. Chodź, Charles, zobaczymy, kto szybciej zakręci partnerkę.

I choć było już po pierwszej, a przyzwoitki ze zmęczenia zwiślały bezwładnie na krzesłach, młodzi wydawali się niestrudzeni i wciąż kręcili się w tańcu - znasz go zresztą, Charlotte, partnerzy trzymając się na krzyż za ręce, wirują szybko, a potem zmieniają nagle kierunek obrotów.

Sz szczególnie pan Pringle i Louisa wirowali jak szaleni. Mój Boże, pomyślałam, przy takiej szybkości pewnie jej się kręci w głowie. Przyglądałam się tańczącym z oddali, gdy nagle Louisa potknęła się na dywaniku przed kominkiem, runęła na podłogę, a jej spódnice zajęły się ogniem i w mgnieniu oka płomienie objęły całe ciało dziewczyny. Rozległy się przeraźliwe krzyki! Zapanowało przerażenie! Wszyscy stali niczym sparaliżowani, jak gdyby nie pojmując istoty niebezpieczeństwa. Tylko Elizabeth zachowała się inaczej. Podczas gdy inni tkwili bez ruchu, jak wrośnięci w ziemię, ona skoczyła na równe nogi, nie zważając na ogień chwyciła dywanik, i choć buchały wokół niej płomienie, okryła nim Louise i zdławiła ogień. Gdy tylko pan Rutherford zrozumiał, co się dzieje, on także rzucił się z pomocą, zerwał z siebie surdut i narzucił na Louise.

Wszystko skończyło się równie nieoczekiwanie, jak się zaczęło. Oczywiście przypadłam zaraz do Louisy, po czym nadbiegł pan Perry, wezwany z biblioteki, kazał się wszystkim odsunąć, krzyknął do Greenwooda, żeby przyniósł szklanek wody, a swoją żonę poprosił, by podała mu torbę, którą przypadkiem przywiózł ze sobą z Clayton Park (ku niezadowoleniu pani Perry, jak się później dowiedziałam). Louisa zaczęła krzyczeć z bólu. Był to przerażający krzyk, Charlotte, i mam nadzieję, że nigdy więcej nic podobnego nie usłyszę. Rozwinięto dywanik. Louisa

leżała na podłodze, wijąc się w męczarniach. Zwęglona suknia przyłgnęła do jej ciała, a śliczną twarzyczkę wykrzywił grymas cierpienia. Pan Perry wlał do szklanki z wodą kilka kropli laudanum i przytknął ją do ust dziewczyny mówiąc, że mikstura złagodzi ból. Potem powiedział, że trzeba ją zanieść do łóżka, i poprosił o lniane ściereczki nasączone herbatą. Lavinia rozszlochała się, a biedny William Pringle zrobił się szary na twarzy z przerażenia. Krzepki lokaj spokojnie zaniósł pojękującą Louise na górę, a za nim podążyli w stanie rozmaicie objawiającego się zdenerwowania: pan Perry, pani Pringle, pan William Pringle, Lavinia i ja. Na polecenie pana Perry pokojówka natychmiast przygotowała łóżko zasłane impregnowanym prześcieradłem. Potem pan Perry poprosił, żebym mu pomogła, a wszystkich innych odesłał za drzwi. Minęło trochę czasu, zanim laudanum zaczęło działać. Wzięłam Louise za rękę i zaczęłam mówić do niej na tyle spokojnie, na ile pozwalało mi własne zdenerwowanie. W końcu dziewczyna zapadła jakby w półsen. Wtedy pan Perry oblał jej zwęgloną suknię zimną wodą. Powiadam ci, Charlotte, był to żaloszny widok. Biedactwo krzyczało, kiedy delikatnie odrywaliśmy poczerniałe strzępy z jej ciała. Najwięcej ucierpiała lewa noga. Był to okropny widok, wywołujący mdłości, nie będę go więc opisywać. Potem pan Perry bardzo ostrożnie obłożył poparzone miejsca nasączonymi herbatą ściereczkami.

Wielce zaniepokojona pani Pringle krążyła tymczasem pod drzwiami. Pan Perry zapytał, czy nie ma przypadkiem pod ręką fiszbinowego gorsetu. Ukrywszy zdumienie tego rodzaju pytaniem, pani Pringle posłusznie przyniosła mu żądany przedmiot. Wtedy pan Perry ułożył go w taki sposób nad poparzoną nogą, żeby nie uciskała jej pościel. Oświadczył, że dziewczynie nie wolno wstawać i że powinna odpoczywać w ciszy i

spokoju. Było już wtedy dobrze po drugiej nad ranem. Pan Perry dodał jeszcze, że na razie nic więcej nie może zrobić, ale kiedy Louisa się zbudzi, trzeba podać jej następną porcję laudanum, zostawił mi więc buteleczkę z kroplami i instrukcję dawkowania, a na koniec obiecał, że odwiedzi dziewczynę po śniadaniu.

Po chwili w progu pojawił się pan William Pringle z panem Rutherfordem, zasypując mnie szeptanymi, pełnymi niepokoju pytaniami. Powiedziały im, że zdaniem pana Perry'ego Louisa wyzdrowieje, choć przez kilka dni będzie bardzo cierpieć. I podkreśliłam, że gdyby nie natychmiastowa „reakcja Elizabeth Martin, Louisa niewątpliwie straciłaby życie.

- A gdzie jest teraz panna Martin? - zapytał pan Rutherford.

Pan Pringle odrzekł, że chyba pojechała już do domu, podobnie jak reszta gości, w tym także Lavinia, którą panna Nash musiała wyciągnąć z Hartfield niemal siłą. Zostali już tylko ci, którzy i tak mieli nocować na miejscu. Pan Rutherford zauważył, że to wielka szkoda, iż w ogólnym zamieszaniu nikt nawet nie podziękował Elizabeth.

- To charakterystyczne dla Elizabeth - odparłam. - Pojechała do domu, bo nie chciała czekać na podziękowania ani na pochwały. Taka już jest.

- Bez wątpienia - przytaknął pan Rutherford. - Na mnie także sprawiła podobne wrażenie. Mam nadzieję, że się nie poparzyła. Nie wiem, jak udało się jej uniknąć płomieni.

- Dowiemy się jutro - powiedziałam.

- Jutro jest już dzisiaj - rzucił William Pringle.

I tak, kochana Charlotto, skończył się ten bal. Siedzę teraz przy śpiącej, na szczęście, Louisie. Zaczyna pani Pringle, ogromnie poruszona tym wypadkiem, obawiała się, żebym się nie przemęczyła, zaproponowała więc, że później zmieni mnie pokojówka.

Odmówiłam jednak. Nie chcę, by Louisa, kiedy się obudzi, zobaczyła obok siebie kogoś obcego. Pani Pringle oświadczyła, że w takim razie ona sama mnie zastąpi. Zapewniłam ją jednak, że siedzę tu, bo chcę, i że nic nie zyskamy, jeśli i pani Pringle nie będzie wypoczęta, toteż w końcu pod warunkiem, że zadzwonię, jeśli będę czegoś potrzebować, dała się wreszcie przekonać i poszła spać.

Tak, kochana Charlotte. Pisałam do ciebie, żeby zająć myśli. Teraz jednak, ponieważ mam wygodny fotel i podnózek, a Louisa wydaje się głęboko spać - dzięki Bogu za laudanum, aptekarze zawsze powinni zabierać swoje torby na bale - chyba spróbuję się trochę zdrzemnąć.

*Twoja kochająca*

*Mary*

## LIST CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

*pani Goddard do pani Pringle*

Poniedziałek wieczorem

Droga Pani,

Dziękuję za miły list, który dostałam zaledwie godzinę temu. Przepraszam, że nie odpowiedziałam od razu przez pani lokaja, ale był u nas pan Perry, który badał pacjentkę, nie miałam zatem ani chwili czasu.

Powinnam podziękować pani za wypożyczenie nam rano swego powozu. Krótka podróż powrotna była na tyle wygodna, na ile pozwalały na to okoliczności. Kiedy przyjechaliśmy do domu, John zaniósł Louise na górę.

Pan Perry jest pełen optymizmu. Zapewnia mnie, że dziewczyna nie zostanie trwale oszpecona. Na razie wciąż jeszcze cierpi znaczny ból, ale zgodnie z zaleceniem aptekarza podaję jej regularnie laudanum, toteż Louisa przesypia większość dnia. Kiedy się obudziła, udało mi się ją nakłonić, żeby wypita trochę wzmacniającego rosolu z kury, który Sara przyrządziła specjalnie dla niej.

Mam nadzieję, że nie jest pani zbyt przygnębiona tym nieszczęśliwym wypadkiem. Młodzi są zawsze buńczuczni i niepomni na niebezpieczeństwo. Na tym, między innymi, polega ich urok. Nie chciałabym, żeby byli

trzeźwi i ostrożni, jak ludzie w naszym wieku. Powinniśmy jedynie dziękować opatrności, że konsekwencją tego wypadku nie jest trwałe kalectwo.

Proszę, żebyś myślała, pani, jedynie o wielkiej przyjemności, jaką sprawiałaś mieszkańcom Highbury. Zapewniam cię, że miły wieczór, który spędzili w Hartfield, będą pamiętać jeszcze długo nawet wtedy, kiedy nieszczęśliwy wypadek Louisy dawno już odejdzie w zapomnienie. Ufam, że również pan Pringle rychło o wszystkim zapomni. Zdarzyło się coś, czego być może nie doświadczy już nigdy w życiu. Ale dzięki Elizabeth Martin skutki tego wypadku nie będą poważne.

*Z szacunkiem etc.*

*M. Goddard*

PS

Dostałam dziś rano list od pani Martin. Otóż Elizabeth boleśnie poparzyła sobie dłoń, ale smalec wieprzowy nieco złagodził jej cierpienia. Elizabeth nie pozwoliła wezwać pana Perry.



## LIST PIĘĆDZIESIĄTY

*kapitan Gordon do Charlotte Marlowe*

Hans Place,  
poniedziałek, 2 grudnia 1816

Droga Lottie,

Obawiam się, że nie będę mógł jeszcze dzisiaj wrócić.

Wydarzyła się tragedia. Siostrzenica pana Pinkneya uciekła z tego wstrętnego seminarium. Pan Pinkney i pani Pinkney zamartwiają się strasznie, boją się bowiem o dziecko, a wiedzą przecież także, jak wielkich cierpień przysporzy ta historia jej ojcu.

Zważywszy na dobroć, jaką mi okazali, i starania, które podjęła pani Pinkney w mojej sprawie, uznałem, że powinienem tu zostać i pomóc im w miarę swoich możliwości. Pan Pinkney nie jest człowiekiem praktycznym, a to zdarzenie ogromnie go przybiło.

*Twój zawsze kochający ojciec,*  
*A.J. Gordon*

## LIST PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

*pani Pinkney do pani Goddard*

Hans Place,  
wtorek, 3 grudnia 1816 roku

Nie wiem właściwie, czy powinnam wysłać ten list do szkoły czy raczej do Hartfield, ale sądzę, że tak czy owak szybko go dostaniesz, bez względu na to, gdzie, jesteś.

Nas także dotknęło nieszczęście.

Jak mogłam być tak naiwna! Uwierzyłam, że Sophy naprawdę miała dodatkowe zajęcia, kiedy rzekomo nie mogła przyjść do nas na obiad w niedzielę, i nawet cieszyłam się, że wreszcie znalazła sobie jakieś koleżanki.

Koleżanki, dobre sobie! Uciekła z tym służącym. Pani Dubois przysłała nam wczoraj list z zawiadomieniem, że oboje zniknęli. Sprytna dziewczyna powiedziała pani Dubois, że będzie u nas, nam zaś, że będzie w szkole, zyskała więc w ten sposób cały dzień. Teraz jest jasne, na co potrzebowała pięciu funtów.

Jeśli zostaną schwytani, oświadczyła ta nikczemna hipokrytka, pani Dubois, nie powinniśmy oczekiwać, że ona przyjmie Sophy z powrotem do szkoły. Powiada, że nieprzystojne i prowokujące zachowanie dziewczyny stanowi zły przykład dla innych uczennic. Skąd u tej kobiety taka nagła dbałość o zasady?

Jestem wielce poirytowana, Mary. Dlaczego ta niewdzięczna, uparta dziewczyna wtargnęła w nasze spokojne, szczęśliwe życie i nieustannie przysparza nam zmartwień? Pan Pinkney przez całe lata nie miał żadnych wieści od pana Adamsa i jego córki, a teraz oboje są powodem naszych trosk i niepokoju. Oczywiście pan P. czuje się odpowiedzialny za Sophy przed swoim szwagrem, choć, moim zdaniem, niczemu nie jesteśmy winni. Cóż moglibyśmy uczynić ponad to, co uczyniliśmy? Biedny pan P. Ta historia przywołała jego wspomnienia z młodości, wraca więc często pamięcią do swojej siostry, do słodkiej, kochanej dziewczynki, jaką pamięta z czasów, kiedy przyjeżdżał do domu z Oksfordu w okresie wakacji. Uważa teraz, że zawiódł Sophy, ponieważ nie potrafił lepiej zaopiekować się jej córką, toteż dręczą go wyrzuty sumienia i żal. Zmartwia się na śmierć, a wczoraj wieczorem położył się do łóżka z atakiem podagry, wywołanym, jestem tego pewna, tym godnym pożałowania zdarzeniem. Pan Wingfield, który przyszedł dzisiaj go zobaczyć, zgadza się, że jest to całkiem możliwe.

Ach, Mary, gdybyśmy tylko posłuchali twoich rad! Ty jedna podejrzewałaś, że ta dziewczyna coś knuje. Nie doszłoby do tej ucieczki, gdybyśmy posłali Sophy do twojej szkoły, zamiast posłusznie spełniać wszystkie życzenia jej ojca.

Mimo to właściwie bardzo współczuję nieszczęsnemu panu Adamsowi. Cóż uczynił, żeby zasłużyć sobie na taki cios? Czyżby to zemsta ze strony Sophy za to, że posłał ją do szkoły w Anglii? Powinna była oszczędzić choć jego uczucia, jeśli już nie pomyślała o naszych. Jest oczkiem w głowie ojca. Jak wiesz, pan Adams nie ma innych krewnych. Chciał tylko, żeby Sophy znalazła odpowiedniego męża, bo wówczas on mógłby na stare lata zamieszkać przy niej i dokończyć żywota w Anglii. Odpowiedniego męża? Jakiś służący, i do tego Irlandczyk!

Mamy nadzieję, że Sophy się znajdzie, zanim będziemy zmuszeni powiadomić pana Adamsa. Tymczasem pan P. nie musi mu donosić o tym okropnym zdarzeniu, na szczęście bowiem, jak zdołaliśmy ustalić, najbliższy statek na Barbados wypływa dopiero za dziesięć dni. Cóż jednak pan Pinkney może rzec na pociechę panu Adamsowi, jeśli, a raczej kiedy Sophy zostanie odnaleziona? Mniemam, że ten łotr ją, jak to mówią, uwiódł, a zatem zniszczył jej życie.

Kapitan Gordon bardzo nam pomaga. Choć był już spakowany i gotów wyjechać do Portsmouth, to kiedy tylko otrzymaliśmy te okropne nowiny, porzucił swoje plany i zaofiarował się, że pójdzie do seminarium i porozmawia z panią Dubois. Wyobrażasz sobie, jak bardzo byłam mu wdzięczna. Ja po prostu nie mogłabym się zmusić, żeby przekroczyć próg tej wstrętnej szkoły i stanąć twarzą w twarz z tą nieznośną kobietą. Poszedł więc, żeby ją w naszym imieniu wypytać, co wie o owym służącym nazwiskiem Paddy O'Ryan. Pani Dubois przyjęła kapitana z cierpką uprzejmością, bo oczywiście nie miała żadnych wyrzutów sumienia i nie poczuwała się do winy. Kapitan Gordon słyszał w jej głosie drwinę, kiedy mówiła, że nie ma w zwyczaju przyjmować do szkoły wulgarnych dziewcząt z kolonii, że nie może doprawdy wziąć na siebie odpowiedzialności za niesłychane zachowanie Sophy i że nie ma najmniejszego pojęcia, dokąd mogła uciec. (A ta nikczemna, obrzydliwa kobieta wzięła przecież od niej chesne za cały rok!) Mieliśmy nadzieję, że będzie można wytropić uciekinierów, gdy odszukamy krewnych irlandzkiego sługi. Ale, jak się zapewne domyślasz, nic nie wiadomo o Paddym O'Ryanie, nie wiadomo więc, czy w ogóle ma jakąś rodzinę. Jeśli chodzi o Sophy, to nie wyobrażam sobie, co miała nadzieję zyskać swoim postępowaniem. Jest tak niedojrzała, że zapewne widzi jedynie bezpośredni skutek swego postępowania, czyli udaną ucieczkę ze zniechęconej szkoły. Ale po

co ona uciekła? Kiedy przypominam sobie teraz nasze rozmowy, wydaje mi się, że była oczarowana tym człowiekiem. Sądzę, że nie miał nawet odpowiednich referencji, a został przyjęty do pracy jedynie dzięki swojej aparycji i wdziękowi. Pokażę ja mu wdzięk, jeśli uda mi się dostać łotra w swoje ręce!

Próbowaliśmy ustalić, dokąd mogli pojechać. Kapitan Gordon po wyjściu z seminarium poszedł z własnej inicjatywy na stację Golden Cross, żeby sprawdzić, czy pewien wysoki Irlandczyk, będący w towarzystwie młodej dziewczyny, nie wykupił dwóch miejsc w dylizansie. Pomysł był dobry, ale nic nie udało się ustalić. Wydaje mi się jednak, że zbiegowie raczej nie zostaliby w Londynie, a o ile wiemy, nie mają dość pieniędzy, żeby móc płacić za hotel przez dłuższy czas. Idąc mało prawdopodobnym tropem, że ten człowiek może ją poślubić, by później szantażować jej ojca i wymusić okup, kapitan Gordon wyjechał wczoraj wieczorem na poszukiwania do Gretna Green. Pan Pinkney z pewnością nie zdołałby podjąć takiej wyprawy. Chętnie natomiast dał kapitanowi pieniądze, żeby ten mógł jak najszybciej podróżować końmi pocztowymi. To wyjątkowo życzliwy gest ze strony kapitana, ponieważ Gretna leży w odległości trzystu dziewięciu mil od Londynu, a o tej porze roku podróż nie będzie łatwa. Sądził, że przyjdzie mu spędzić w drodze co najmniej trzy dni, musimy więc czekać w napięciu na wiadomość. W napięciu? Dlaczego mielibyśmy przypuszczać, że irlandzki służący zamierza poślubić dziewczynę? I czy w ogóle można sobie życzyć takiego małżeństwa? Sądzę, że kiedy ten łotr już się nią nasyci, po prostu porzuci Sophy. Z pewnością jest bezwzględny. Prowadził, zdaje się, burzliwe, nieustabilizowane życie. Bardzo mi żal pana Adamsa. Oto przerażający efekt jego planów, żeby uczynić z córki elegancką damę.

Wybacz, że tak się wciąż uskarżam, kochana Mary, kiedy ty sama jesteś pewnie ciągle pełna niepokoju, nie otrząsnąwszy się jeszcze po niedoszłej tragedii na balu. Łaska boska, że Elizabeth Martin zareagowała tak szybko. Oby tylko Louisa wyzdrowiała. Wybacz, ale jestem zbyt egoistycznie pochłonięta naszą katastrofą, żeby wracać teraz do sprawy balu.

*Twoja wyjątkowo wzburzona siostra,  
Charlotta*

## LIST PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

*pani Goddard do pani Pinkney*

Highbury, środa,  
4 grudnia 1816 roku

Właśnie dostałam twój list, kochana Charlotto. Od razu zasiadłam, żeby przesłać ci wyrazy współczucia i serdecznej pociechy w strapieniu. Proszę jednak, byś nie winiła się niepotrzebnie razem z panem Pinkneyem i nie poddała się wyrzutom sumienia. Działaliście z najszlachetniejszych pobudek, spełniając życzenia ojca Sophy. Nic więcej nie mogliście uczynić, zważywszy, że stanowczo nie chciał skorzystać z waszych rad. Powinno to być dla was pocieszeniem, choć przyznaję, że oczywiście niewielkim.

Sądzę, że Sophy nie mogła zapaść się pod ziemię. Prędzej czy później, choć może nie tak szybko, jak byś sobie tego życzyła, da jakiś znak życia. Zapewne napisze do ojca, skoro - jak twierdzisz - jest do niego tak bardzo przywiązana. A co do „zniszczonego życia”, to miejmy nadzieję, że nie stało się najgorsze. To mało prawdopodobne, wiem. Ale może ten człowiek żywi jednak wobec niej jakieś zacne uczucia? Kochana Charlotto, chciałabym ci jakoś pomóc. Proszę, przekaz panu Pinkneyowi ode mnie

wyraży współczucia. Bardzo źle się stało, że nerwy znowu sprowadziły na niego chorobę, bo przecież dawno już nie miał ataku podagry. Błagam cię, nie denerwuj się na próżno, bo jeszcze i ty zachorujesz.

Wiadomo, że młode dziewczęta przed zamążpójściem bywają często buntownicze. Dotąd myślałam, że to dlatego moja szkoła cieszy się taką popularnością. Rodzice są zadowoleni, że pozbywają się córek, bo z jednej strony nie przysparzają im kłopotów w domu, a z drugiej zdobywają jakieś wykształcenie. Ale w przypadku Sophy stało się to za późno, a poza tym pan Adams wybrał niewłaściwą szkołę. I w konsekwencji poniósł kompletne fiasko.

Domyślałam się, że chcesz wiedzieć, jak się miewa Louisa. Spędziła w Hartfield dwie noce. Niestety, obowiązki szkolne nie pozwoliły mi przebywać z nią bez przerwy, ale kiedy ja nie mogłam się nią opiekować, siedziała przy niej siostra, a i pani Pringle okazała Louisie wiele serca. Jednak w poniedziałek rano dziewczyna zaczęła błagać, żeby ją zabrać do domu, gdzie byłabym zawsze obok i mogłabym doglądać jej osobiście. Pan Perry zgodził się i za pomocą tego błogosławionego laudanum wprowadził ją w głęboki sen. William Pringle ostrożnie zaniósł Louisę do powozu i w ten sposób została przetransportowana tutaj. Myślę, że czuje się różniej w domowych pieleszach i w towarzystwie siostry. Pan Perry odwiedza ją codziennie, a przyjechała także pani Pringle i William, ale Louisa jeszcze nie czuła się na tyle dobrze, żeby się z nimi zobaczyć. Nieszczęsny młodzieniec jest bardzo przygnębiony i zatroskany. Sądzę, że czuje się odpowiedzialny za to, co się stało. Żal mi go. Louisa leży jeszcze w łóżku, ale jutro lub pojutrze będzie już chyba mogła przenieść się na sofę. Przyszła też Elizabeth Martin. Przyniosła jej kilka pomarańczy, ale była na tyle delikatna, że została tylko kilka minut.



Nie będę jednak pleść dalej o Highbury - zapewne, że jesteś pochłonięta czymś zupełnie innym.

Wiesz, że stale o tobie myślę. Napisz, gdy tylko czegoś się dowiedzie.

*Twoja kochająca*

*Mary Goddard*

## LIST PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

*Charlotta Marlowe do pani Pinkney*

Pensjonat pani Smith, Portsmouth,  
środa, 4 grudnia 1816 roku

Moja droga pani Pinkney,

Zmartwiłam się niebywale na wieść o ucieczce twojej siostrzenicy.

Pozwolę sobie jednak powiedzieć, że jeżeli ktoś zdoła ją odnaleźć, to na pewno mój ojciec. Jest człowiekiem bardzo przedsiębiorczym i pomysłowym. A ponadto cieszy się, że może pomóc pani i panu Pinkneyowi po tym wszystkim, co uczynili państwo dla niego.

Choć sytuacja jest okropna, trzeba jednak podziwiać ducha Sophy. Ja na przykład nie miałam tyle odwagi. Choć często myślałam o ucieczce z seminarium, nigdy nie zdołałam otworzyć drzwi i wyjść samotnie na ulice Londynu. Wydawało mi się, że jeśli to zrobię, skończę w jakimś okropnym przytułku albo innym podobnym miejscu, jak nieszczęsna Klarysa z powieści Richardsona.\*

Klarysa - bohaterka powieści Samuela Richardsona (1689-1761) *Klarysa, czyli historia młodej damy*, której dziejom nadał autor piętno tragiczności (przyp. tłum.).

Zapewne więc nie jest tak źle, że Sophy towarzyszy mężczyzna. Można przynajmniej mieć nadzieję, że jego opieka zdoła uchronić dziewczynę przed dramatycznym losem.

Nie będę zabierać pani więcej czasu, choć możesz być pewna, że dużo o pani myślę.

*Twoja pełna współczucia przyjaciółka,  
Charlotta Marlowe*

PS

Proszę nawet nie myśleć o odpowiedzi na ten list.

## LIST PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

*pani Pinkney do pani Goddard*

Hans Place, Londyn,  
czwartek, 5 grudnia 1816 roku

Ależ proszę, kochana Mary, pleć sobie o Highbury, ile chcesz. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo chciałabym się oderwać od naszych obecnych nieszczęść. Liczę dni do chwili uzyskania wiadomości od kapitana Gordona. Wedle moich obliczeń powinien dziś dotrzeć do Gretna Green. Nie możemy jednak być tego pewni, wyjechał bowiem dopiero w poniedziałek, późnym popołudniem. Choć przyśle list ekspresem, miną jeszcze przynajmniej dwa dni, zanim będziemy mogli spodziewać się nowin.

Tobie zapewne łatwo jest mnie pocieszać, ale ja mimo wszystko czuję się winna ucieczki Sophy. Ostrzegłaś nas. Powinnam była zauważyć, co się święci. Nie myślałam, że jestem tak mało spostrzegawcza. Teraz, kiedy o tym myślę, był to może nie tyle brak spostrzegawczości, ile raczej chęć uniknięcia kłopotów i niemożność podjęcia zdecydowanego kroku - bo mogłam przecież porozmawiać z panią Dubois i zażądać, żeby zwolniła tego służącego, ale wówczas wywołałabym nieporozumienia pomiędzy nami a Sophy, a w rezultacie między nami i jej ojcem. A byłyby to

przykrości zupełnie innego rodzaju, kochana Mary, niż wasze szarlotki w łózkach. Zastanawiam się jednak, czy naprawdę mogłam domyślić się zamiarów Sophy. Dziewczęta, które znam, nie robią takich rzeczy. Czy kiedykolwiek uciekł ktoś z twojej szkoły?

Napisz mi koniecznie miły, wesoły list i opowiedz mi o młodzieży z Highbury. Mam nadzieję, że Louisa wraca już do zdrowia. Czy sądzisz, że uda ci się ją wyswatać?

*Twoja kochająca  
Charlotta*

## LIST PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

*pani Goddard do pani Pinkney*

Highbury,  
6 grudnia 1816 roku

Nie, nikt nigdy nie uciekł z mojej szkoły, ale ja prowadzę zupełnie inną placówkę niż pani Dubois. Jestem dla nich jak matka, a moje dziewczęta są dla mnie jak dzieci, wiem więc zawsze, co myślą i jak się czują wszystkie moje uczennice. W porządnym domu nie byłoby możliwe, by kochająca matka nie wiedziała, że w rodzinie jest ktoś nieszczęśliwy. Jeśli ja lub moje nauczycielki zauważymy, że któraś z dziewcząt wygląda na przygnębioną, natychmiast staramy się dowiedzieć, co jej dolega, i próbujemy zaradzić problemom. Nie chcę jednak sprawiać wrażenia, że przypisuję sobie nienależne zasługi. Niełatwo byłoby uciec z Highbury. Młoda kobieta, wędrująca samotnie wiejskimi drogami, rychło wzbudziłaby czyjąś uwagę. Na ulicach Londynu o wiele łatwiej zniknąć. Wystarczy przekroczyć próg, wtopić się w tłum, jeśli się chce, i to wszystko. Cóż, kochana Charlotto, ufam, że zawiadomisz mnie niezwłocznie, kiedy otrzymasz jakieś wiadomości od kapitana Gordona.

Louisa może już wstawać. Na razie przeniosła się na sofę. Wciąż cierpi ból, ale poweselała i opowiada nam o tym, co będzie robić, kiedy wyzdrowieje. Ponieważ trzeba było wystrzyć jej osmalone włosy z jednej

strony głowy, należało teraz wyrównać je z drugiej. Louisie jest jednak do twarzy w krótkich włosach, a poza tym, jak powtarzam, włosy wkrótce odrosną, nie powinna więc rozpaczać, a raczej cieszyć się, że żyje i że nie została oszpecona na zawsze.

Łatwo jest teraz odróżnić jedną bliźniaczkę od drugiej. Louisę odwiezła codziennie pani Pringle z synem. Podział towarzystwa odbywa się w sposób naturalny. Ja zasiadam na pogawędkę z panią Pringle po jednej stronie salonu - zgadujesz zapewne, że myślę przy tym nieustannie, ile mam spraw do załatwienia - a po drugiej stronie salonu młody pan William przysiadł koło sofy Louisy i szepcze jej coś do ucha. Dziś, słuchając z roztargnieniem, jak pani Pringle opowiada o swojej wizycie u pani Martin, usłyszałam przypadkiem, że William mówi Louisie o swoich psach. Ze względu na bal, a później ten wypadek, William i pan Rutherford zaledwie raz opuścili Hartfield w towarzystwie swoich przyjaciół. Potem usłyszałam, jak Louisa wspomina Indie. Czasami dołącza do nich Lavinia i wtedy bierze udział w rozmowie, ale ponieważ Lavinia jest osobą aktywną, i nie lubi siedzieć długo w bezczynności, zaczęła ostatnio chodzić na spacer z Amelią Cooper, jedną z moich uczennic, z którą pozostaje w przyjaźni.

Wczoraj obie zaszły aż do Donwell i z powrotem. Lavinia powiedziała, że zauważyły pana Rutherforda, łowiącego ryby na brzegu rzeki, pomyślały więc, żeby podejść do niego i zapytać, czy udało mu się coś złapać. Dopiero wtedy zorientowały się, że Pan Rutherford ma towarzyszkę. Na zwalonym pniu siedziała obok niego Elizabeth Martin, a oboje byli głęboko pogrążeni w rozmowie.

Mam tylko nadzieję, że Elizabeth się nie przezięb! Pan Woodhouse z pewnością zganiłby ją za to, że przesiaduje w grudniu na dworze.

*Twoja kochająca*

*M. Goddard*

PS

Nie podoba mi się, że mówisz o „swataniu”, kochana Charlotta. Brzmi to tak, jak gdybym wszystko już sobie z góry ułożyła. Ja mogę jedynie pomóc spotkać się dwojgu młodym ludziom - i być może ułatwić im nieco znajomość. Ale resztę pozostawiam im i przypadkowi.



## LIST PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

*kapitan Gordon do pana Pinkneya*

Gretna Green, Dumfriesshire,  
5 grudnia 1816 roku

Szanowny Panie,

Obawiam się, że ten list nie sprawi panu radości. Przyjechałem dziś rano po całodobowej podróży, miałem bowiem nadzieję, że zdążę nie dopuścić do małżeństwa. Na miejscu od razu udałem się do kuźni i wzięłem na spytki kowala, który, jak pan oczywiście wie, udziela wszystkich ślubów w Gretna Green. Kowal zapewnił mnie jednak, że w ostatnim tygodniu nie udzielał ślubu ani wysokiemu Irlandczykowi, ani młodej dziewczynie, która odpowiadałaby mojemu opisowi.

Wysłałem ten list ekspresem. Ruszę wkrótce jego śladem i mam nadzieję stanąć w Londynie najdalej dwadzieścia cztery godziny po dyliżansie pocztowym. Przyszły mi do głowy nowe pomysły, którymi powinienem podzielić się z panem i pańską żoną. Musimy ustalić, w jaki sposób kontynuować poszukiwania. Sądzę, że nadal istnieje nadzieja na znalezienie naszej młodej pary, zanim na Barbados wypłyne statek

pocztowy, a pan będzie musiał napisać list i zawiadomić o wszystkim ojca dziewczyny.

*Pozostaję, szanowny panie, pańskim  
skromnym i uniżonym sługą  
A.J. Gordon*

## LIST PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

*pani Pinkney do pani Goddard*

Hans Place,  
7 grudnia 1816 roku

Przesyłam ci w załączeniu list, który nadszedł ekspresem dziś, późnym wieczorem. Właściwie nie wiem, czy to dobra, czy zła wiadomość. W każdym razie Sophy przynajmniej nie poślubiła tego łotra, co skazałoby ją na wiekuiste potępienie.

To wielce zobowiązujące, że kapitan Gordon zadał sobie dla nas tyle trudu. Doprawdy nie wiem, co jeszcze mógłby zrobić, i nie wiem, czy wolno nam go prosić, żeby kontynuował poszukiwania. Młoda Charlotta niewątpliwie zmartwiła się, że jej ojciec nie wraca jeszcze do Portsmouth, jak planował, jeśli jednak po przyjeździe do Londynu będzie chciał działać dalej, z pewnością nie będziemy go od tego odwozić.

Wydaje mi się, że kapitan bardzo polubił Sophy. Podziwiał jej oryginalność i niezależność ducha. Dał nam do zrozumienia, że będzie bardzo szczęśliwy, jeśli uda mu się ją odnaleźć i ustrzec przed postępkiem, który uważa za straszliwą pomyłkę. Pan Pinkney ucieszył się, że kapitan podjął działania w tej sprawie. Marynarze są tacy przedsiębiorczy! A nie wyobrażam sobie, żeby pan Pinkney tłukł się w dyliżansach pocztowych po

provincji i wypytywał o coś jakichś kowali, itd., i to nawet gdyby nie był obecnie złożony podagrą.

Wieczorne przyjęcie na cześć pana Falconbridge'a odbędzie się za kilka dni. Nie chce nam się iść - a poza tym teraz pan Pinkney i tak nie może przecież ruszyć się z domu.

Twoja *kochająca*

*C.P.*

PS

Błagam cię, pisz dalej o Highbury. Nie licząc tego okropnego wypadku Louisy, twoje zazwyczaj pogodne listy pozwalają nam odetchnąć od własnych kłopotów. To bardzo miło słyszeć, że widziano pana Rutherforda i Elizabeth Martin razem nad brzegiem rzeki. Przypomina to nam, że są gdzieś jeszcze szczęśliwi i beztroscy ludzie. Czego o nas w tej chwili nie da się powiedzieć.

## LIST PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

*pani Goddard do pani Pinkney*

Highbury,  
8 grudnia 1816 roku

Właśnie wróciłam z kościoła i natychmiast odpisuję, kochana Charlotta. Żałuję, ale nie wiem, co mogłabym ci powiedzieć na pocieszenie. Szkoda, że wyprawa kapitana Gordona do Gretna Green zakończyła się niepowodzeniem, ponieważ nie rozwiązałaś kłopotów, które, jak sądzę, stale zaprzatają ci myśli.

Dlatego bardzo cię proszę, żebyś poszła jednak na przyjęcie na cześć pana Falconbridge'a. To, że zostaniesz w domu, w najmniejszym stopniu nie wpłynie na powodzenie lub niepowodzenie poszukiwań Sophy, a byłaby wielka szkoda, gdybyś miała odmówić sobie tak niecierpliwie oczekiwanej przyjemności. Co stałoby się z twoją nową suknią? Czy pomyślałaś, jak bardzo będziesz zawiedziona, że w niej nie wystąpiłaś? Cóż, nieczęsto zdarzają mi się takie porywy fantazji, ale uważam, że to dobra rada, proszę więc, posłuchaj jej.

Zapewne ucieszysz się na wieść, że Louisa czuje się o wiele lepiej. Powiedziała, że nudzi się na sofie, i zaczęła powolne spacerować po szkole. Wciąż jeszcze odczuwa lekkie dolegliwości, ale wróciła już właściwą jej wesołość.

Być może to okrucieństwo i gruboskórność z mojej strony pisać o radosnych wydarzeniach, kiedy wy cierpicie, ale skoro prosiłaś mnie o to, będę pisać dalej. Dziewczęta cieszą się coraz bardziej każdym minionym dniem, który przybliży im wakacje świąteczne. Ogromnie żałuję, że nie przyjedziecie - przypuszczam, że nie licząc Edwarda, wasze plany zależą od Sophy, która wciąż jeszcze może się odnaleźć. Nie będę was jednak naciskać, rozumiem bowiem, że musisz podporządkować się woli pana Pinkneya. Słyszałam, że w Donwell Abbey trwają wielkie przygotowania do inwazji rodziny pana Johna Knightleya. Tak, moja kochana, to prawdziwa inwazja, siedmioro dzieci i ich siedem nianiek. Podobno zarówno powóz Knightleyów, jak i dawny powóz Woodhouse'ów pojadą do Londynu, żeby przetransportować całe to towarzystwo do Highbury.

Minęło kilka lat, odkąd ostatnio spędzili razem w Donwell Boże Narodzenie. Zdrowie pana Woodhouse'a zmuszało Knightleyów do pozostawania na święta w Hartfield. Jak twierdzi Alice, pani Hodges i pani Serle znalazły się w swoim żywiole, musiały bowiem wszystko na własną odpowiedzialność urządzić, przysposobić i ugotować. Czy to nie szczęśliwy zbieg okoliczności, że obie szanują się i zgodnie z sobą pracują? W ogóle służba chyba się już przyzwyczaiła do nowego miejsca. Przypuszczam, że pani Hodges jest zadziwiona przemianą, jaka zaszła w jej panu, odkąd ma przy sobie żonę, która potrafi sprowokować go do pełnej uśmiechów i fantazji rozmowy, kiedyś bowiem zawsze spędzał wieczory samotnie w swoich pokojach.

Pamiętaj o mojej radzie!

*Twoja kochająca  
Mary*

## LIST PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

*Sophy Adams do pana i pani Pinkney*

Kochany Wujku, kochana Ciociu

Boje sie, że sie o mnie martwicie.

Ten list ma was przekonać że nie stało mi sie nie złego. Czuje sie dobrze i jestem w bezpiecznych rękach.

Proszę nie martwcie sie o mnie i nie prubujcie mnie szukać. Narobiłyście sobie ktopotuf a nie udałoby wam sie.

Nie mogłam już dłużej znieść tego miejsca.

Poproszę ojca żeby oddał wam te pięć funtów które pożyczyłam.

*Wasza oddana siostszenica,  
Sophy Adams*

PS

Przepraszam że nie napisałam wcześniej. Nie miałam piura ani papieru ani okazji aż do dzisiaj.

## LIST SZEŚĆDZIESIĄTY

*pani Pinkney do pani Goddard*

Hans Place, niedziela,  
8 grudnia 1816 roku

Moja kochana Mary,

Napisałam do ciebie wczoraj wieczorem, a dzisiaj rano dostałam ten list od Sophy. Przesyłam ci jego wierną kopię - nie poprawiałam nawet błędów ortograficznych! Oryginał zatrzymałam, żeby pokazać go kapitanowi Gordonowi, którego spodziewamy się lada godzina. Stempel pochodzi z małej poczty na Great West Road. Widać datę: piątek, 6 grudnia, zapewne więc błąkał się gdzieś po drodze, ponieważ dotarł do nas dopiero dwa dni później.

Oczywiście przyniósł nam wielką ulgę. Przynajmniej wiemy, że żyje. Jak należy jednak to wszystko rozumieć? W bezpiecznych rękach? Co to ma znaczyć? Pozostaje całkowitą tajemnicą, gdzie jest i co robi albo zamierza zrobić. Jak to się stało, że teraz ma okazję napisać, a przedtem nie miała? Jak zauważyłaś, nie wspomina nic o tym Irlandczyku, choć musi wiedzieć, że przypuszczamy, iż jest razem z nim. Czy te „bezpieczne ręce” oznaczają jego? Pan P. powiada, że Sophy ma jednak sumienie -



zdaje sobie sprawę, że bardzo byśmy się martwili, gdyby nie dała znaku życia, a poza tym jest na tyle uczciwa, że chce nam oddać pięć funtów. Wbrew samej sobie nie mogę nie myśleć teraz o niej nieco lepiej.

*Później.*

Nie zakleiłam listu, kochana Mary, mając nadzieję, że wróci kapitan Gordon i będę mogła przekazać ci więcej informacji. Rzeczywiście, wrócił z Gretna Green trzy godziny temu. Zatrzymał się tylko na chwilę, zmienił bieliznę, zjadł trochę wędliny i od razu znów wyruszył w drogę z tym listem w kieszeni. Nalegał, żeby go zabrać - mówił, że tyle nam zawdzięcza, że to dla niego drobnostka, i tak dalej, i tak dalej. Jednak trochę się o niego niepokoję. Nie jest już młody, a w ostatnim tygodniu podróżował bez przerwy dzień i noc. Pokonał doprawdy zdumiewające odległości, teraz zaś bez odpoczynku udał się w kolejną podróż. Jeśli miał wobec nas dług wdzięczności, spłacił go już dziesięciokrotnie. Okazał się wyjątkowo wytrwały - człowiek mniejszego ducha nie miałby tyle sił. Powiedział, że najpierw odwiedzi pocztę, skąd wysłano list, i spróbuje się rozpytać o nadawcę. Fakt, że list nadszedł z Great West Road, potwierdza jego osobistą teorię na temat ewentualnego miejsca pobytu uciekinierów. (Kapitan uważa, że wyjechali do Irlandii). Nie chciał jednak powiedzieć nam nic więcej, żeby nie budzić nadziei, które mogłyby okazać się płonne. Jeśli kapitan Gordon nie znajdzie zbiegów w ciągu kilku dni, będziemy musieli napisać do ojca Sophy i wyznaczyć, że jego córka zniknęła, my zaś nie wiemy, gdzie obecnie przebywa.

W pana Pinkneya wstąpiła wielka otucha, kiedy dostaliśmy list od Sophy. Jest znacznie pogodniejszy, choć podagra nadal mu dokucza. Pan Wingfield odwiedza go codziennie i perswaduje, żeby się nie martwił.

Twierdzi, że wedle jego doświadczenia wskutek melancholii zapada na rozmaite choroby więcej pacjentów niż z jakiegokolwiek innej przyczyny.

*Zawsze twoja  
Charlotta*

## LIST SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY

*pani Goddard do pani Pinkney*

Highbury,  
9 grudnia 1816 roku

Kochana Charlotte,

Nasze listy, oba wysłane wczoraj, musiały minąć się w drodze.

Cieszę się razem z wami, że Sophy napisała. Okazało się, że ta dziewczyna ma jednak jakieś uczucia - niektórzy sądzą, że to dzięki tobie i panu Pinkneyowi. Zgadzam się, że trzeba teraz myśleć o niej ciepłej, skoro szanuje was na tyle, by przysłać list, w którym próbuje się chociaż wytłumaczyć. Najwyraźniej zamierza zawiadomić swego ojca, o ile już tego nie zrobiła, ponieważ wspomina, że chce go nakłonić, by oddał wam pieniądze. Wydaje mi się, że to najbardziej pocieszający aspekt całej sprawy. Kiedy będziecie do niego pisać, powinniście o tym wspomnieć na osłodę.

A owe „bezpieczne ręce”? Zapewne chodzi o tego Irlandczyka. To dziwne - pisze, że „narobiliście sobie kłopotu”, a i tak nie udałoby wam się jej odnaleźć. Widocznie nie bierze pod uwagę przemyślności marynarzy. Kapitan Gordon zapewne zna miejsca, o których dżentelmen taki jak pan Pinkney, uczony, prowadzący życie w odosobnieniu, nigdy nawet

nie słyszał. Jestem przekonana, że skoro dostałaś już ten pierwszy list od Sophy, kochana Charlotta, wkrótce otrzymasz o niej kolejne, lepsze lub gorsze, nowiny.

Mam nadzieję, że pan Pinkney pogodził się z faktami, na które nie ma wpływu, i że nie rozmyślacie już ciągle o tej aferze. Zabawiałaś Sophy, wysłuchiwałaś jej skarg i zrobiłaś dla niej wszystko, co mogłaś. Daliście jej nawet pieniądze. (Oczywiście, w jak najlepszej intencji!) Jestem zresztą pewna, że skoro była tak uparta, jak piszesz, to w końcu i tak uciekłyby ze szkoły, bez względu na to, czy dostałyby pieniądze czy nie. Być może pan Adams zrozumie teraz, że powinien był raczej słuchać rad państwa Pinkneyów niż państwa Blairów. Ale cóż, wiadomo, w jakim położeniu znalazł się pan Adams. Blairowie byli jego starymi przyjaciółmi, a pana Pinkneya widział tylko raz w życiu. Jednak w tak opłakanej sytuacji nie należy się cieszyć, że miało się rację. Może to jednak rzeczywiście jest pociecha. Wierzę, że tymczasem jednak zapomnisz o Sophy, pójdziesz na przyjęcie do pana Falconbridge'a, włożysz nową suknię i trochę się zabawisz. Uważam, że naprawdę należy ci się chwila wytchnienia.

Najlepiej przestań w ogóle myśleć o tej dziewczynie i zajmij się radośniejszymi sprawami. Chciałabym namówić cię, żebyś przyjechała do Highbury na święta. Sama bym do ciebie przyjechała, ale wiesz przecież, że nie mogę zostawić szkoły. Zawsze zostaje u mnie garstka dziewcząt, które spędzają święta Bożego Narodzenia w Highbury, a wyjeżdżają, niestety, wszystkie nauczycielki. Panna Prince ma brata, który regularnie zaprasza je do siebie. Miło mi donieść, że Louisa wraca już do zdrowia, choć od wypadku minął zaledwie tydzień. Wczoraj pani Pringle ugościła dziewczęta w Hartfield i nawet przysłała po nie powóz. Moim zdaniem to jeszcze za wcześnie na wizyty. Pan Perry powiedział jednak, że świeże

powietrze dobrze zrobi Louisie i poprawi jej nastrój. Porządnie opatulona wyszła z domu po raz pierwszy od dnia wypadku. Po dziewczęta przyjechał William Pringle, który upierał się, że zanieśe Louisę do powozu, a potem do domu (choć nie wydawało mi się to konieczne). Pani Pringle podobno była dla nich szczególnie miła. Ułożyła Louisę na sofie, a pan William Pringle zachowywał się bardzo troskliwie. Rozmawiali o zbliżających się świętach. Zdaje się, że na Boże Narodzenie będą mieli dom pełen gości. Pani Pringle nie pozwoliła zostać bliźniaczkom zbyt długo, a Louisa chętnie wróciła do domu, gdzie usiadła cichutko w saloniku i rozmyślała o nadchodzących radościach świątecznych dni.

Cóż, kochana Charlotto, potraktuj list od Sophy jako dobre nowiny. Przynajmniej nie cierpi już z powodu seminarium. Kto wie, może nawet jest szczęśliwa, gdziekolwiek jest.

*Twoja kochająca  
Mary Goddard*

## LIST SZEŚĆDZIESIĄTY DRUGI

*pani Pinkney do pani Goddard*

Poniedziałek,  
9 grudnia 1816 roku

Moja kochana Mary,

To już dziewiąty dzień ucieczki Sophy. Kapitan Gordon pisze, że wypytywał o nią na tej poczcie, o której ci wspomniałam. Leży w okolicach Bristolu, a poczmistrz pamiętał, że list wręczył mu jakiś szczupły chłopiec. Kapitan Gordon zapytał, czy jest całkowicie pewien, że nie był to wysoki, młody mężczyzna, mówiący z irlandzkim akcentem. Poczmistrz odparł, że tak. Dobrze zapamiętał tego chłopaka i jego dziecienny głos, tym bardziej że owa poczta leży na odludziu i niewielu obcych tam zagląda. Nie wiadomo, kim może być ten chłopiec. Sądzę, że Sophy poprosiła go, żeby zaniósł list na pocztę. Kapitan Gordon powiada, że zostanie w Bristolu i dokładnie przetrząśnie całe miasto. Na razie musimy się zadowolić tylko taką wiadomością. - Cóż - powiedziałam panu Pinkneyowi - ciesz się, że napisała i że jest bezpieczna, ale życie musi toczyć się dalej swoim trybem. - On jednak nie potrafi spojrzeć na sprawę w tym świetle, wciąż ma wyrzuty sumienia i martwi się, co napisze jej ojcu, jeśli Sophy nie znajdzie się do czternastego grudnia, kiedy to odplywa statek na Barbados i trzeba będzie wysłać do niego list.

A poza tym dwa dni temu pokłóciliśmy się. Wierz mi, że rzadko nam się to zdarza. Przyczyną naszej sprzeczki było przyjęcie na cześć pana Falconbridge'a.

Pan Pinkney, choć czuje się lepiej, szczególnie odkąd otrzymaliśmy list od Sophy, nie powinien jeszcze wychodzić z domu, wciąż bowiem kuśtyka o lasce. Zaczął się jednak upierać, żebym poszła bez niego.

- Jak to, sama? Miałabym cię zostawić? Nie, nie mogę. Wykluczone.

- Ależ kochana, przecież kupiłaś nową suknię, którą tak bardzo chciałaś włożyć na to przyjęcie. Nie chcesz pokazać się swojej przyjaciółce, Isabelli?

- To nie ma nic do rzeczy, kochanie.

- Moim zdaniem ma. Czyż suknia się nie zmarnuje, jeśli jej nie włożysz?

- Żartujesz sobie ze mnie, mój małżonku!

- Nie da się zaprzeczyć.

- Będą inne okazje - odpowiedziałam, nie wiedząc, co o tym myśleć.

- Czy nie mówiłaś mi, że pan i pani Knightley przyjeżdżają na przyjęcie?

Przyznałam, że tak. Pan John Knightley musiał przyjąć zaproszenie, choć bardzo nie chciał uczestniczyć w feacie. Ponieważ jednak chodzi o osobistość tak ważną, jak pan Falconbridge, nieobecność pana Knightleya na uroczystości wyglądałaby co najmniej dziwnie i mogłaby umniejszyć nieco szacunek, jakim pan Knightley cieszy się w kręgach prawniczych. Tak w każdym razie wytłumaczyła mi to Isabella.

- No właśnie, moja droga - ciągnął dalej pan Pinkney. - Idź na przyjęcie, a zrobisz mi przyjemność (z rozbawieniem stwierdziłam, że używa tej samej argumentacji, co Isabella, kiedy przekonywała pana

Knighthleya). Przekaż ode mnie pozdrowienia i gratulacje panu Falconbridge'owi. Nie chciałbym, żeby mój stary przyjaciel pomyślał, iż ja i moja żona zlekceważyliśmy go, nie pojawiając się na uroczystości wydanej na jego cześć. Pójdiesz jako moja wysłanniczka, kochanie. Bądź teraz tak dobra i zadzwon na służbę, a ja pošlę zaraz list do Knightleya i zapytam go, czy zechce do nas przyjechać i zabrać cię po drodze na przyjęcie.

*Wtorek.*

Wszystko to działo się wczoraj. Nie zakleiłam listu, ponieważ chciałam szczegółowo opisać ci przyjęcie. Teraz zbliża się północ, uroczystość dobiegła końca, a ja jestem tak wzburzona, że nie mogę jeszcze położyć się spać. Muszę usiąść i spróbować się opanować, czy może powinnam raczej powiedzieć: dać upust swojej złości. Pan Pinkney nie spał, czekając aż wrócę, a wysłuchawszy mojej opowieści, zapalał słusznym gniewem i próbował dodać mi otuchy. Teraz jednak poszedł już spać. Ja natomiast nie mam jeszcze ochoty na sen. Potrzebuję również twojego współczucia, kochana Mary.

Knighthleyowie przybyli punktualnie o ósmej. Wystrojona w nową suknię i pelisę wsiadłam do powozu. Muszę przyznać, że bez żadnych wyrzutów. Zacny pan Pinkney tak to wszystko urządził, że jadąc na przyjęcie niby to robiłam przyjemność jemu. Przejrzałam jego intrygę na wylot, ale musiałam w duchu oddać mu sprawiedliwość za to, że nie jest samolubny.

Pod drzwiami domu przy Berkeley Square, gdzie odbywało się przyjęcie, stało już mnóstwo powozów. Szykownie wystrojeni ludzie wysiadali z nich i tłumnie zmierzały do środka. Ten widok oczywiście wielce



zirytował pana Johna Knightleya, który z trudem zgodził się przyjechać sądząc, że na bankiet przybędzie tylko kilku wybranych gości, a tymczasem przyjęcie zaszczycił cały Londyn. Przyozdobione świeżymi kwiatami pokoje jarzyły się jasnym blaskiem świec, grała orkiestra, a wokół krążyło mnóstwo upudrowanych lokajów - jednym słowem było tam wszystko co potrzeba, żeby uczynić przyjęcie wspaniałym w zachwyconych oczach wielu gości i zdecydowanie odstraszyć pana J. K.

- To nie do wytrzymania, kochana Isabello - powiedział, kiedy wchodziliśmy po schodach. - Twierdziłaś, że przyjęcie będzie kameralne, a tymczasem wokół kłębi się dokuczliwy tłum. Gorąco bijące od tych świec jest nie do zniesienia.

- To prawda, kochanie - odrzekła Isabella, chłodząc się wachlarzem.

- Złożymy wyrazy uszanowania Falconbridge'owi i wyjdziemy - oświadczył pan Knightley.

Staliśmy w szeregu, żeby przywitać się z honorowym gościem. Przekazałam mu pozdrowienia i gratulacje od pana Pinkneya, nie mogłam jednak powiedzieć nic więcej, ponieważ z tyłu napierali na nas inni i musieliśmy iść dalej.

- Czy widzisz kogoś znajomego, kochanie? - zapytała Isabella, gdy wmieszczyliśmy się w tłum nieustannie kręcących się wokół i rozgadanych gości.

- Nikogo, z kim miałbym ochotę porozmawiać - powiedział pan J. K. - Spełniliśmy nasz obowiązek, wracamy zatem do domu, bo nie ma żadnego powodu, żeby pozostać tu dłużej.

Isabella musiała zauważyć moje rozczarowanie. Spojrzała na mnie, a potem powiedziała panu Knightleyowi, że jeśli wyjdziemy tak szybko, gospodarz może to uznać za nieuprzejmość z naszej strony. Wiedziałam,

jak trudno jest jej sprzeciwić się mężowi nawet w najmniejszych drobiazgach, dlatego zrozumiałam, że Isabella poświęca się z mojego powodu. Spostrzegłszy, że pan Knightley zamierza mimo wszystko opuścić przyjęcie, powiedziałam, że właściwie nie możemy wyjść, dopóki przybywają ciągle nowi goście, gdyż trudno byłoby nam zejść po zablokowanych schodach, po których oni wchodzi do salonu. Pan J. K. zmuszony był uznać słusność tej uwagi, ruszyliśmy więc dalej, przystając chwilami niezręcznie pośród obcych nam ludzi. W tak ogromnym tłumie niemal niemożliwością było spotkać znajomych, o ile w ogóle mieliśmy na tym przyjęciu jakichś znajomych.

Ponieważ pan John Knightley nie zdradzał najmniejszej ochoty, żeby wykonać jakiś uprzejmy gest wobec otaczających nas osób, Isabella i ja musiałyśmy podjąć sztuczną rozmowę między sobą, nie chcąc sprawić wrażenia ludzi ostentacyjnie nietowarzyskich. Pilnie dyskutowaliśmy więc o pięknej pogodzie i zastanawialiśmy się, czy w święta spadnie śnieg, bo przecież dzieci uwielbiają śnieg, gdy nagle, wyobraź sobie tylko, zauważyliśmy wśród gości pana i panią Elton! Przechadzali się w towarzystwie jakiegoś tęgawego, dumnie wyglądającego małżeństwa, Isabella zawołała do męża, że właśnie widzi kogoś, kogo znamy, a ponieważ w tej właśnie chwili pan Elton przypadkiem uniósł wzrok i spostrzegł ją, nie miał innego wyboru, jak tylko do nas podejść. Zobaczywszy, co się święci, tęgawe małżeństwo skwapliwie odeszło. Dygnęliśmy, a panowie wymienili ukłony.

- To był sir Percival i lady Lushley - poinformowała pani Elton Isabelle z pominięciem wszelkich powitalnych wstępów. - Daję słowo, że zamierzałam was przedstawić, ale sir Percival zna prawie wszystkich w tym salonie i ma tu wielu znajomych, z którymi powinien jeszcze porozmawiać.

No, pomyślałam sobie, od razu pokazała, gdzie jest nasze miejsce.

- Sądzę, że znasz panią Pinkney - Isabella zwróciła się do pani Elton, która zdawała się mnie ignorować.

- Oczywiście - potwierdziłam, starając się okazywać jak najlepsze maniery i nie zważając na to, co w głębi duszy czułam. - Mój mąż i ja należymy do parafii pana Eltona.

- Tak. Jak się pani miewa? - powiedziała zimno pani Elton.

- Pani Pinkney ma także krewnych w Highbury - ciągnęła dalej Isabella. - Jej siostra, pani Goddard, jest dyrektorką tamtejszej szkoły.

- Zapomniałam już zupełnie o Highbury - odparła pani Elton.

- A zatem zapomniałaś pani również, że nie tylko pani Pinkney, lecz także pani Knightley i ja mamy w tym miasteczku bardzo bliskich nam ludzi - wtrącił się ostro pan J. K.

- Ach, tak - powiedziała pani Elton. - Knightleya i Emmę.

Roześmiałam się niemal, Mary, dostrzegłszy wyraz twarzy pana Johna Knightleya. Doprawdy, myślałam, że dostanie ataku apopleksji. Ale w tym momencie do rozmowy włączył się pan Elton.

- Tak jest - przytaknął. - Chciał zatrzeć złe wrażenie i zachowywać się, jak przystoi dżentelmenowi, choć jego żona wcale nie zachowywała się jak dama, toteż dodał po chwili: - Mam nadzieję, panie, że pan i pani Knightley zadomowili się już w Donwell?

- Owszem, panie - odrzekł krótko John Knightley, pan Elton musiał się więc zwrócić do mnie.

- Spodziewam się, pani, że pani Goddard dobrze się miewa?

- Znakomicie. Ale szkoła pochłania jej mnóstwo czasu. Być może zainteresuje pana wiadomość, że wszystkie miejsca są zajęte. Nie ma możliwości przyjęcia choćby tylko jednej więcej uczennicy.

Nie mogłam się powstrzymać od tej uwagi, kochana Mary, przypomniawszy sobie, co ci powiedziała na temat wykształcenia tego swojego okropnego dziecka.

- Szkoła pani Goddard cieszy się znakomitą opinią - zauważyła pani Knightley.

- Tak - potwierdziłam z postanowieniem, że nie pozwolę na zmianę tematu, choć z drugiej strony pogardzałam sobą, że jestem taka trywialna.

- Uczennice przyjeżdżają do niej z bliska i z daleka. Jej szkoła ma tak znakomitą reputację, że uczy się w niej nawet dwoje dziewcząt z Indii.

Tu nastąpiła pauza. Pani Elton zapytała w bardzo niesympatyczny sposób, czy pan Pinkney jest zdrów.

- Niestety, czuje się dziś niedysponowany.

- Doprawdy? - spytała wyniośle. - I mimo to wyszła pani z domu? Sama? Jest pani nieustraszona! Ja nigdy nie ośmieliłabym się pójść na przyjęcie bez mego pana i władcy.

Trudu odpowiedzi na tę impertynencję oszczędził mi pan J.K.

- Ależ pani Pinkney nie jest sama. A poza tym pan Pinkney wyraźnie życzył sobie, żeby jego małżonka przybyła na dzisiejszą uroczystość. Pan Falconbridge to jego stary przyjaciel. Należeli w Oksfordzie do tego samego kolegium.

Nie muszę ci mówić, jak bardzo byłam mu wdzięczna, że pospieszył wystąpić w mojej obronie. Pani Elton na chwilę zamilkła, ale tylko na chwilę. Tymczasem odezwała się Isabella.

- Pan Falconbridge jest chyba czarującym człowiekiem - zaczęła. Ale nie udało jej się dokończyć zdania.

- Ach, nie musisz mi przedstawiać Falconbridge'a - przerwała jej pani Elton. - Stał się już naszym dobrym znajomym. Przyszedł nawet w niedzielę do kościoła. Zostanie nowym członkiem naszej parafii.

- A zatem będzie spotykał się z panem Pinkneyem - powiedziałam z udaną uprzejmością. Choć między nami przyznaję, Mary, że w głębi serca byłam wielce wzburzona. I gdyby nie wychowano mnie na damę, do prawdy nie wiem, co mogłoby się stać. Najgorsze miało jednak dopiero nadejść.

- Zapomniałam zapytać o twoją siostrzenicę, pani - nieoczekiwanie zwróciła się do mnie pani Elton.

- O moją siostrzenicę? Czy pani ją znasz?

- Tylko ze słyszenia, pani.

Zastanawiałam się, co to może znaczyć, i po chwili odrzekłam:

- Jeśli jej nie znasz, pani, to dziwię się jednak, że chcesz o nią zapytać.

- Przecież cały Londyn mówi, że ona uciekła z jakimś służącym - ciągnęła pogardliwym tonem. - Dla takiej dziewczyny to zapewne nie lada zdobycz! - tu pani Elton roześmiała się egzaltowanie.

- Za pozwoleniem, pani, a skąd to cały Londyn wie o takich rzeczach?! - zawołałam, sprowokowana na tyle, żeby zdradzić wreszcie swoją irytację.

- Ach, nie pamiętam już, kto mi o tym opowiadał. Ktoś, z kim niedawno rozmawiałam. Kobieta z moją pozycją ma bardzo wielu znajomych. W każdym razie słyszałam, że całe miasto nie mówi o niczym innym.

- A zatem całe miasto nie ma o czym rozmawiać - rzekł surowo pan J. K.

- Isabello, moja droga, chodźmy do jadalni. Wydaje mi się, że powinnaś usiąść.

- Ależ oczywiście, mój kochany - odparła Isabella, rzucając mi pełne współczucia spojrzenie. - Muzyka gra tutaj nieco za głośno.

Pan J. K. podał ramię mnie i Isabelli, za co pobłogosławiłam go w duchu, po czym nasza trójka nie zwlekając ruszyła w swoją stronę. Ale pani Elton jeszcze nie skończyła. Kiedy odchodziliśmy, dosięgła nas jej pożegnalna strzała.

- Madame Dubois opowiada wszystkim, jak bardzo się cieszy, że udało jej się pozbyć tej dziewczyny. Zdaje się, że pochodzi z Barbadosu. Czy nie jest przypadkiem kwarteronką\*?

\* Kwarteronka - kobieta w jednej czwartej krwi murzyńskiej (przyp. tłum.).

Udałam, że nie słyszę, choć wyobrażasz sobie chyba, co czułam - powiedzieć, że gotowałam się ze złości, to za mało! Nawet pan Knightley tak się zirytował, że mruknął coś pod nosem, nie dosłyszałam jednak dokładnie co.

- Masz całkowitą rację, mój kochany - stwierdziła Isabella, po czym zwróciła się do mnie. - Kochana Charlotte, błagam cię, nie pozwól, by ta kobieta wyprowadziła cię z równowagi.

Poszliśmy do jadalni. Knightleyowie to ludzie zbyt dobrze ułożeni, żeby rozwodzić się nad tym niemiłym incydentem, toteż zaczęliśmy rozmawiać o muzyce, kolacji i licznie przybyłych postaciach ze świata polityki. Wyobrażasz sobie jednak, Mary, że krew we mnie zawrzała. Pani Elton najwyraźniej nie cierpi każdego, kto ma najodleglejsze choćby koneksje w Highbury.

Oczywiście, po tym wszystkim nie mogłam już cieszyć się wieczorem, który przybrał najzupełniej dla mnie nieoczekiwany obrót. Wkrótce potem pan Knightley zaproponował, żebyśmy już wyszli. Cieszyłam się, że wrócę do domu i będę mogła poskarżyć się pełnemu zrozumienia panu

Pinkneyowi. Tak jak teraz poskarżyłam się tobie.

No cóż, przynajmniej zapomniałam na kilka godzin o Sophy, dopóki nie spotkałam pani Elton.

*Zawsze twoja  
Charlotta*

## LIST SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI

*pani Elton do pani Suckling*

Probostwo św. Stefana, Arabella Street,  
11 grudnia 1816 roku

Na honor, kochana Selino, Highbury wciąż mnie prześladuje.

Wczoraj wieczorem mój *caro sposo* i ja poszliśmy na przyjęcie wydane na cześć nowego posła do parlamentu z ramienia uniwersytetu w Oksfordzie, niejakiego pana Falconbridge'a, który został członkiem naszej parafii.

Zgadnij, kto pojawił się na tej uroczystości, sam pan John Knightley z małżonką i ta okropna kobieta, pani Pinkney. Przyszła sama, bez męża. Zuchwała jak lwica. Bo pytam cię, która szlachetnie urodzona dama poszłaby na takie przyjęcie samotnie? Twierdziła, że pan Pinkney był niedysponowany, ale moim zdaniem po prostu ze wstydu schował głowę w piasek. Wszyscy w Londynie opowiadają o jego siostrzenicy z Barbadosu, która uciekła z niejakim Paddym O'Ryanem, irlandzkim służącym z seminarium, gdzie się uczyła. Jest to jedna z najznakomitszych szkół w mieście (nawiasem mówiąc, kiedy przyjdzie czas, zamierzam tam posłać również małą Gussie), toteż nic dziwnego, że madame Dubois, łaskawa dama, do której należy owo seminarium, czuje się wielce przygnębiona z powodu tego zdarzenia.



Ale z drugiej strony wskutek tej afery pani P. powinna nieco spuścić z tonu. Wyobraź sobie tylko! Służący! Choć może tej dziewczynie odpowiada towarzystwo osoby tak niskiego stanu. Wydaje mi się, że jest kwarteronką. Skoro pochodzi z Barbadosu, tak zapewne jest.

Jeżeli wasze lando jest już naprawiony, chciałabym, żebyście nas odwiedzili. Obawiam się jednak, że zdaniem pana Sucklinga może już być zbyt późno, żeby liczyć na przyjemną podróż w tym roku. Drogi będą na pewno błotniste, śmiem jednak twierdzić, że w waszym zaprzężonym w cztery konie powozie pokonacie nawet najgorszy trakt, byleby James uważał i umiejętnie ściągał cugle. Jak posuwają się twoje prace ogrodowe? Czy na takie rzeczy też nie jest już trochę za późno?

*Twoja kochająca  
Augusta Elton*

## LIST SZEŚĆDZIESIĄTY CZWARTY

*pani Goddard do pani Pinkney*

Highbury,  
11 grudnia 1816 roku

Pani Elton! Jestem przerażona! Nie sądziłam, że stać ją na tak głęboką złośliwość i arogancję.

Moja biedna, kochana Charlotte, doskonale rozumiem twoje poczucie upokorzenia i wściekłość. Cóż można powiedzieć poza tym, że martwić się i dręczyć z powodu takiej osoby, jak pani Elton, oznaczałoby po prostu, iż udało się jej spełnić swe złowrogie zamiary. Proszę cię, spróbuj, moja kochana, zapomnieć o tej kobiecie i nie przejmować się jej zawziętością. Znów się powtarzam, ale z uwagi na własne zdrowie nie powinnaś pozwolić emocjom, by brały nad tobą górę.

Zachowałaś się mężnie i lojalnie, stając w obronie mojej szkoły! Ale prawdę mówiąc, nie warto było się trudzić. Powodzenie szkoły, która, o ile wolno mi tak powiedzieć, kwitła przez ostatnie dwadzieścia lat, na całe szczęście nie zależy w niczym od dobrego zdania pani Elton.

A zatem kapitan Gordon bawi w Bristolu. Czyżby sądził, że Sophy i ten służący chcą wyjechać do Irlandii? Mam nadzieję, że uda mu się czegoś dowiedzieć. To rzeczywiście dziwne, że list od Sophy nadał jakiś

chłopak. Ciekawe, kto to był. Cóż, na razie możemy się tego tylko domyślać.

Przechodząc do innych spraw, nie chciałabym cię kłopotać, kochana Charlotta, ale mam zmartwienie, które trapi mnie od dłuższego czasu, i dlatego zwracam się do ciebie o radę. Otóż niepokoję się coraz bardziej o pannę Bates. Pisałam ci o niej od czasu do czasu i próbowałam przekonywać sama siebie, że oczywiście wszystko jest u niej w porządku, że otoczona jest wszelkimi wygodami i że w porównaniu ze swoim strykiem nad sklepem mieszka obecnie w luksusowych warunkach. Ale wyjechała już prawie trzy miesiące temu i wydaje mi się bardzo dziwne, że napisała w tym czasie do swoich dawnych przyjaciół z Highbury zaledwie jeden raz.

Ta powściągliwość jest do niej tak niepodobna, że nie mogę oprzeć się podejrzeniom, iż panna Bates jest niebezpiecznie nieszczęśliwa. Co z tego, że mieszka pod jednym dachem ze swoją ukochaną Jane, kiedy Jane ma teraz wokół siebie inne obiekty uczuć, osoby znacznie jej bliższe niż biedna, stara ciotka.

Enscombe Park! Jak ona tam spędza czas? Przyzwyczaiła się do swoich małych pokoików, wychodzących na ruchliwą ulicę, do wizyt przyjaciółek i towarzyskich spotkań przy kartach, do wypełniania rozmaitych obowiązków domowych, czym zatem zajmuje się w wielkim wiejskim domu, w którym wszystko robi za nią służba? Stawiam zapewne pytanie retoryczne, bo jestem przekonana, że znam odpowiedź: niczym.

Jej meble, w tym biurko i ulubiony nad wszystko kredens, znajdują się wciąż w magazynie w „Crown”. Rozmawiałam niedawno z panią Stokes. Powiedziała mi, że należność za przechowanie mebli opłacił z góry Frank Churchill, nie mówiąc nic, co wskazywałoby, że będą potrzebne w najbliższej przyszłości. Wiem, że panna Bates była bardzo przywiązana do

swoich rzeczy. Nie przysłała po nie Bóg wie z jakich powodów - ja sądzę, że nie ma pieniędzy. Zapewne nie chce o nic prosić Jane ani Franka, a koszt transportu mebli z Surry do Yorkshire byłby przecież znaczny. Hetty została porwana tak nieoczekiwanie, że oczywiście nie miała czasu się nad tym zastanowić, ale ciągle myślę, że czuje się ogromnie osamotniona i niepoczyszona, nie mając w swoim pokoju we wschodnim skrzydle nawet własnych mebli. Nie potrafię przestać o niej myśleć. Czy uważasz, że moje obawy są bezpodstawne? Zapytaj pana Pinkneya o zdanie w tej sprawie.

*Twoja zatroskana siostra,  
Mary*

## LIST SZEŚĆDZIESIĄTY PIĄTY

*pani Suckling do pani Elton*

Maple Grove, w okolicy Bristolu,  
12 grudnia 1816 roku

Moja kochana Augusto,

Mam nadzieję, że nie będziesz musiała stykać się zbyt często z tą jakąś panią Pinkney. Sądząc z twojego opisu, musi to być bardzo ekscentryczna kobieta. Poszła na przyjęcie bez męża! Wstyd! I na dodatek ma siostrzenicę, która jest kwarteronką! Uciekła ze służącym! To wielka plama na honorze rodziny.

Zabawne - piszesz, że ten służący jest Irlandczykiem, a właśnie w zeszłym tygodniu zatrudniliśmy jakiegoś Irlandczyka do pracy w ogrodzie. Zapytałam pana Sucklinga, czy to nie byłoby dziwne, gdyby nasz Paddy okazał się owym zbiegłym sługą. Pan S. zlekceważył jednak moje domysły twierdząc, że po Anglii włóczą się na pewno setki Irlandczyków, i niewątpliwie wielu z nich nosi imię Paddy, a poza tym nasz Irlandczyk nie przywiózł ze sobą żadnej kwarteronki, tylko głuchoniemego chłopca.

Jesteś na pewno ciekawa, jak do tego doszło. Moje prace ogrodowe, jak je nazywasz, ustały, będąc już niemal na ukończeniu, z powodu braku

odpowiednich rąk do pracy. Było to niezwykle denerwujące. Chciałam zwłaszcza ukończyć tej jesieni mur wokół kuchennego ogródka, bo wtedy Warwick mógłby wiosną posadzić warzywa wcześniej niż zwykle i wyhodować ich więcej. Drażniło mnie niewymownie, że nie udało mi się znaleźć nikogo, kto mógłby dokończyć tych prostych, manualnych prac. Robotnicy w dzisiejszych czasach są niesłychanie arogancy i żądają wygórowanych sum.

Zgadnij jednak, kto mnie uratował i przyszedł mi z pomocą. Pan Suckling! Zupełnie się tego po nim nie spodziewałam. Entre nous wydaje mi się, że chciał mnie w ten sposób przeprosić za rozczarowanie, jakiego doznałam, nie mogąc cię odwiedzić, i za wybuch gniewu, jakim mnie uraczył, kiedy wyrzucił się nasz powóz. Otóż mniej więcej tydzień temu do biura pana S. zgłosił się pewien doświadczony marynarz, który pragnął zaciągnąć się na statek płynący na Barbados. Przyszedł ze swoim wątlym, młodszym bratem, za którego chciał zapłacić jak za zwyczajnego pasażera. Będąc człowiekiem z głową do interesów, pan S. spostrzegł, że taka propozycja jest dla niego korzystna. Poza tym statek miał odpłynąć dopiero za dziesięć dni, a ów Irlandczyk wydawał się chętny do pracy i nie miał gdzie się zatrzymać. Z jakiegoś nie wyjaśnionego bliżej powodu nie zamieszkał w żeglarskiej noclegowni, jak inni marynarze: zapewne ze względu na brata, o którego bardzo się troszczy, a który niewątpliwie nie czułby się dobrze w zgietku i ścisku domu noclegowego. W każdym razie mężczyzna ów był bardzo elokwentny i zwrócił uwagę pana Sucklinga swoją postawą i zachowaniem. Wydawał mu się szczery i pełen szacunku. Twierdził, że potrafi zrobić i robi wszystko w zamian za jedzenie i dach nad głową dla siebie i brata, dopóki nie odpłynie statek na Barbados. Pan S. zapytał go, czy umie stawiać mury. Ponieważ Irlandczyk odpowiedział twierdząco, pan S. przyjął tego człowieka do pracy. Sypia z bratem w

ogrodowej szopie i jada posiłki w kuchni. Paddy pracuje dobrze. Przez ostatni tydzień ukończył już niemal budowę, toteż wydaje mi się, że mur nareszcie stanie. Brat Irlandczyka, szczupły, wiecznie trzęsący się z zimna chłopak w źle dopasowanym ubraniu i o bardzo krótkich włosach, próbuje mu pomagać, podając cegły. Muszę przyznać, że Paddy wykazuje ogromną cierpliwość wobec swego brata, ponieważ jego pomoc jest właściwie żadna. Ja mimo to nie narzekam. Będę miała mur w zamian za kilka ogarków świec i resztki żywności, którą i tak musiałabym wyrzucić.

*Twoja kochająca  
Selina Suckling*

## LIST SZEŚĆDZIESIĄTY SZÓSTY

*pani Pinkney do pani Goddard*

12 grudnia 1816 roku

Dostaliśmy dziś wiadomość od kapitana Gordona z Bristolu. Udało mu się ustalić, że piątego grudnia widziano jakiegoś wysokiego Irlandczyka w gospodzie, w której mieszka obecnie nasz kapitan. (Chodzi o dzień, w którym został nadany list od Sophy). Ów Irlandczyk spożył w gospodzie posiłek. Kapitan nie wie, nie wiedział tego bowiem również jego informator, czy człowiekowi temu ktoś jeszcze towarzyszył. Było to tydzień temu i od tamtej pory nie widziano Irlandczyka w gospodzie. Ale w kapitana wstąpiła otucha. Wydaje mu się, że prowadzi poszukiwania we właściwym miejscu i nadal wypytuje o uciekinierów.

Ja tymczasem dotrzymywałam towarzystwa panu Pinkneyowi w bibliotece, gdzie spędził cały ranek, układając list do pana Adamsa. Koperta musi trafić jeszcze dziś na pocztę, jeśli ma odpłynąć statkiem wyruszającym na Barbados w sobotę. Jak się domyślasz, pan Pinkney pisze z bólem serca, toteż zastanawia się i waży ostrożnie każde zdanie, czytając mi tekst na głos i zasięgając mej rady. Kochany pan P. Gdyby sprawa nie była tak poważna, bawiłoby mnie, że otoczony greckimi i łacińskimi



księgami, przy całej swej uczoności i erudycji, zasięga u mnie rady, jak ułożyć list.

- Co myślisz o takim wstępie? - zapytał. - „Kochany szwagrze, obawiam się, że mam ci do przekazania niepokojące wieści...”

- Sądzę, że w ten sposób przerazisz go śmiertelnie - odparłam.

- Ale następne zdanie chyba łagodzi strach - powiedział pan P. - Przynajmniej w pewnym stopniu: „Nim jednak zaczniesz się niepotrzebnie niepokoić, spieszę cię zapewnić, że, o ile wiemy, Sophy jest bezpieczna i zdrowa”.

- To brzmi nieco bardziej uspokajająco - odrzekłam. - Ale mimo wszystko będzie się chyba bardzo martwić, prawda? Sprawa jest niezwykle delikatna, zatem nie powinieneś go zbyt denerwować.

- Naturalnie, ale tego nie da się uniknąć. Nie mogę zrobić nic, żeby nie wzbudzić jego niepokoju, i jednocześnie powiedzieć mu prawdę. „Niestety, nie wiemy dokładnie, gdzie teraz przebywa, ponieważ uciekła wraz ze sługą ze szkoły”.

- Czy nie lepiej napisać wyraźnie, że uciekła ze służącym? W przeciwnym wypadku pan Adams może pomyśleć, że Sophy zbiegła ze sługą płci nadobnej.

- Zdaje się, że masz rację, kochanie.

I w tym ślimaczym tempie list, który kosztował pana Pinkneya tyle duchowych rozterek, posuwał się z wolna naprzód, choć jego napisanie, jak zapewne sobie wyobrażasz, zajęło nam cały ranek. Kiedy pan Pinkney zakończył swoje dzieło, Betty przyniosła czekoladę. Wypiliśmy ją, mój małżonek odzyskał nieco lepszy humor, i wtedy poruszyłam temat panny Bates.

Wiesz, kochana Mary, jak bardzo szanuję inteligencję i rozum pana Pinkneya, pomimo jego przesadnej troski o bezpieczeństwo Edwarda,

nawet kiedy chodzi o podróż naszym własnym powozem. Otóż pan Pinkney powiada - a prosił mnie, żebym wyraźnie podkreśliła, że czyni to z przykrością - iż jego zdaniem panna Bates z całą pewnością jest rozpaczliwie nieszczęśliwa w Enscombe. Jak mogłoby być inaczej?

Przedyskutowaliśmy tę sprawę dokładnie. Na pewno przypominasz sobie, że długo mieszkałam w Yorkshire, będąc małżonką pana Grenville'a, a nasza posiadłość leżała zaledwie dziesięć mil od Enscombe. Dobrze pamiętam tamte okolice. Choć nie odwiedzaliśmy nigdy wielkich miejscowych rodzin, to przecież doskonale wiedzieliśmy o ich istnieniu. Zналиśmy ich nazwiska, tytuły i otoczone parkami wiejskie rezydencje.

Pan Pinkney uważa, że panna Bates nie może czuć się swobodnie wśród ludzi tego pokroju, choć są to jej najbliżsi i najukochańsi krewni. Jak dobrze wiesz, kochana Mary, najbliżsi i najukochańsi krewni, choć nie u nas, nie w naszej rodzinie, bywają często nieskończenie mniej bliscy niż grono starych przyjaciół.

A pannę Bates oderwano właśnie od nich, od długoletnich przyjaciół, wywieziono ją z dala od miejsca, gdzie się urodziła, i to w jej zaawansowanym wieku. Ponadto, jak piszesz (choć to dla mnie rzecz niezrozumiała), panna Bates była niegdyś najpopularniejszą kobietą w Highbury. Teraz zaś jest niczym i nikim, na wygnaniu w zapadłym zakątku Yorkshire. Czy w takim położeniu, zapytał pan Pinkney, mogłaby czuć się inaczej, jak tylko nieszczęśliwa?

Odmalował mi jaskrawo obraz jej sytuacji. Wyobraź sobie tylko, powiedział, pannę Bates na obiedzie w Enscombe - długi stół, służba, kandelabry, stary pan Churchill, Frank, Jane i znakomici sąsiedzi, pośród których żyją i mieszkają, rozmowa o polowaniu, strzelaniu i zarządzaniu majątkami. Jak czuje się panna Bates w takich okolicznościach? Czy pasowałaby do takiej sceny? Jest ubogą krewną, starą panną, zależną od

rodziny ciotką, której Churchillowie wstydzą się zapewne i której woleliby się pozbyć z domu. Panna Bates uzyskała w Enscombe spokój i dostatek, ale nic poza tym. Zdaniem pana P. luksusy nie zastąpią Hetty sympatii starych przyjaciół, którzy ją cenią, albo radości nieskrępowanej konwersacji przy stoliku karcianym w Highbury. Tam wszyscy spotykali się z nią z przyjemnością. Tu, w Yorkshire, prawie na pewno nikogo jej towarzystwo nie cieszy.

Co do jej mebli, to niewątpliwie Churchillowie uważają, że nie warto sprowadzać tych kilku sprzętów i drobiazgów do Enscombe. Nigdy nie widziałam słynnego kredensu panny Bates, ponieważ Churchillowie nigdy mnie nie zapraszali (kiedy raz do nich przyjechałam, przygotowawali się do ślubu Jane Fairfax, pamiętasz?), ale opowiadałaś mi, że panna Bates częstowała swoich gości słodkim ciastem, które trzymała w środku. A czym mogłaby częstować gości teraz? Nie dość, że nikt w Enscombe nie ceni jej ani nie szanuje, to pozbawiono ją także słodczy rozmowy w gronie życzliwych przyjaciół.

Żałuję, że ani mnie, ani pana Pinkneya nie stać na więcej optymizmu w związku ze sprawą twojej przyjaciółki, ale podobnie jak w przypadku Sophy, cóż można tu uczynić?

*Twoja kochająca*

*C.P.*

## LIST SZEŚĆDZIESIĄTY SIÓDMY

*pani Goddard do pani Pinkney*

Highbury,  
14 grudnia 1816 roku

Dziękuję, że napisałaś tak wyczerpująco na temat panny Bates. Potwierdziłaś moje najgłębsze obawy. Mam jednak pewien plan, o którym napiszę ci później, jeśli zdołam opracować szczegóły i przekonam samą siebie, że nie jest niestosowny.

Dowiedziałam się od pani Pringle, że na święta zjadą do Hartfield liczni goście. Przybędą znów między innymi przyjaciele pana Williama z Cambridge, którzy zamyślają wystawić w Hartfield przedstawienie teatralne. Cieszę się, że Louisa i Lavinia mają więc na co czekać. Jeśli nawet Louisa nie czuje się jeszcze na tyle dobrze, by zagrać jakąś rolę, to może zostać suflerką, a w każdym razie bawić się z innymi młodymi ludźmi i uczestniczyć w ogólnej wesołości.

Pan Rutherford również zamierza przyłączyć się do tej grupy - o ile pozwolą mu na to jego obowiązki kościelne. Pani Pringle spytała, co sądzę o zaproszeniu Elizabeth Martin, albowiem istnieje milczące przypuszczenie, że pan Rutherford ucieszyłby się wielce z jej obecności. Rozwiązałam problem mówiąc, że poproszę ją, by zatrzymała się u mnie,

ponieważ szkoła w tym czasie będzie praktycznie pusta, i wysłałam już dziś rano liścik do Elizabeth w tej sprawie. Uciekłam się do pewnego wybiegu pisząc, że jej przyjazd byłby dla mnie wielką pomocą, ponieważ moich nauczycieli nie będzie, a potrzebuję kogoś do opieki nad młodszymi dziećmi, które pozostają na święta w Highbury. W ten sposób zachowuję wszelkie konwenanse! Bardzo wątpię, czy poproszę Elizabeth, żeby robiła coś więcej oprócz rannych spacerów z dziewczętami, oczywiście przy sprzyjającej pogodzie. Przypuszczam - mam taką nadzieję - że zgodzi się chętnie.

Ty zapewne powiedziałaś, że pragnę ją wyswatać, kochana Charlotte. Boję się używać nawet tego słowa, żeby nie zniszczyć ich bardzo jeszcze kruchej znajomości, ale rzeczywiście wydaje mi się, że pan Rutherford i Elizabeth znajdują się na właściwej drodze, aby umocnić swój związek. Widziano ich już kilkakrotnie nad brzegiem rzeki, gdzie pan Rutherford łowi rzekomo ryby, choć dziwna to pora roku na wędkowanie. Jeśli spędzą z sobą święta Bożego Narodzenia, to sprawa powinna wyjaśnić się ostatecznie. Pan Rutherford, gdy widzę go w kościele, nie wygląda już na człowieka samotnego i opuszczonego. Ktoś nawet na własne uszy słyszał, jak podśpiewuje pod nosem, spacerując ulicami miasteczka. Zaszła w nim zatem doprawdy radosna przemiana, albowiem pan Rutherford przybył do Highbury w nastroju wyjątkowo melancholijnym.

*Twoja kochająca  
M. Goddard*

# LIST SZEŚĆDZIESIĄTY ÓSMY

*pani Suckling do pani Elton*

Maple Grove koło Bristolu,  
15 grudnia 1816 roku

Moja kochana Augusto,

Musiałam napisać znowu, by opowiedzieć ci o pewnym przedziwnym zdarzeniu. Okazało się, że miałam rację.

Od kilku dni niejaki kapitan Gordon, oficer marynarki w stanie spoczynku, krąży po wszystkich miejscowych biurach żeglugowych, pensjonatach i noclegowniach wypytyjąc, czy ktoś nie widział wysokiego Irlandczyka, podróżującego z młodą dziewczyną. W końcu trafił też do biura pana Sucklinga, gdzie nasz wiecznie nieuprzejmy kancelista odpowiedział, że nic mu o takich ludziach nie wiadomo. Kapitan Gordon jednak nie zrezygnował.

- Jest pan pewien, że nikt taki... że nie było tu wysokiego Irlandczyka, który chciał się zaciągnąć na statek płynący na Barbados? W tym momencie pan Suckling przypadkiem wyszedł z biura, a usłyszawszy strzęp tej rozmowy, zwrócił uwagę na słowa „Irlandczyk” i „Barbados”.

- Podobny człowiek pracował jako murarz w ogrodzie pani Suckling - powiedział. - Nie wiem jednak nic o żadnej młodej kobiecie, przyjechał bowiem z bratem, głuchoniemym chłopcem.

- Z głuchoniemym chłopcem?

Pan Suckling opowiadał, że kapitan Gordon był wielce zaskoczony, podejrzewał jednak, że ów „chłopiec” jest w istocie dziewczyną. A kiedy dowiedział się wszystkich szczegółów, dotyczących zatrudnienia tych ludzi, a zwłaszcza, gdy usłyszał, że „brat” Irlandczyka wiecznie trzęsie się z zimna, nabrał przekonania, że są to właśnie ci uciekinierzy, których szuka. Zapytał wówczas pana Sucklinga, czy mógłby się z nimi zobaczyć.

- Ależ oczywiście. - Po czym pan Suckling, który w pewnych sytuacjach nie potrafi oprzeć się krotochwilom, zapytał: - A czy jesteś zręcznym pływakiem, panie?

- Nie rozumiem, do czego pan zmierza.

- Jest pan marynarzem. Czy zatem należy pan do zwolenników szkoly głoszącej, że lepiej nie umieć pływać i szybko się utopić, czy też jest pan raczej dobrym pływakiem, o co właśnie spytałem?

- Nie wiem, co to ma do rzeczy - odpowiedział kapitan Gordon, który ani trochę nie czuł się rozbawiony. - Raczysz pan ze mnie dworować.

- Jeśli zamierza pan ich złapać, musi pan jednak być znakomitym pływakiem, albowiem ludzie, których szukasz, znajdują się już zapewne z dala od stałego lądu.

- Będzie pan łaskaw mówić nieco jaśniej. Co to oznacza?

- To oznacza, panie, że wczoraj w południe wypłynęli na Barbados na pokładzie statku „Provender” - i tu pan Suckling zaniósł się głośnym śmiechem, a ów kapitan Gordon najwyraźniej stracił rezon.

- Ach tak, wielki Boże! - zawołał. - Niech to diabli porwą, spóźniłem się.

Pan Suckling powiedział, że z początku kapitan wydawał się bardzo zmartwiony. Jednak po kilku chwilach namysłu uznał widocznie, że ostatecznie nie stało się nic strasznego, oświadczył bowiem:

- Cóż, tego się właściwie spodziewałem. A zatem wiemy przynajmniej, gdzie ona jest.

- Ona? - zapytał pan Suckling. - Kogo ma pan na myśli?

Tu kapitan Gordon opowiedział mi o tej aferze, o której mi pisałaś, i zaczął wypytywać pana S, o rozmaite dodatkowe szczegóły. Pan Suckling poinformował go, w jaki sposób uciekinierzy trafili do Maple Grove. Irlandczyk twierdził przecieź, że jego „brat” jest zbyt delikatny, aby zamieszkać w zwykłych kwaterach marynarskich. Nic dziwnego! Ale mimo wszystko ta młoda dziewczyna musi być wyjątkowo wytrwała i zdeterminowana, skoro odważyła się na taką eskapadę.

Cóż, kochana Augusto, wyobrażam sobie, że takie wiadomości wzbudzą wielkie poruszenie, szczególnie w seminarium madame Dubois i w domu państwa Pinkneyów. Dlatego daję ci te nowiny w prezencie. Ponieważ uciekinierów zatrudniła twoja siostra, możesz wszak sama stać się jedną z bohaterek tej historii.

Nawiasem mówiąc, myliłaś się. Ta dziewczyna, czy „chłopak”, nie jest kwarteronką.

*Twoja kochająca  
Selina Suckling*



## LIST SZEŚĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

*pani Pinkney do pani Goddard*

Hans Place,  
17 grudnia 1816 roku

A zatem Sophy odnalazła się! Choć z drugiej strony, wyjechała na zawsze. Oto zagadkowy paradoks całej tej sprawy, Mary.

Kapitan Gordon powrócił przed godziną z Bristolu. Wykazał się niezwykłą przenikliwością. Doszedł do wniosku, że nasza młoda para spróbuje dostać się na Barbados, dlatego przez kilka dni prowadził poszukiwania w okolicach miasta i rozpytywał o nich. Być może znaleźli ich wcześniej, gdyby zatrzymali się w Bristolu, oni jednak mieszkali kilka mil od portu, w miasteczku zwanym Maple Grove, gdzie, jak się okazało, pan i pani Suckling zatrudnili ich do pracy w ogrodzie. Wielki Boże! Dopiero teraz, kiedy piszę te słowa, dociera do mnie, co to oznacza. Maple Grove! Siostra pani Elton! Rozpacz mnie ogarnia. Czy nigdy już nie uwolnię się od tej kobiety?

*Później.*

Musiałam na chwilę przerwać list, żeby nieco ochłonąć. Teraz mogę już powrócić do swojej opowieści.

Irlandczyk i Sophy mieszkali w szopie, w ogrodzie, czekając stosownej chwili, by wsiąść na płynący na Barbados statek pana Sucklinga.

Paddy zamierzał zaciągnąć się jako marynarz, natomiast jego głucho-niemy „brat” miał zapłacić kilka funtów (zapewne pięć!) za podróż. A zatem tamten list wysłała Sophy, przebrana za chłopca! Trzy dni temu oboje wypłynęli z Bristolu na pokładzie statku „Provender”.

Sophy opuściła więc Anglię. Dziewczyna musi być albo bardzo zakochana, albo bardzo pragnie wrócić do domu, skoro zdecydowała się znosić tak wielkie trudy i niedostatek. Można także przypuszczać, że pomimo jej chłopięcego przebrania żyli ze sobą jak mąż i żona. Któż może wiedzieć, czy Sophy nie jest brzemienna i czy ów służący pojmie ją za żonę? O ile statek nie pójdzie na dno wskutek nawałnicy zimowych sztormów, Sophy połączy się znów z ojcem i swoją starą, murzyńską niańką. Oboje zdumieją się zapewne, kiedy przedstawi im swojego kochanka. Przypominam sobie, jak Sophy mówiła, że Irlandczyk nie zamierza pracować przez całe życie jako lokaj. No cóż, zdaje się, że oszedł już daleko od tego zawodu. Mniemam, że jest łowcą posagów i że zwąchał dobrą okazję, poznawszy młodą dziedziczkę - a w każdym razie domniemaną dziedziczkę, jako że pan Adams nie ma syna, który mógłby przejąć po nim plantację.

Biedny pan Adams. Czeką go dotkliwy cios. Sophy i list pana Pinkneya, zawiadamiający ojca o ucieczce córki, przybędą na Barbados jednocześnie, na tym samym statku. Minie wiele miesięcy, zanim dowiemy się o nich czegoś więcej. Tymczasem powtarzam panu Pinkneyowi, że najlepiej będzie na razie zapomnieć o całej tej nieprzyjemnej aferze. Nie ma sensu dłużej się tym zamartwiać.

Kapitan Gordon powrócił już do Portsmouth. Jestem pewna, że biedak z radością wrócił wreszcie do domu. Jak miewa się Louisa?

*Zawsze twoja kochająca  
Charlotta*

PS

Zapomniałam wspomnieć o Elizabeth Martin. Rada jestem, że być może zawrze stały związek. Sama mówiłaś mi kiedyś, że twoim zdaniem najkorzystniejszym przeznaczeniem każdej młodej kobiety jest zamążpójście. Żywię więc nadzieję, że rozglądasz się już w poszukiwaniu odpowiedniego małżonka dla małej Sukey. Jeszcze tylko siedem lat i będzie już odpowiednią kandydatką na żonę dla jakiegoś młodego kawalera. Na nic zdadzą się twoje protesty, Mary. „Nie jestem swatką”, też coś!

## LIST SIEDEMDZIESIĄTY

*kapitan Gordon do pani Pinkney*

Pensjonat pani Smith, Portsmouth,  
19 grudnia 1816 roku

Droga pani Pinkney,

Piszę do pani po powrocie do Portsmouth, by podziękować tobie, pani, i twemu mężowi za wielkoduszną gościnność i łaskawą pomoc, jaką okazaliście mi w Londynie.

Dzięki rencie, którą będę teraz otrzymywał, zaczęliśmy szukać wraz z córką wygodniejszego mieszkania. Odkryliśmy niedawno niewielki, czarujący domek z widokiem na Solent. Sądzę, że w ciągu kilku najbliższych dni uda nam się przeprowadzić transakcję z właścicielem. Dom otoczony jest przestronnym ogrodem, w którym mogą bawić się dzieci, a w którym ja mógłbym zająć się hodowlą warzyw. To wszystko dzięki pani.

Z przyjemnością donoszę, że wnuk powitał mnie z radością, choć moja wnuczka rozplakała się, gdy do niej przemówiłem. Dzieci mają bardzo krótką pamięć. Na szczęście ja nie jestem dzieckiem, dlatego długo

będę jeszcze wspominał dobroć pani i szanownego małżonka.

Do listu pragnie się dopisać także moja córka.

*Szczerze oddany i wdzięczny*

*A. J. Gordon*

Kochana pani Pinkney, mam doskonałe wieści. Richard wraca do domu! Przysłał mi wiadomość przez swego przyjaciela, którego okręt zawinął właśnie do Portsmouth po powrocie z Afryki. Podobno jednostka Richarda zostanie odesłana do macierzystego portu celem remontu i wymiany załogi. Liczę już dni do jego powrotu. Z pewnością będzie zdumiony i zachwycony, kiedy zastanie nas mieszkających w nowym, ślicznym domku, w którym nie przeciekają okna, a wszystkie drzwi domykają się szczelnie.

*Kochająca*

*Charlotta*

## LIST SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY

*pani Goddard do pani Pinkney*

Highbury,  
18 grudnia 1816 roku

Mam nadzieję, że sama się przekonasz, kochana Charlotte, iż takie rozwiązanie jest najlepsze.

Z tego, co mi pisałaś, Sophy będzie szczęśliwa tylko na Barbadosie. Być może, w tej sytuacji pan Adams zdecyduje się pozostać na wyspie na stałe, a skoro ten Paddy O'Ryan tak bardzo pragnie spędzić życie z Sophy, to może okazać się przyzwoitym zięciem. Wydaje się, że jest ambitnym człowiekiem. Wszak w ambicji nie ma przecież nic złego, prawda? W duchu naszej demokratycznej epoki, która nastąpiła już przecież w Ameryce, wszyscy ludzie, jak nam się powiada, rodzą się równi. Toteż być może dzięki ciężkiej pracy i swoim zdolnościom ów Paddy O'Ryan zdoła pomnożyć dochody plantacji i osiągnąć szczęście.

Przemysłny plan ucieczki tej młodej pary zaiste godny jest podziwu. Muszą być sobie wzajemnie bardzo bliscy, skoro udało im się wprowadzić go w czyn. Sophy zaufała Irlandczykowi, oddając się w jego ręce - bezpieczne ręce, jak się wyraziła. Wyprawa nie była przecież łatwa, musieli

z pewnością przezwyciężyć wiele przeszkód podczas podróży do Bristolu i później, kiedy usiłovali dostać się na statek płynący na Barbados. Chciałabym pewnego dnia usłyszeć, jak im się to udało. Ciekawe też, jak i gdzie zdobyli męskie przebranie dla Sophy i kto obciął jej włosy. Paddy O’Ryan musiał mieć jakichś znajomych, do których zwrócił się o pomoc.

No cóż, a zatem pan Adams nie rozstanie się z córką, będzie mógł osiąść na stałe na Barbadosie i patrzeć, jak dorastają jego wnuczęta. Oczywiście są to tylko przypuszczenia, ale świat wokół nas zmienia się, kochana Charlottto. Musimy być wszyscy przygotowani na zmiany. Wszędzie dokoła zachodzą nieustannie nowe rewolucje. Pomyśl na przykład, czy przewrotem na małą skalę nie było też niezwykle zaproszenie wszystkich mieszkańców Highbury do majątności Hartfield.

Czuję już wyraźnie, że zbliżają się święta. John wyciąga kufry ze strychu i stajni, ponieważ prawie wszyscy zaczynają się już pakować przed wyjazdem do domu. Dziś rano Mitchell przywiózł nam dwa indyki, szynkę i gęś. Mięsiwo wygląda na tłuste i soczyste. Drób wisi teraz w spiżarni, a Sara twierdzi, że to najlepsze ptaki, jakie dostarczono nam w ostatnich latach, i że skruszeją do świąt. Nawiasem mówiąc, Sara i John wezmą ślub i wprowadzą się do własnego domku (który widać zresztą z okien szkoły) pomiędzy Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem. Najstarszą służącą kuchenną mianowałam dzisiaj asystentką kucharki. Będzie przynajmniej przygotowywać śniadania. Sara jest zadowolona z tej ulgi i mam nadzieję, że mój nowy system pracy w kuchni sprawdzi się. Tymczasem zastanawiałam się również nad położeniem panny Bates i wydaje mi się, że doszłam wreszcie do wiążącego wniosku w tej kwestii.

Louisa ma się coraz lepiej. Przedwczoraj poszła wraz z Lavinia oglądać rozpoczęcie polowania. Psy z kilku domów w miasteczku zaprowadzono na pole, skąd sześciu czy ośmiu myśliwych wyruszyło pieszo w pogoń za zającem.

Moje młodsze uczennice wraz z nadejściem zimy zaczęły podśpiewywać nową piosenkę. Czy pamiętasz, jak będąc dziećmi lubiłyśmy to nucić?

Nadchodzą święta  
Gęsi tuczają się  
Do kapelusza starca pensa wrzuć  
Jeśli pensa nie masz  
Może być pensów sześć  
Jeśli sześciu nie masz, idź z Bogiem  
Nie będziesz miał co jeść!

A zatem zostań z Bogiem, moja kochana siostró.

*M. Goddard*



## LIST SIEDEMDZIESIĄTY DRUGI

*pani Pinkney do pani Goddard*

Hans Place,  
19 grudnia 1816 roku

Tak, kochana Mary, co się stało, to się nie odstanie, pozostaje tylko mieć nadzieję, że tak jest dla wszystkich najlepiej. Nie można było uczynić wielkiej damy z Sophy i nie istniała właściwie żadna możliwość, by zechciał pojąć ją za żonę prawdziwy džentelmen.

Przypuszczam, że Sophy i Paddy O'Ryan mogą być jednak szczęśliwi. Jej ojciec, o ile pogodzi się z tym, że córka nie nauczy się już grać na harfie, ucieszy się zapewne, że wróciła do domu. Nie sądzę bowiem, by panu Adamsowi udało się kiedykolwiek powrócić na stałe do Anglii. A ten O'Ryan zbije być może fortunę na handlu cukrem i rumem. W dzisiejszych czasach liczą się bardziej pieniądze niż pochodzenie. A w każdym razie bardziej niż w czasach naszej młodości. Do wyższych sfer wkraczają z wolna ludzie niskiego stanu, lecz zamożni. Myślę tu na przykład o tych prostackich przyjaciołach pani Elton, sir Percivalu i jego małżonce, lady Lushley.

Z radością zatem przyjmujemy twoją radę i zapominamy na razie o Sophy, zwracając się myślami ku nadchodzącym świętom. Próbuję wytłumaczyć Edwardowi, co oznacza Boże Narodzenie, ale jest jeszcze nieco za mały, żeby dokładnie zrozumieć, o co mi chodzi.

Isabella przesłała wczoraj liścik z wiadomością, że nie mieszkając wyjeżdżają z mężem do Highbury, o kilka dni wcześniej, niż planowali. Za granicą panuje ponoć epidemia grypy i błonicy, dlatego pan Wingfield doradził Knightleyom, żeby natychmiast opuścili Londyn i nie narażali dzieci na ryzyko infekcji.

Nie wspomniałam panu Pinkneyowi o wyjeździe Isabelli, aby nie odniósł wrażenia, że miałabym ochotę pójść za jej przykładem. Choć, prawdę mówiąc, chciałabym wyjechać. Muszę przyznać, że bardzo się stęskniłam za Highbury. Po wszystkich tych kłopotach i zmartwieniach, których przysporzyła nam Sophy, a w mniejszym nieco stopniu kapitan Gordon, zapragnęłam zmienić otoczenie i bardzo chciałabym się z tobą spotkać. Gdyby udało nam się przyjechać wcześniej, być może pani Pringle zaprosiłaby nas nawet na przyjęcie do Hartfield. Ale teraz nie ma sensu „gdybać”. Niestety, nie spotkamy się w najbliższym czasie.

Trzeba ci wiedzieć, że małżeństwo z panem P. jest dla mnie źródłem nieustającej radości. Jestem mu ogromnie wdzięczna, że mnie, ubogiej wdowie bez grosza przy duszy, zapewnił szczęście i dom. Muszę szanować jego zdanie, nawet jeśli wydaje mi się niemądre, więc skoro pan P. uważa, że nie należy narażać naszego małego synka na trudy podróży, powinnam się z tym pogodzić. Oczywiście przekomarzam się z nim czasem, nie mogłabym jednak sprzeciwić się jego opinii, wysuwając tak potężny argument, jak groźba epidemii grypy, albowiem wyglądałoby na

to, że podważam i kwestionuję jego zdanie tylko po to, by zaspokoić własne, egoistyczne pragnienia. Nie dalej jak przedwczoraj dziękował mi raz jeszcze, że zostaliśmy w domu i nie naraziliśmy Edwarda na żadne niebezpieczeństwo. Będziesz musiała zatem sama przyrządzić indyka i gęś, i sama zjesz swój śliwkowy pudding. Szkoda. Nie widziałyśmy się już od bardzo dawna, a chciałabym pokazać ci naszego pięknego Edwarda, dopóki jest jeszcze rzeczywiście piękny, czyli zanim stanie się niezgrabnym, niedźwiedziowatym, wyrośniętym uczniakiem. (Choć w głębi duszy, jak się zapewne domyślasz, nie wierzę, by Edward kiedykolwiek upodobił się do innych chłopców).

*Adieu -Charlotta*

PS

Pan Pinkney wrócił właśnie z klubu. Dowiedział się ze zgrozą, że pani Elton rozpowiada po całym mieście o ucieczce Sophy i Paddy'ego O'Ryana, choć zatrudnili ich jej własny szwagier i siostra. Ach, moja kochana Mary, co robić?

## LIST SIEDEMDZIESIĄTY TRZECI

*pani Goddard do pani Pinkney*

Highbury,  
20 grudnia 1816 roku

Zachowaj pełne godności milczenie, kochana Charlotto. Pamiętaj, co powiada poeta: zainteresowanie sensacją nigdy nie trwa długo.

Przesyłam ci jednak wyrazy współczucia i żałuję, że nie mogę pocieszyć cię osobiście. Choć jednak bardzo pragnę się z tobą zobaczyć i jestem ogromnie rozczarowana, że nie przyjedziecie, pochwalam twą mądrą decyzję, żeby nie mówić o epidemii panu Pinkneyowi. Szacunek, jaki żywi dla ciebie twój mąż, jest nieskończenie cenniejszy i godny większego zainteresowania niż nawet kilka wizyt w Highbury. Nie powinnaś narażać się na utratę mężowskiego zaufania, choćby pozornie sprzeciwiając się jego decyzjom.

Tymczasem u nas, w Highbury, młodzież czyta sztuki dramatyczne, przygotowując się do przedstawienia teatralnego w Hartfield. Mówiąc „młodzież” mam oczywiście na myśli Lavinie i Louise, pana Williama Pringle, pana Rutherforda i Elizabeth Martin. Tak, Elizabeth przyjęła moje zaproszenie, a ponieważ dziewczęta rozjechały się już do domów na święta, dostała sypialnię do własnej dyspozycji. Elizabeth sprawia

wrażenie bardzo szczęśliwej i zadowolonej. Codziennie rano proszę ją, żeby zajęła się kilkoma młodszymi uczennicami, które zostały w szkole. Dzięki temu, że pomaga mi w opiece nad nimi, nie czuje się zobowiązana, a jej obecność w szkole nie budzi żadnych pytań osób postronnych, które mogłyby spekulować, dlaczego Elizabeth u mnie mieszka. Jak słyszałam, pan John Knightley z małżonką zjechali już do Donwell. Przypuszczam, że wkrótce Isabella złoży mi, jak zwykle, grzecznościową wizytę. Myślę, że dla Emmy będą to święta zarówno przyjemne, jak i bolesne. Po raz pierwszy od lat nie spędza Bożego Narodzenia w Hartfield. Można mieć jednak nadzieję, że obecność jej siostry i dzieci pozwoli Emmie odegnąć smutne wspomnienia.

Obiecałam, że przedstawię ci plan, który wymyśliłam w związku z panną Bates. Twoje mądre i wnikliwe sądy, podobnie jak opinia pana Pinkneya, dopomogły mi w podjęciu decyzji, którą już od dawna rozważałam. Jeśli wyniknie z niej coś dobrego, zaskarbisz sobie moją wdzięczność za to, że tak jasno wskazałaś, co powinny mi dyktować w takiej sytuacji rozum i przyjaźń.

Hetty Bates, jak powiada pan Pinkney, jest zapewne równie nieszczęśliwa, jak Sophy, ale w przeciwieństwie do Sophy nie może przecież uciec. Gdyby była młodsza, mogłaby starać się o posadę guwernantki. Niestety, los obszedł się z nią podobnie, jak z wieloma innymi niezamężnymi dziewczętami - przypadło jej w udziale poświęcić najlepsze lata swego życia opiece nad leciwą matką.

Dzisiejsze przypadkowe spotkanie z panią Weston na High Street całkowicie utwierdziło mnie w przekonaniu o słuszności podjętej przeze mnie decyzji. Pani Weston wspomniała, że dostała niedawno list od Jane, która pisze jej, iż niepokoi się o pannę Bates. Hetty podobno nie jest

ostatnio sobą, straciła swą charakterystyczną pogodę ducha, zrobiła się milcząca i wychudła. Gdy jednak Jane zaproponowała, żeby panna Bates wybrała się z wizytą do rodzinnego aptekarza Churchillów w Enscombe, Hetty stanowczo odmówiła, zapewniając ją, że wszystko jest w porządku. Jane żałowała, że nie było pod ręką pana Perry, który wiedziałby, jaką miksturę należy jej przepisać, ponieważ opiekował się niegdyś panną Bates. Zwierzyłam się pani Weston, co zamierzam zrobić. Okazała życzliwość, zgodziła się z moim zdaniem i przyrzekła, że porozmawia na ten temat z panem Westonem. Była jednak całkowicie przekonana, że jej małżonek zgodzi się wypożyczyć powóz i że okaże mi pomoc w każdej formie, jeśli tylko będzie mógł.

Następnie napisałam list do Hetty, którego kopię załączam. Sprawa jest niezwykle delikatna, podobnie jak w przypadku prośby o rękę, albowiem tak jak w małżeństwie chodzi tu o decyzję wiążącą na całe życie. Otóż chciałabym, żeby panna Bates zamieszkała w moim wiejskim domku, kiedy na stare lata odejdę ze szkoły. List do Hetty napisałam najpierw na brudno, chcąc mieć pewność, że wyrażam się precyzyjnie i dokładnie, tak jak sobie zamierzyłam - jeśli bowiem masz słuszość (a sądzę, że tak), uczucia panny Bates zostały głęboko zranione, skoro musi przyznać, choćby tylko sama przed sobą, że życie z jej ukochaną siostrzenicą nie ułożyło się dla niej pomyślnie.

Wybacz moje niestaranne pismo. Przesyłam kopię listu do panny Bates. Mam nadzieję, że zaaprobujesz mój plan.

*Twoja kochająca  
Mary Goddard*

## LIST SIEDEMDZIESIĄTY CZWARTY

*pani Goddard do panny Bates*

Highbury,  
20 grudnia 1816 roku

Moja kochana Hetty,

Często myślę, jak ci się wiedzie w Yorkshire, i wiem, jak bardzo musisz być zadowolona, widząc szczęśliwie zamężną i usatkwioną Jane. Mam jednak nadzieję, że nie zapomniałaś swoich dawnych przyjaciół w Highbury, gdzie wszyscy bardzo za tobą tęsknimy.

Życie tutaj zmieniło się od czasów, które obie dobrze pamiętamy, kiedy to składałyśmy razem radosne wizyty w Hartfield i grałyśmy w karty. Odszedł od nas pan Woodhouse i twoja kochana matka. Wcześniej wiele zmieniły małżeństwa Emmy Woodhouse, Harriet Smith i Jane Fairfax, twojej siostrzenicy. Następnie Highbury opuściłaś ty, a potem Eltonowie. Obecnie w Hartfield mieszka inna rodzina, a naszym plebanem został młody pan Charles Rutherford. Nie można oczekiwać, że czas stanie w miejscu - toteż i nie stoi. A jednak wiele pozostało u nas po staremu, dni zaś wielkości Highbury, jak czasem o nich myślę, dni flirtów i romansów naszej młodzieży, z pewnością na zawsze utkwiły w twojej

i mojej pamięci. Pani Cole, pani Perry i ja spotykamy się czasem na partyjce kart, a wówczas często wspominamy twoje imię, ku ogólnemu żalowi, że nie ma ciebie wśród nas.

W szkole życie płynie jak za dawnych lat, tyle tylko, że nigdy dotąd nie miałam tylu uczennic. Nauczycielki nie mogą poradzić sobie z nawałem pracy. Sama muszę czasem porzucić własne zajęcia, żeby im pomagać - i właśnie w tej sprawie piszę do ciebie ten list. Otóż John i moja kucharka - którzy zamierzają pobrać się zaraz po świętach Bożego Narodzenia - wkrótce wyprowadzą się ze szkoły i zamieszkają po sąsiedzku w małym domku. Dzięki temu, po drobnym przemeblowaniu, zyskam jedną sypialnię i salonik w prywatnej części mojego domu. Oczywiście z osobnym wejściem.

Chciałabym, moja kochana Hetty, zaproponować ci, byś zamieszkała u mnie. Jeśli zgodziłabyś się uczyć dziewczęta szycia, haftowania i robienia na drutach, panna Nash, panna Richardson i panna Prince będą miały więcej czasu na prowadzenie zajęć z innych przedmiotów, co i ja, i one powitałybyśmy z wielkim zadowoleniem. Jeśli przyjmujesz moją propozycję, byłabym szczęśliwa, gdybyś zechciała odtąd traktować szkołę jako własny dom. Sprawiałabyś mi ogromną przyjemność, pozwalając mi cieszyć się znów twoim towarzystwem. Niewątpliwie również pani Perry, pani Cole i wszyscy dawni przyjaciele z radością powitaliby twój powrót do Highbury.

Wiem, że podróż z Yorkshire to poważny problem. Rozmawiałam jednak dziś rano z panią Weston, która wspomniała mi, iż pan Weston w najbliższym czasie wybierze się zapewne do Enscombe, żeby zobaczyć się ze swoimi wnukami. Powiedziałam pani Weston o mojej propozycji i okazało się, że jeśli wyrazisz zgodę, pan Weston z przyjemnością przywiezie cię do Highbury swoim powozem.



Nie wątpię, że chciałabyś odzyskać swoje meble i inne domowe drobiazgi - jeżeli pozwolisz, porozmawiam z panią Stokes i każę Johnowi odebrać twoje rzeczy z magazynu w „Crown”.

*Twoja wierna, stara przyjaciółka,  
Mary Goddard*

## LIST SIEDEMDZIESIĄTY PIĄTY

*pani Pinkney do pani Goddard*

Hans Place,  
21 grudnia 1816 roku

Nie mam najmniejszych wątpliwości, że panna Bates przyjmie tę propozycję. Uważam ponadto, że to bardzo mądrze z twojej strony, iż oferujesz jej osobny salonik. Będziesz jednak musiała dopilnować, żeby w nim siedziała.

Nie, najdroższa Mary, wybac mi. Nie mogłam się powstrzymać. Panna Bates jest ci bliską przyjaciółką, a ja oczywiście pochwalam twój zamiar. Sądzę, że okaże się bardzo pomocna w szkole, ale dziewczęta niewątpliwie będą się z niej wyśmiewać za plecami. Cieszę się na myśl, że zyskasz towarzyszkę, gdy przeprowadzisz się na starość do swego wiejskiego domku - choć, oczywiście, nie wiadomo jeszcze, kiedy to nastąpi.

Wielkie nieba! Pan Pinkney wrócił właśnie z klubu w stanie wielkiego wzburzenia. Podobno wszyscy mówią o fali grypy, przetaczającej się przez miasto, i o tym, że wielu mieszkańców zapadło już na tę chorobę. Pan Pinkney martwi się ogromnie o małego Edwarda. Powiada, że musimy natychmiast wyjechać z Londynu. Czy zatem moja siostra przyjmie nas w Highbury? W ślicznym, bezpiecznym Highbury, gdzie można zawsze odetchnąć świeżym powietrzem!

Cudowne zrządzenie losu! Cieszę się ogromnie, że nic nie powiedziałam panu Pinkneyowi. Za nic na świecie nie chciałabym, żeby zmienił swą dobrą opinię o mnie. Wiem, że jesteś zbyt dobroduszna, kochana Mary, by gniewać się na mnie za tę gwałtowną zmianę planów i pozorny egoizm, tkwiący w przyjęciu twego zaproszeniu dopiero w obliczu wyższej konieczności. Wiesz przecież, że naprawdę bardzo pragnęłam cię odwiedzić. Na szczęście w szkole jest teraz wiele wolnych pokoi, ponieważ zaczęły się już świąteczne wakacje.

Kiedy pisałam te słowa, Edward wbiegł do salonu. Powiedziałam mu, że wyjeżdżamy w odwiedziny do cioci Mary. Powtarza teraz w kółko „ciocia Meły”, ale wymowa tych słów sprawia mu jeszcze trudności.

Tak, tak, kochana! Kto by pomyślał, że stanie się coś podobnego? Kazałam już Betty, żeby zaczęła pakować nasze rzeczy, a powóz zamówiliśmy na jutro, na dziewiątą rano. Przywieziemy ze sobą Jamesa i Betty. Kiedy otrzymasz mój list, będziemy już tylko o kilka godzin drogi od Highbury. Co za radość!

*Twoja kochająca i szczęśliwa siostra,  
Charlotta*

## ENVOI

Łaskawy czytelnik, którego zainteresowała niniejsza korespondencja, zechce być może zapoznać się również z kilkoma innymi listami, które poczta doręczyła naszym bohaterom w następnym, 1817 roku.

## LIST A

*pan Adams do pana Pinkneya*

Barbados,  
21 lutego 1817

Kochany szwagrze,

Sophy już od tygodnia jest bezpieczna w domu. Żałuję, że nie mogłem zawiadomić cię o tym wcześniej, ale dopiero teraz odpływa statek do Anglii. Sophy powiada, że nie znasz szczegółów jej ucieczki z seminarium, ale o tym za chwilę.

Po pierwsze, powinienem napisać, że załączam czek, płatny w moim banku w Londynie, opiewający na sumę pięciu funtów, które pożyczyleś mojej córce, a które pokryły koszty jej podróży na Barbados. Była przejęta tą sprawą i nalegała, żebym jak najszybciej oddał ci pieniądze, przyznała bowiem, że uzyskała pożyczkę, nie podając właściwie prawdziwych powodów, dla których o nią prosiła. Ufa jednak, że jej wybaczycie.

Po drugie, muszę przyznać się do błędu, jaki popełniłem, nie słuchając waszych rad w sprawie tej skandalicznej szkoły madame Dubois. Pan i pani Blair, którzy, jak zapewne pamiętasz, gorąco polecali mi jej seminarium, zmartwili się ogromnie, dowiedziawszy się prawdy. Zastanawiają się teraz, jak mogli dać się do tego stopnia zwieść pozorom.

Choć wiedziałem, że Sophy nie cierpi tej szkoły, co z punktu widzenia mojej córki wydawało mi się całkiem naturalne, nie miałem najmniejszego pojęcia, że w seminarium źle się dzieje. Że w domu jest zimno, właścicielka nie dba o uczennice, a dziewczęta nie dojadają. Oczywiście, w związku z tym nawet nie przyszło mi do głowy, że Sophy uciekła, a wy nie wiecie, gdzie też się podziewa.

Wyobrażasz sobie zatem moje zaskoczenie, kiedy się o wszystkim dowiedziałem. W ubiegły wtorek, niedługo po tym, jak „Provender” stanął na kotwicy w zatoce, siedziałem sobie pod wieczór na werandzie, przyglądając się omasztowaniu statku, rysującemu się malowniczo na tle nieba, gdy nagle zobaczyłem, że drogą zbliża się ku mnie dwóch nieznanymy białych wędrowców. Jeden z nich był wysokim, młodym mężczyzną, drugi chłopcem, który wydawał się niemal tańczyć z radości na widok mego domu.

Zatkało mnie, kiedy chłopiec, który pokonał biegiem kilka ostatnich jardów, dzielących go od progu, rzucił mi się nieoczekiwanie na szyję, wołając: „Papo, papo! Nareszcie wróciłam!”. Dopiero po kilku chwilach uspokoiłem się i zrozumiałem, że ten obdarty urwis to nie kto inny, jak moja rodzona, ukochana córka.

Hałas usłyszała także jej stara murzyńska niania, którą Sophy zna od siódmego roku życia, a którą nadal zatrudniam do rozmaitych prac domowych. Wybiegła na werandę, po czym nastąpiło niezwykle czułe powitanie.

Tymczasem wysoki młodzieniec, pozostawiony sam sobie i zupełnie obcy, stał ze swobodną miną z boku i przyglądał się domowi, plantacji i krajobrazowi, czekając cierpliwie, aż ktoś wreszcie zwróci na niego uwagę.

To właśnie stara Mamusia pierwsza wskazała mi młodzieńca ruchem głowy mówiąc:

- Panie, ten człek będzie mężem twojej córki?
- Mężem mojej córki?! - zawołałem zaskoczony.
- Ach, oczywiście, papo! - wykrzyknęła Sophy. - Wzięła mężczyzną za rękę i podprowadziła go bliżej. - To jest Paddy.
- Miło mi cię poznać, panie - powiedział.

Muszę przyznać, że choć podejrzewałem, co się święci, uśmiechał się czarująco i sprawiał wrażenie bardzo pewnego siebie.

- Czy jeszcze za wcześnie, by prosić cię o rękę twojej córki?
- Za wcześnie, panie! Nic o tobie nie wiem. Nie znam nawet twojego nazwiska.

- Zwę się O'Ryan, panie.

- A jak to się stało, że jesteś z moją córką?

- Panie, na wszystko być czas - przerwała mi stara niania. - Panienska umyć się teraz, panienko Sophy. Założyć suknię. Młodym damom nie przystoją spodnie.

- Kiedy w spodniach jest mi bardzo wygodnie. Lubię je - odparła Sophy.

- Nic nie szkodzi, panienska iść teraz ze mną.

Stara niania ma posłuch u Sophy, toteż już bez zwłoki oboje pozwolili zaprowadzić się do domu. Ucieszyłem się nawet, że będę miał trochę czasu, żeby dojść do siebie. Jeszcze przed chwilą byłem przekonany, że moja córka przebywa bezpiecznie w seminarium dla dziewcząt w Londynie, a oto stoi przede mną obszarpana i umorusana, przebrana za chłopca i w towarzystwie nie znanego mi zupełnie kandydata do jej ręki! Każdemu na moim miejscu dałoby to wiele do myślenia.

Tymczasem, kiedy niania zajęła się Sophy i O'Ryanem, służący przyniósł mi pocztę, która przybyła tym samym statkiem, co oni. Przeglądam ją i co widzę? Twój list, w którym zawiadamiasz o zniknięciu Sophy. Ach, kochany szwagrze, przykro mi niezmiernie, że przysporzyła wam tylu zmartwień i niepokoju. Obawiam się, że dopóki nie otrzymacie tego listu, będziecie się nadal zastanawiać, gdzie może się podziewać moja córka.

Wracam jednak do dnia przyjazdu Sophy na Barbados. Ujrzałem ich oboje ponownie mniej więcej godzinę później, kiedy doprowadzili się już do porządku: Sophy ubrała się w białą muslinową suknię, a młodzieniec wykąpał się, ogolił i włożył moją starą koszulę i spodnie, które kazałem wyrzucić, ale które najwyraźniej uratowała przed śmietnikiem Mamusia. Zapytałem, czy są głodni, ale oni chcieli napić się tylko limonowego soku, Sophy stwierdziła bowiem, że jest zbyt szczęśliwa i podekscytowana, żeby jeść.

- A zatem macie mi chyba wiele do powiedzenia? - zapytałem.

- W samej rzeczy - odparła Sophy. - Od czego powinniśmy zacząć, Paddy? Sam opowiesz ojcu o naszych przygodach, czy ja mam to zrobić?

Ostatecznie opowiadali na zmianę, ale we wszystkich ważniejszych punktach opowieści Sophy z wdziękiem oddawała głos O'Ryanowi.

Jestem pewien, że ciekawi was, jak udało jej się uciec z tego „więzienia” (tak Sophy nazywa swoją szkołę), a że opiekowaliście się nią bardzo długo, powinniście niewątpliwie poznać wszystkie szczegóły. Opowiem wam więc tę historię tak, jak oni opowiedzieli ją mnie. Nawiasem mówiąc, podsunąłem Sophy, żeby sama do was napisała, prosiła mnie jednak, by jej do tego nie zmuszać. Nie ma lekkiej ręki do pisania, a przez ostatni tydzień brakowało jej czasu, odwiedzała bowiem swoich dawnych znajomych i jeździła z O'Ryanem po wyspie.



Podobno celowo na dzień ucieczki ze szkoły wybrali tę niedzielę, kiedy Sophy miała was odwiedzić. Prosiła, żebyście jej wybaczyli to mactwo. Boi się, że nie zrobiła na was dobrego wrażenia, i żałuje, że wskutek swych szkolnych cierpień bywała często arogancka i niewdzięczna. Powiedziała też, że byliście dla niej bardzo wyrozumiali i że nie zasłużyła sobie na waszą życzliwość.

W niedzielę dziewczęta chodziły zwykle do kościoła pod opieką nauczycielki - ona szła przodem, a one za nią, parami. Nie było nic łatwiejszego, oznajmiła Sophy, jak zostać nieco z tyłu i w wybranym wcześniej miejscu skręcić. O'Ryan już na nią czekał. Boczny uliczkami pobiegli razem do gospody, której właścicielem był jego znajomy karczmarz, także Irlandczyk. Człowiek ten miał syna, mniej więcej tego samego wzrostu, co Sophy, i mniej więcej w tym samym wieku. Dał im część garderoby chłopca w zamian za suknię, kapelusz, trzewiki i pelisę Sophy, które zamierzał sprzedać. Sądząc po łańcach, w których wróciła, irlandzki karczmarz zrobił lepszy interes niż ona. Następnie Paddy i karczmarz obcięli jej włosy, a twarz usmarowali nieco ziemią, uzupełniając w ten sposób przebranie.

Dwa dni później przyjechali chłopskim wozem do Bristolu, gdzie weszli do gospody coś zjeść. Sophy twierdzi, że O'Ryan stale się nią opiekował i dbał o jej bezpieczeństwo. Sądziła, że będziecie się o nią niepokoić, chciała więc jak najszybciej rozwiązać obawy twoje i pani Pinkney, albowiem, jak powiedziała, ucieczka to niedobry sposób, żeby odwdziżyć się wam za gościnność i hojność, pożyczyciście jej bowiem pięć funtów. W gospodzie w Bristolu udało im się zwędzić kartkę papieru, a później wyblągali pióro i inkaust od pewnego sługi w Maple Grove.

Maple Grove to posiadłość właściciela statku, na którym mieli odpłynąć na Barbados, niejakiego pana Sucklinga. O'Ryanowi udało się go przekonać, żeby dał im pracę i dach nad głową aż do dnia podróży.

Byli zadowoleni ze swojego schronienia, chcieli się bowiem ukryć przed wścibskim wzrokiem ludzi, którzy mogliby ich szukać. O'Ryan oświadczył, że bardzo ciężko pracował, żeby ukończyć doprowadzoną zaledwie do połowy budowę muru w ogrodzie i zaskarbić sobie łaski właściciela statku. Sophy w przebraniu głuchoniemego chłopca została więc pomocnikiem murarza! O'Ryan powiedział też, że ci ludzie, Sucklingowie, byli niezbyt sympatyczni - zapewne dlatego nie udało im się zatrzymać u siebie robotników, którzy pierwsi zaczęli stawiać mur. O'Ryan i Sophy dostawali bardzo skąpe pożywienie i do szpiku kości marzli w szopie, która służyła im za mieszkanie. Użalił się nad nimi jedynie woźnica Sucklingów, który podarował im dwie końskie derki.

Nadszedł wreszcie dzień, kiedy odpływał ich statek. Na szczęście kapitan okazał się życzliwym i rozważnym człowiekiem, a ponieważ płynęli bezpośrednio na Barbados, podróż okazała się zupełnie znośna. (Przechodzi mnie dreszcz przerażenia, kiedy pomyślę, że mogło być inaczej). Zdaje się jednak, że naszej młodej pary nie trapiły podobne obawy. Znalazłszy się na pokładzie, Sophy uznała, że może przestać udawać głuchoniemego, toteż oficerowie, z którymi jadała posiłki, traktowali ją po prostu jako prostego, niedojrzałego chłopca. O'Ryan odpracował podróż, służąc jako marynarz, a ponieważ mieszkał wraz z resztą załogi w forsztelu, nie widywali się zbyt często podczas rejsu.

Wszystko wskazuje na to, że ten człowiek, Paddy O'Ryan, rzeczywiście zostanie moim zięciem. Niezupełnie tak wyobrażałem sobie przyszłego męża Sophy, ale zdaje się, że muszę zmienić zdanie. Sophy powiada, że Paddy jest sierotą, opuścił Irlandię w wieku szesnastu lat i od tego czasu szuka szczęścia w świecie. Ma już dwadzieścia pięć lat i twierdzi, że gotów jest się ustatkować i ciężko pracować na chleb. Jest oczywiście bez grosza, ale Sophy i on wydają się głęboko do siebie przywiązani, choć chyba Sophy jest bardziej zakochana. Mamusia ma o nim jak najlepsze mniemanie, jej pogląd nie jest jednak całkiem bezinteresowny, albowiem jeśli Paddy i Sophy zamieszkają tutaj, będzie mogła wychowywać ich dzieci, tak jak wychowywała przedtem moją córkę. Cóż, sądzę, że ostatecznie mogło być znacznie gorzej. Teraz rozumiem, jak niemądrym pomysłem z mojej strony było posłanie Sophy do Anglii w nadziei, że nauczy się grać na harfie. Człowiek często sam się oszukuje. Sophy jest tu szczęśliwa. Tu jest jej dom. Innego nie chce.

Jak zapewne wiesz, w oczach kochającego ojca żaden kandydat nigdy nie będzie dość dobry dla jego córki. Nie mam pojęcia, co powiedziałaaby na to twoja siostra, czyli matka Sophy, ale muszę przyznać, że ten młody Irlandczyk wydaje mi się interesujący. Zaczyna już myśleć, w jaki sposób można by usprawnić pracę na plantacji, i nad wyraz taktownie, nie chcąc mnie urazić, wysunął nawet jedną czy dwie użyteczne propozycje. Sądzę, że za jakiś czas zostanie zarówno znakomitym zarządcą majątku, jak i nowym członkiem naszej rodziny.

Byłoby wskazane, by ślub Sophy odbył się jak najszybciej. Powinienem chyba nauczyć się mówić do niego „Paddy” i pogodzić się ze swoim dobrowolnym wygnaniem na tej wyspie.

Prawdę mówiąc, muszę zresztą przyznać, że odkąd tu przybyłem, nie nadarzyła mi się jeszcze sprzyjająca sposobność, żeby odwiedzić Anglię, i niewątpliwie nigdy już się nie nadarzy.

Mam nadzieję, kochany szwagrze - choć jest bardzo prawdopodobne, że więcej nie ujrzę już swojej ojczyzny - iż zechcesz podtrzymywać naszą korespondencję, którą bardzo sobie cenię.

*Twój szczerze oddany, etc.*

*J. A. Adams*

## LIST B

*panna Nash do panny Penelopy Lane*

Szkoła pani Goddard, Highbury,  
20 czerwca 1817 roku

Moja kochana Penelopo,

Niewątpliwie oczekujesz nadejścia letnich wakacji równie niecierpliwie, jak ja.

Nie wiem, jak wygląda praca w twojej szkole, ale uważam, że niewiele jest w Anglii tak przyjemnych szkół, jak placówka pani Goddard, choć jednocześnie wiem, że bez względu na to, jak miłe bywają dziewczęta i nauczyciele, człowiek męczy się z czasem, widząc co dzień te same twarze. Zaczyna tęsknić za inną scenerią, kuchnią i treścią rozmów. Niecierpliwie czekam więc na spotkanie z tobą oraz rozkosze naszego dorocznego pobytu nad morzem. Na szczęście odkryliśmy własne, ciche zdrojowisko i wygodny pensjonat zacnej pani Greene.

W młodości nie spodziewałam się, kochana Penelopo, że spędzę całe życie ucząc w szkole. Kiedy byłam dorastającą dziewczynką, roiłam sobie, że wyjdę za mąż i będę miała dzieci. Powiem ci prawdę i nie będę ukrywać, że jeszcze niedawno, trzy lub cztery lata temu, żywiłam nadzieję, iż uda mi się poślubić odpowiedniego kawalera. Za bardzo

wzięłam sobie do serca przykład panny Taylor, która niemal szesnaście lat była guwernantką pewnej rodziny z Highbury, a mimo to zdołała w końcu znaleźć bardzo sympatycznego i odpowiedniego dla siebie męża.

Pytałam więc, dlaczego i mnie nie miałyby się to udać. Tym bardziej że mieszkał wówczas w Highbury niejaki pan Elton, pleban, nie będący z nikim po słowie, a najwyraźniej mający dość kawalerskiego stanu. Był wprawdzie młodszy ode mnie, ale wydawało mi się, że nie jest to przeszkoda nie do pokonania. W Highbury nie było wtedy niezamężnych dam z wyjątkiem nas, trzech nauczycielek ze szkoły pani Goddard. Rumienię się dziś na to wspomnienie, ale bardzo często przechadzałam się wtedy w pobliżu plebanii - pamiętam nawet dzień, kiedy pan Elton powiesił w domu nowe żółte zasłony - a ponadto w każdą niedzielę notowałam sobie cytaty z Biblii, na podstawie których wygłaszał kazania. Sądziłam, że moja pobożność zwróci jego uwagę i przyniesie owoce. Niestety, tak się nie stało. Pan Elton znalazł sobie żonę gdzie indziej. Tymczasem nasz nowy pleban, młody człowiek, który od niedawna mieszka w Highbury, ożenił się właśnie z jedną z moich dawnych uczennic, co każe mi zrozumieć, że powinnam porzucić niemądre nadzieje i pogodzić się ze swoim staropanieństwem. Życzyłabym sobie tylko, by kiedy będę już ubogą, starą kobietą, ktoś ulitował się nade mną, tak jak pani Goddard ulitowała się nad panną Bates.

Ale może nie wspominałam ci o niej? Jest to starsza, samotna dama, którą pani Goddard zaprosiła, by zamieszkała na stałe w naszej szkole. Panna Bates, największa poczciwina w całym miasteczku, pozostała bez grosza przy duszy po śmierci swej sędziwej matki, którą opiekowała się przez całe życie. (Możemy przynajmniej dziękować Bogu, kochana Penelopo, że żadna z nas nie musiała nigdy dźwigać tego krzyża!)

Panna Bates wróciła do nas w styczniu. Pewien dżentelmen z Highbury pojechał po nią do Yorkshire. (Nawiasem mówiąc, ten sam, którego poślubiła kiedyś panna Taylor). Od śmierci matki panna Bates mieszkała w Yorkshire ze swoją siostrzenicą i jej bogatym mężem, ale życie rodzinne nie układało się dla niej najlepiej.

Kiedy pani Goddard po raz pierwszy powiedziała o swojej propozycji pani Prince, pani Richardson i mnie, zmartwiłyśmy się, że panna Bates, która jest przyjaciółką pani Goddard, zacznie się do wszystkiego wtrącać i będzie ingerować w nasze metody nauczania i wychowania, do których jesteśmy przyzwyczajone. Na szczęście nasze obawy były całkowicie bezpodstawne. Panna Bates okazała się sympatyczną, miłą w obejściu kobietą, której jedyną wadą jest skłonność do gadulstwa. Niektóre dziewczęta przedrzeźniają ją i wyśmiewają się za jej plecami, ale mimo wszystko lubią pannę Bates. Jej zadaniem jest uczyć dziewczęta szycia, haftowania i robót na drutach, na których dobrze się zna. Dla pozostałych nauczycielek jest to duża ulga, albowiem nie musimy zajmować się tymi tak zwanymi praktycznymi umiejętnościami, które, choć powinna je opanować każda szlachetnie urodzona dama, mnie na przykład nie pociągają zupełnie. Siedzieć w jednym miejscu i szyć albo szydełkować, produkując do niczego nieprzydatne i nieistotne robótki, zawsze wydawało mi się tylko czystą stratą czasu.

Panna Bates otrzymała własną sypialnię i salonik, a od czasu do czasu przychodzą do niej w gości damy z miasteczka na partyjkę kart. Niekiedy odwiedza ją także panna Prince, która lubi grać w karty. Muszę przyznać, że między panią Goddard a panną Bates istnieje wciąż wzajemna, daleko posunięta życzliwość.

Oczywiście pani Goddard jest bardzo zajęta prowadzeniem szkoły i opieką nad swymi rezydentkami. Obecnie urządza wesele dla jednej z dziewcząt, która w przyszłym tygodniu wychodzi za mąż - wyobraź sobie tylko, ma dopiero siedemnaście lat!

Cóż, kochana Penelopo, a my będziemy wkrótce zażywać morskich kąpiel. Liczę już dni do wyjazdu.

*Twoja oddana przyjaciółka,*

*E. Nash*



## LIST C

*pani Ludgrove do pani Pringle*

Upper Berkeley Street, Londyn,  
27 czerwca 1817 roku

Droga pani Pringle,

Sądzę, że wszystko udało się znakomicie. Była to radosna uroczystość, prawda? Choć przyznam, że ukradkiem ocierałam łzy. Myślę jednak, że tak zawsze bywa na weselach - to pora rozstań, a jednocześnie nowych związków, innymi słowy, okazja zarówno do łez, jak i do uśmiechów. Nie mogłam się opanować, widząc Louise i Lavinie, idące razem kościelną nawą - zawsze były sobie bardzo bliskie, a teraz miały rozstać się na zawsze. Zapewne powie pani, że przesadzam, proszę jednak spojrzeć na to z mojego punktu widzenia. To dla nich koniec młodości. Moja melancholia wynika niewątpliwie z tego, że dzieciństwo dziewcząt już minęło, a ja, ich rodzona matka, pozostawałam przez jego większość z dała od córek. Powinnam jednak dodać, że Lavinia nie wydaje się smucić i nie zazdrości siostrze, natomiast z niecierpliwością oczekuje, kiedy wreszcie zamieszka z nami w Londynie, gdzie będzie miała sposobność wejść do towarzystwa i uczęszczać na bale, które, jak sądzi, będą tutaj często się odbywać.

Cóż to było za wesele! Bóg wie, że nieczęsto się zdarza, aby dziewczyna jechała do ślubu ze szkoły. Byłam rozczarowana. Jak pani wie, ogromnie chciałam, żeby Louisa wyszła za mąż w jak najlepszym stylu i pojechała do ślubu z naszego nowego, londyńskiego domu. Pan Ludgrove i ja tak długo byliśmy pozbawieni podobnych przyjemności, że - być może samolubnie - bardzo pragnęłam, by ceremonia zaślubin mojej córki okazała się możliwie jak najbardziej wytworna. Ale Louisa nie chciała o tym słyszeć - szkoła stała się jej domem na tyle lat, że nie wyobrażała sobie, by mogła wyjść za mąż gdzie indziej niż w Highbury, a kiedy na dodatek William oświadczył, że ślubu może udzielić mu tylko i wyłącznie jego przyjaciel, Charles Rutherford, nie miałam innego wyboru, jak wyrazić zgodę. Wydaje mi się, że sprawiliśmy też ogromną przyjemność zacnej pani Goddard. Był to z pewnością gest życzliwości w stosunku do niej, a ponieważ na ślubie zjawily się także wszystkie uczennice i nauczycielki, uroczystość nabrała rodzinnego charakteru. W każdym razie muszę przyznać, że nie miałam racji, sprzeciwiając się temu, by wesele mojej córki odbyło się w Highbury. Londyn w żadnym wypadku nie byłby równie odpowiednim miejscem.

Nie dalej jak dziś otrzymaliśmy popołudniową pocztą list od Louisy, w którym gorąco zapewnia nas o swoim szczęściu i wychwala cnoty pani syna. Zresztą pan Ludgrove i ja od samego początku zauważyliśmy, że mamy do czynienia z dwojgiem młodych ludzi, którzy wprost przepadają za swoim towarzystwem i bezustannie szczebioczą między sobą niczym dwa wróbelki. Moja droga pani Pringle, czego więcej można żądać w małżeństwie?

Myszę, że to właśnie ich przywiązanie do siebie zdecydowało, iż zgodziliśmy się na ten związek chętniej, niż sami mogliśmy przypuszczać.

Wstyd mi teraz, kiedy pomyślę, jak chłodno i oficjalnie przyjęliśmy was po raz pierwszy w naszym domu. A może nie spostrzeżliście rezerwy z naszej strony? Mam wielką nadzieję, że nie. Jeśli nasza oziębłość, czy może wręcz wrogość, uszła mimo wszystko waszej uwagi, stało się tak za sprawą rad tej wspaniałej pani Goddard. Ale od chwili wczorajszego ślubu myślę, że byłoby rzeczą wprost straszną (zwłaszcza teraz, kiedy, jeśli można tak powiedzieć, zostaliśmy właściwie rodziną), gdybyście mieli kiedykolwiek sądzić, choćby przez chwilę, że nasze obiekcje dotyczyły Williama. Zapewniam panią, że jej syn zdobył moje serce od pierwszej chwili, kiedy tylko go poznałam. W tej sytuacji niech zatem będzie wolno mi oświadczyć, że William jest teraz także naszym synem.

By całkowicie ukoić myśli, chciałabym wytłumaczyć pani nasze zachowanie. Jeśli wyjaśnienie nie jest konieczne, to mam nadzieję, że przyjmiecie je z pełnym pobłażaniem, a jeśli jest, ufam, że zrozumiecie i przebaczyście nam.

Proszę, postaw się w naszej sytuacji, pani. Wyobraź sobie, jeśli potrafisz, wiele długich, gorących, męczących lat w Indiach, i pomyśl sobie, jak często marzyliśmy o miłej, zielonej Anglii, gdzie pewnego dnia znów połączymy się z naszymi dziewczętami, kupimy nowy dom i zamieszkamy znowu wszyscy razem. A teraz, jeśli nie wystawiam pani wyobraźni na zbyt ciężką próbę, proszę przedstawić sobie, jak płyniemy już w górę Tamizy na pokładzie statku „Bombay Castle” i jaka ogarnia nas radość na pierwszy widok kopuły św. Pawła, pomimo chłodu styczniowego poranka. Nareszcie jesteśmy w domu! Lecz jeszcze zanim postawiliśmy nogę na lądzie, zupełnie zaskoczył nas list od pani Goddard. Dostarczyła go na pokład łódź, którą przyplłynęli celnicy. Czy pojmuje pani naszą konsternację i zdumienie, kiedy dowiedzieliśmy się najpierw o wypadku Louisy,

a potem o jej związku z jakimś młodym człowiekiem, który dopiero niedawno osiedlił się w Highbury. A przecież Louisa miała zaledwie siedemnaście lat! Przeżyliśmy wstrząs, na który nie byliśmy przygotowani nawet w najmniejszym stopniu. Nie rozumieliśmy, jak to możliwe, że nasza Louisa, której nie widzieliśmy od dnia jej jedenastych urodzin, zamierza nieoczekiwanie wyjść za mąż. Oto cieszyliśmy się, że nareszcie odzyskamy swoje córki, a tymczasem okazało się, że jedna z nich jest już dla nas bezpowrotnie stracona! W tych okolicznościach zaiste niewielką pociechą była dla nas wiadomość, że ani pani Goddard, ani ty, pani, nie pobłogosławicie związku, dopóki pan Ludgrove nie dowie się o wszystkim i nie wyrazi zgody na ślub. Zdawaliśmy sobie sprawę, że gdyby mój mąż odmówił, doszłoby do rodzinnego konfliktu -a jednak wydawało nam się nie do pomyślenia, żeby pan Ludgrove miał zezwolić Louisie na to małżeństwo.

Toteż przybyliśmy do Highbury w stanie najwyższego niepokoju i udręki. Lecz zanim spotkaliśmy się z Louisa, przyszła pani Goddard, by porozmawiać z nami bez świadków w „Crown”, gdzie wynajęliśmy pokoje. Prosiła nas nade wszystko, żebyśmy w obecności Louisy mówili o jej planach jak najmniej. Twierdziła, że młodzi albo szybko znudzą się sobą, albo zblizną się do siebie jeszcze bardziej, a wtedy dopiero będziemy mogli zacząć myśleć o ewentualnym weselu. Dyskrecja, zwłoka, cierpliwość. To miały być hasła, wyznaczające nam sposób postępowania.

Była to dobra rada, toteż zastosowaliśmy się do niej. Pierwsze spotkanie z córkami rozpoczęło się w atmosferze wzajemnej wstrzemięźliwości. Byliśmy dla siebie jak obcy. Oto cena, jaką płaci się za zbyt długi pobyt za granicą. Choć przecież wiedzieliśmy, że minęło wiele czasu, nie

byliśmy przygotowani na niezwykłą zmianę, jaka zaszła w naszych dziewczętach. Z zuchwałych, niezgrabnych uczennic przeistoczyły się w ładne, pełne animuszu młode kobiety. Pierwsze piętnaście minut upłynęło nam niezręcznie, ale wkrótce przyrodzona fantazja dziewcząt wzięła górę nad powściągliwością - Louisa zaczęła opowiadać nam skwapliwie o Williamie i domagała się, żebyśmy natychmiast, w tej chwili, złożyli wizytę w Hartfield, a Lavinia radośnie opisała niedawne widowisko teatralne twierdząc, że dosłownie całe Highbury przybyło na przedstawienie i że wśród widzów pojawili się nawet państwo Knightleyowie!

W ten sposób dowiedzieliśmy się, że trzeba liczyć się z Hartfield i rodziną Pringle'ów. Wydawało się, że ich gościnny i pogodny dom stanowi dla bliźniaczek niewyczerpane źródło przyjemności.

Ale dość o tym! Przeżywam ponownie nasz powrót do domu i pierwsze dni w Anglii po to jedynie, droga pani, aby podkreślić, jak szybko nasze serca podbił zarówno William, jak i jego matka. Rychło spostrzegliśmy, że Louisa, choć jeszcze tak młodzietka, jest wielce przywiązana do pani szanownego syna, on zaś z kolei do niej, toteż grając na rozsądną zwłokę, postanowiliśmy poprzeć ich plany małżeńskie, tymczasem zaś poszukać sobie odpowiedniego domu, w którym mogliśmy osiąść wraz z panem Ludgrovem. Oto, droga pani, istota mojej opowieści. Odczuwam ulgę, zrzuciwszy ten ciężar z piersi. Nie chciałabym, by zaistniały między nami jakiegokolwiek nieporozumienia. Mam nadzieję często odwiedzać w przyszłości Highbury, szczególnie wtedy, gdy będziemy mogli razem cieszyć się wnukami.

Niewątpliwie to, co za chwilę napiszę, nie jest *comme il faut*. Ale ponieważ mieszkałam tak długo pośród pogan, w pewnych sprawach nie przestrzegam zapewne konwenansów i względów przyzwoitości w takim stopniu, jak powinnam. Czy słyszałaś kiedyś, pani, by matka panny

młodej dziękowała matce pana młodego za to, że ta wychowała syna na wspaniałego młodzieńca, który został mężem jej córki? Jeśli nie, to możesz uważać moje słowa za precedens.

Pan Ludgrove dołącza się do najserdeczniejszych pozdrowień dla was, a ja mam nadzieję, że mogę kreślić się jako

*pani szczerą przyjaciółką,  
Laetitia Ludgrove*

## LIST D

*pani Goddard do pani Pinkney*

Highbury,  
26 czerwca 1817 roku

No, kochana Charlotto, wesele bezpiecznie dobiegło końca, rodzice panny młodej wyjechali, a do szkoły powrócił znowu spokój i porządek.

Jest godzina dziesiąta i ostatnie promienie długiego, letniego wieczora zgasły już na niebie. Zrobiło się ciemno, można więc mieć nadzieję, że dziewczęta wkrótce zasną. Jeszcze kilka minut temu ciągle szeptały do siebie, już leżąc w łóżkach. Emocje, jakie przyniósł im ten dzień, były doprawdy oszołamiające. Obawiam się, że niektóre z tych niemądrych stworzeń ludzą się teraz niemożliwie romantycznymi marzeniami. Louisa nie jest przecież typowym przykładem młodej żony. Trudno się spodziewać, by kiedyś raz jeszcze jakiś zamożny młody kawaler, mieszkający w Highbury, pojął za żonę uczennicę z mojej szkoły. Ojej, dlaczego w ogóle mówię ci o nieistotnych sprawach? Jestem bardzo zmęczona, a myśli wirują mi tak szybko w głowie, że chyba nie bardzo wiem, co piszę. Wiem natomiast, że nie uda mi się zasnąć zapaliłam więc świecę i postanowiłam skreślić do ciebie list, żeby się uspokoić. Ogromnie żałuję,

że was tutaj nie ma. Odbylibyśmy równie interesującą rozmowę, jak wtedy, w czasie świąt, kiedy siedziałyśmy wraz z panem Pinkneyem przy kominku, podczas gdy wszyscy inni pojechali przygotowywać się w Hartfield do przedstawienia.

Prawdę mówiąc, uważam, że właśnie przez tę sztukę, *High Life Below the Stairs*, wypadki potoczyły się dalej tak, jak się potoczyły. To owe ciągnące się godzinami próby przyspieszyły zaręczyny Williama i Louisy oraz Elizabeth Martin i Charlesa Rutherforda. Oczywiście nie chcę utyskiwać. Jestem jak najdalsza od wszelkich narzekania. Jak zresztą wiesz, sama zachęcałam Elizabeth, by spotykała się z panem Rutherfordem. Ach, jakże przyjemnie jest widzieć wokół siebie szczęśliwych ludzi o rozradowanych uśmiechem twarzach i mieć świadomość, że przyłożyło się rękę do ich pomyślności.

Jak łatwo było przewidzieć, wesele Louisy przebiegało w radosnej atmosferze. Rodzice byli łaskawi, młoda para promieniała ze szczęścia, a wszyscy goście zachowywali się przyzwoicie. Do kościoła przysłała cała moja szkoła. Ślubu narzeczonemu udzielił Charles Rutherford. Powinam nawet dodać, że czynił to z widoczną przyjemnością. Może słowo nie jest odpowiednie, ale niewątpliwie spełnienie tego obowiązku duchownego dostarczyło mu większego zadowolenia niż jakiegokolwiek inne uroczystości, które zdarzyło mu się dotąd prowadzić.

Wspominałam ci chyba, że pani Ludgrove chciała początkowo, by ślub odbył się w Londynie, a wesele w domu na Upper Berkeley Street - a chociaż wzruszyło mnie, że Louisa wolała pojechać do ślubu ze szkoły, to miałam jednak pewne obawy, czy wszystko pójdzie dobrze. Sara pracowała aż przez kilka dni, żeby przygotować weselne śniadanie. Ponieważ trzeba było nakarmić tylu gości, sam wypiek ciast stanowił poważny



problem. Obawiałam się, że długa nieobecność małżonki wyprowadzi Johna z równowagi, ale na szczęście on zawsze lubił bliźniaczki - choć nigdy nie potrafił ich rozróżnić - i nieoczekiwanie przyszedł nam nawet z pomocą. Wesele wymagało znacznych wysiłków organizacyjnych, z których większość spadła oczywiście na mnie. Tymczasem codzienne życie szkoły biegło swoim trybem, odbywały się lekcje, a ja, jak zwykle, musiałam rozwiązywać problemy nauczycieli i przezwyciężać ich różne idiosynkrazje. Pomoc ze strony pani Ludgrove ograniczyła się do tego, że zabrała Louise do Londynu po zakup sukni ślubnej! A zatem nawet jej zabrakło do pomocy. Zaraz po porannym nabożeństwie niemal sześćdziesiąt osób zasiadło w szkolnej jadalni do śniadania, złożonego z szynki i bekonu, jaj, świeżutkich, ciepłych bułeczek, świeżo ubitego masła, tortu weselnego i gorącej czekolady. Była to doprawdy radosna uroczystość, ale cieszę się szczerze, że mam ją już za sobą.

Wieczorem panna Bates, trzy nauczycielki i ja urządziłyśmy sobie małe prywatne święto i otworzyłyśmy jedną z kilku butelek zacnego wina Constantia, które dostałyśmy w prezencie od pana i pani Ludgrove. Czy wiesz, że to wino lubił Napoleon? A w dodatku pochodzi z Afryki Południowej, co jest zdumiewające. Podarowałam butelkę Sarze i Johnowi. Bóg wie, że zasłużyli sobie na mały upominek. Między drzewami widzę teraz światło w oknie ich domku i mam nadzieję, że miło spędzają wieczór. Dałam im jutro wolne. Służące kuchenne i ja poradzimy sobie jakoś same z posiłkami.

William i Louisa wyjechali w południe do Weymouth, a wkrótce potem państwo Ludgrove wrócili do Londynu, zabrawszy z sobą Lavinie. Czy to nie dziwne, kochana Charlotte, że istnieje jakaś zewnętrzna siła,

która działa czasami niepostrzeżenie na naszą korzyść? Kto mógłby przypuszczać, że ten okropny wypadek Louisy okaże się w końcu szczęśliwym zrządzeniem losu? Zawsze się martwiłam, że Louisa i Lavinia są zbyt od siebie zależne. Ale ten wypadek je rozdzielił. Jedna musiała całymi dniami przesiadywać na sofie, a druga w tym czasie mogła swobodnie chodzić na spacer. Jedna musiała ściąć włosy, druga nosiła wciąż długie. Teraz można było rozróżnić dziewczęta, co oznaczało, że wszyscy w szkole bez obawy popełnienia błędu mogli zwracać się do nich po imieniu, nie narażając się przy tym na prześmiewki. W rezultacie Louisa i Lavinia zrozumiały, że nie są jedną osobą i nie muszą robić wszystkiego razem, a przeciwnie, są dwiema różnymi osobami i każda z nich ma swoje własne życie. Lavinia została już zaproszona na lipiec do Hartfield, na razie jednak z przyjemnością wyjechała z rodzicami do Londynu.

Ach, Hartfield. To mi o czymś przypomina. Obawiałaś się, że pani Pringle będzie chciała zamieszkać z nowożeńcami. Otóż donoszę ci z zadowoleniem, choć trudno mi wyobrazić sobie bardziej czarującą teściową niż pani Pringle, że matka Williama znalazła dla siebie odpowiedni dom w okolicy Donwell, niedaleko Martinów. Masz oczywiście rację, kochana Charlotta, jeden dom nie może mieć dwóch „pań”, choć boję się pomyśleć, jaką „panią domu” okaże się Louisa w tak młodym wieku. Na razie pani Pringle pozostawi młodym swoją znakomitą gospodynię. To bardzo ładnie z jej strony. Zresztą całe jej zachowanie w tej kwestii było od początku wręcz przykładne, szczególnie jeśli zważyć, jak krótko pani Pringle jest mieszkanką Highbury i jak bardzo kocha swojego syna. Kiedy jej o tym wspomniałam, odpowiedziała dobrodusznie i filozoficznie. Niczego więcej nie oczekiwała od życia, wiedziała, że musi to nastąpić

prędzej czy później, jest zachwycona Louisa i życzy młodym wiele szczęścia, które tym łatwiej będzie im osiągnąć (jak dodała z uśmiechem), jeśli dom będzie dobrze prowadzony, a posiłki smaczne.

Ponieważ wiem, jak interesują cię sprawy Highbury, zwłaszcza że poznałaś podczas świąt wielu tutejszych mieszkańców, powinnam cię powiadomić, że kolejne młode małżeństwo, Charles Rutherford i Elizabeth, zagospodarowało się już na plebanii. Tak się pomyślnie składa, że cała czwórka bardzo się przyjaźni. Słyszałam od pani Martin, że Elizabeth jest już brzemienna. Podobnie jak po raz kolejny Harriet, a plotka głosi, że również Emma Knightley jest w odmiennym stanie. Ty natomiast pisałaś, że Sophy niedługo zlegnie w połogu. Wiem, co myślisz, kochana Charlotte. Za dużo jest dzieci na świecie. Ale teraz nie mogłabyś żyć bez swego ślicznego chłopaka, prawda?

To nie do wiary, ale minął już kolejny rok szkolny. Wkrótce rozpoczną się wakacje letnie, i muszę przyznać, że nie jest to dla mnie niemiła perspektywa. Przyjemnie będzie dla odmiany siedzieć i odpoczywać. W sierpniu przez dwa tygodnie w szkole nie będzie ani jednej uczennicy. Wszystkie dziewczęta, które w zasadzie mieszkają u mnie na stałe, zostały na ten miesiąc zaproszone w gości. Kto wie, może nawet będę mogła odwiedzić cię w sierpniu na Arabella Street, tym bardziej że teraz, podczas mojej nieobecności, mogę powierzyć szkołę opiece zacnej panny Bates. Już od kilku lat nie byłam w Londynie, a bardzo chciałabym obejrzeć wasz dom. Poza tym twój czarujący mały Edward jest w takim wieku, kiedy codziennie się zmienia, a spotkanie z siostrzeńcem w czasie świąt Bożego Narodzenia zaostrzyło tylko mój apetyt na rodzinne kontakty.

Dopala się już świeca. Muszę spróbować się przespać, jeżeli mam rano wstać i zrobić wszystko, co do mnie należy. Dobranoc, moja droga.

*Mary*